

MAX CZORNYJ

Wszyscy zginiecie. Bez wyjątku.
Jeden po drugim.

Autor bestsellerowej
powieści

GRZECH

KŁĄTWA

FILIA

MAX CZORNYJ

KLĄTWA

FILIA

Czy znasz strach zasypiania? Ciało ogarnia przerażenie, gdyż ziemia się rozstępuje i zaczyna się sen.

Fryderyk Nietzsche

Słowo ból jest samo w sobie bez treści i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na myśl wrażenie, któregośmy sami doznali.

Denis Diderot

*O nic nie błagaj, bo próżne marzenia,
by człowiek uszedł swego przeznaczenia.*

Sofokles

*Wszystkim, którzy uwielbiają jesień, góry i deszcz
romantycznie siąpiący za oknem...*

Odbijająca się w szybie twarz była zdeformowana. Rzucane przez kominek światło pulsowało i zniekształcało cienie. Maria Lipska nie rozumiała, jaki urok może mieć płonący w domu ogień. Dla niej stanowił jedynie zagrożenie pożarowe. Mimo to, gdy trzy dni temu po raz pierwszy tej jesieni temperatura spadła poniżej zera, przywlekła do salonu wielki kosz drewna. Energetyczne polana wystarczyło dorzucić dwa, trzy razy na dobę. Czego nie robi się dla męża i dziecka?

I nastroju.

Michał wciąż powtarzał, że nic nie tworzy bardziej romantycznej atmosfery niż płonący w kominku ogień.

Niech mu będzie.

Kobieta przez moment patrzyła na swoje odbicie. Miała trzydzieści dwa lata, długie blond włosy i wąskie usta. Zbyt wąskie. Od dawna planowała coś z nimi zrobić. I od dawna trafiały się pilniejsze wydatki.

Przede wszystkim związane z jedną osobą.

Maria popatrzyła na odbicie baraszkującego pośrodku salonu trzyletniego chłopca. Malec właśnie walił jej szczotką w puszysty dywan. Od zawsze bardziej pociągały go rzeczy użytkowe niż zabawki. Powinien wyrosnąć na praktycznego mężczyznę.

Lipska się uśmiechnęła. Opuściła firankę i energicznie zaciągnęła zasłony. Żabki przetoczyły się po karniszu jak rozklekotany pociąg.

Salon był niewielki, ale przytulny. Poza kominkiem znajdowały się w nim nieduża, pełna książek biblioteczka, stół z kompletem krzeseł oraz skórzana kanapa. Naprzeciw niej zawieszony był telewizor. Z sufitu zwisał trójramienny żyrandol w stylu art deco.

Lipska podeszła do syna i wyciągnęła dłoń po szczotkę.

– Oddaj – odezwała się łagodnie. – Koniec zabawy.

Malec nie zwrócił na nią uwagi. Teraz wodził rączką po zakończonych białymi kuleczkami igłach. Mruczał przy tym piosenkę z którejś z bajek. Przynajmniej na razie nie przejawiał talentu wokalnego. Miał na to jeszcze mnóstwo czasu. Choć już teraz Lipska marzyła, by w przyszłości został lekarzem, a jego ojciec widział dlań karierę adwokata. Ewentualnie inżyniera. Tak, inżynier w rodzinie to byłoby coś nowego.

– Oddaj, proszę. – Lipska pogładziła jasne kędziory chłopca. – Pora na kąpiel, mój mały.

– Jeszcze nie.

– Ależ tak. Już najwyższy czas. Po kąpeli bajka i do łóżka. Spać.

– Jeszcze nie.

– Żadnych protestów. – Zmarszczyła brwi i zrobiła groźną minę. Ponownie wyciągnęła dłoń w stronę dziecka. – Mamusia nie przyjmuje odmowy. Proszę o zwrot szczotki i wymarsz do łazienki.

– Ale...

– Natychmiast.

– Mamo, ale... Mamusiu...

Maria zdała sobie sprawę, że jej syn od kilku sekund spogląda w głąb domu. Na coś dokładnie za jej plecami. Poczuli się nieswojo. Nim zdążyła się odezwać, rozbłysnął zawieszony obok telewizor. Ekran jeszcze się nie rozjaśnił, ale z głośników dobiegł już głos pogodyнки.

...peratura może spaść do minus trzech stopni. Przy gruncie nawet do...

Maria gwałtownie się odwróciła. Wyprostowała się i zmrużyła oczy. W półcieniu holu dostrzegła znajomy zarys sylwetki na wózku inwalidzkim.

– Jezu, Michał, chcesz, żebym padła na zawal?!

Nerwowo otarła dłonie o biodra. Westchnęła.

Odkąd jej mąż trafił na wózek, wszystko się zmieniło. Przede wszystkim zmienił się on sam.

Z największego gaduły w okolicy i duszy towarzystwa stał się wyobcowanym milczkiem. Z radosnego optymisty przemienił się w sarkastycznego gbura. Mimo to Maria wierzyła, że to stan przejściowy. W końcu wszystko musiało wrócić do normy. Zapewniali ją o tym nawet lekarze.

Gdy Lipska chciała się odwrócić do syna, uświadomiła sobie, że coś jej nie pasuje. Coś nie było tak, jak powinno.

Koła wózka zaturkotały na rozeschniętym parkiecie. W świetle kominka wszystkie kształty gięły się i pulsowały. Tymczasem hol tonął niemal w całkowitej ciemności. Opuszczone rolety jedyne okna odcięły go od jakiegokolwiek źródła światła.

Michał nigdy nie poruszał się po ciemku.

Właśnie to jej nie pasowało.

To, że nie zapalił światła w holu.

– Uważaj na próg – rzuciła troskliwie.

Koła delikatnie podskoczyły i wózek wtoczył się do salonu. Michał miał jasne spodnie upstrzone kolorowym wzorem. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Nie rozumiała też, dlaczego się nie odzywał. I dlaczego trzymał dziwnie spuszczoną głowę.

Nagle zdała sobie sprawę, że to nie fantazyjny wzór projektanta urozmaicał spodnie jej męża. Od pasa do kostek pokrywały je wielkie plamy krwi. A poderżnięta szyja Michała nie utrzymywała jego głowy. Z rozprutego gardła dobywał się gulgoczący charkot.

Choć mogłoby się to wydać niemożliwe, po chwili przerażenie Marii jeszcze się wzmogło.

Psychologia odróżnia strach od lęku. Lęk jest procesem wewnętrznym, związanym z nieskonkretyzowanym, irracjonalnym obiektem. Strach natomiast pojawia się w sytuacjach realnego zagrożenia.

Marię bez wątpienia ogarnął głęboki, paraliżujący strach. Nie mogła się poruszyć. Szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak wózek z bezwładnym ciałem jej męża zatrzymuje się metr od wejścia do salonu. Przednie kółka obróciły się i zablokowały. Michał zsunął się z siedziska, po czym upadł na ziemię.

Dobiegający z jego gardła charkot zamienił się w rżenie przypominające odgłos zasysanej do rury wody.

Instykt przetrwania powinien zmusić Marię do ucieczki. Jej mięśnie rzeczywiście się napięły, ale jednocześnie ciało ogarnął totalny paraliż. Przez kilka sekund niemo obserwowała otoczenie. Mogła poruszać jedynie oczami, a i tak rejestrowany przez nie obraz był poszarpany jak stary film.

Miała wrażenie, że czyjaś dłoń zacisnęła się jej na gardle. Serce przepompowało zbyt wiele krwi, która – wydawało się – rozlała się po jej przełyku. Nie mogła jej przełknąć.

Kątem oka obserwowała syna. Malec wciąż siedział na dywanie i zaciskał dłoń na szczotce. Już się nią jednak nie bawił. Spojrzenie miał utkwione w drgającym spazmatycznie ojcu. Nie wydawał się przerażony, ale zainteresowany. Choć Maria chciała go chwycić i rzucić się do ucieczki, nie była w stanie. Nogi zamieniły się w ołowiane obciążniki. Tułów był jak w betonowej skorupie strachu.

Kałuża krwi wokół Michała się powiększała. Kobieta poczuła jej mdły, metaliczny zapach. Jej własna ślina miała posmak rdzy.

Telewizor odezwał się głośniejszym głosem. Lipska mimowolnie zarejestrowała głos pogodynki.

A teraz zapraszamy na reklamy. Wracamy po krótkiej przerwie.

Z głośników ryknęła muzyka towarzysząca prezentacji logotypu stacji i sponsorów programu.

W tym samym momencie malec rzucił szczotkę i otworzył buzię. Maria obserwowała to w zwolnionym tempie. Widziała, jak przez twarz jej syna przebiega tik, którego nigdy wcześniej nie dostrzegła, jak jego oczy się rozwierają, a rączki – wędrują ku twarzy.

Chłopiec wybuchnął niekontrolowanym, spazmatycznym płaczem.

To podziało na Marię jak policzek. W jednej chwili znalazła się przy synu i chwyciła go na rękę. Zaczęła działać niczym zaprogramowana. Przerzuciła sobie chłopca przez ramię, po czym popędziła w stronę holu. Na ułamek sekundy zatrzymała się przy mężu. Z jego rozprutego gardła wyciekała spieniona krew. Przełyk zionął czarną pustką. Miał obróconą twarz i półotwarte oczy. Nie było już w nich ani śladu życia.

Maria mocniej przytuliła synka. Na tyle mocno, że musiała sprawić mu ból. Chłopiec rozpaczliwie krzyknął, ale nie zwróciła na to uwagi.

Ciężko dysząc, skierowała się do holu. Poślizgnęła się i uderzyła kolanem w bok wózka inwalidzkiego. Przeszył ją ostry skurcz. Promieniował aż do palców stopy. Kobieta zacisnęła zęby tak bardzo, że usłyszała ich trzask.

Kuśtykając, opętańczo łapała powietrze. Ominęła wózek i rzuciła się do wyjścia.

Wtedy nieomal wpadła na wynurzającą się z mroku postać. Upiorną, okrytą foliowym workiem zjawę. W ostatniej chwili umknęła przed jej dłonią.

– Gdzieś się wybierasz, ślicznotko? – usłyszała kpiące pytanie.

A potem dobiegł ją przerażający śmiech.

– Gdzieś się wybierasz?

Pytanie poniosło się echem w pustym holu. Maria odruchowo przysłoniła dłonią oczy syna. Mimo to malec rozpaczliwie płakał.

Dyszając, zatrzymała się kilka kroków od przejścia do salonu. Za plecami miała zasłonięte okna, a między nią a drzwiami wejściowymi stał włamywacz. Jego spodnie i koszulę pokrywał wzór z czerwonych oraz zielonych trójkątów. Przebijały przez półprzezroczysty worek foliowy. Na twarzy nosił czarną maskę teatralną, przedstawiającą zasmuconą twarz. Jego włosy zasłaniał wywinięty na uszach czepek.

– Nigdzie nie uciekniesz.

Wycharczane słowa były dla Marii jak cios w twarz. Ponownie oprzytomniły ją i skłoniły do podjęcia bezsensownej próby ucieczki. Teraz liczył się tylko jej syn. Nieważne, co się stanie z nią. Liczyło się jedynie dziecko.

Z impetem rzuciła się obok włamywacza. Pchnęła na niego wózek inwalidzki, ale ten przewrócił się na bok. Jedno z kół, piszcząc, zawirowało w powietrzu.

Po kilku krokach poczuła, że zamaskowany człowiek chwycił skraj jej swetra. Materiał zatrzęszczał, lecz nie pękł. Ułamek sekundy później Lipska straciła równowagę. Za wszelką cenę chciała uratować syna. Nie mogła mu się stać żadna krzywda. Musiała go ocalić, cokolwiek miałoby ją spotkać.

Nie asekurowała upadku. Oburącz ścisnęła chłopca, więc jedyne, co udało się jej zrobić, to obrócić nieznacznie twarz. Tylko dlatego nie rąbnęła nosem o parkiet. Upadła prosto na kość jarzmową. Usłyszała tępe plaśnięcie, a po chwili w nosie poczuła zmieszany z krwią śluz. Mimo to malcowi nic się nie stało. Delikatnie wypuściła go z rąk i obróciła się do napastnika.

– Uciekaj! – wrzasnęła do syna. – Biegnij na dwór! Szybciutko!

Nie musiała się odwracać, by zrozumieć, że chłopiec jej nie posłuchał. Stał tuż obok, dławiąc się płaczem. Poczuła jego dłoń na stłuczonym kolanie. Spróbowała się podnieść, ale zakręciło się jej w głowie. Znowu upadła na podłogę.

Była przerażona i wściekła na syna. Dlaczego ten jeden raz nie mógł zrobić tego, co mu kazała?!

Włamywacz ruszył w jej stronę. Stawiał długie kroki w owiązanych workami butach. Tworzywo było napięte i nie szeleściło, wręcz przeciwnie. Tłumiło jakikolwiek odgłos skradania się.

– Boże...

Kobieta głęboko zaczerpnęła powietrze i napięła mięśnie. Musiała coś zrobić. Nie zważając na ból, poderwała się, po czym rzuciła do syna. Na moment znowu straciła orientację, a świat wokół niej zawirował. Na szczęście zdążyła podeprzeć się o ścianę. Nie upadła.

Chwila zwłoki okazała się jednak zgubna. Napastnik po raz kolejny chwycił skraj jej swetra. Przyciągnął ją z całej siły do siebie i ścisnął za nadgarstki. Miał piekielnie mocny uścisk. Tak mocny, że wydało się, że zaraz skruszy jej kości.

– Mówiłem, że nigdzie nie uciekniesz – wycodził.

Lipska szarpnęła się, ale nie miała żadnych szans. Mimo buzującej w żyłach adrenaliny była zbyt drobna, by poradzić sobie z napastnikiem. Mogła jedynie krzyczeć. Jej niewyartykułowane słowa zwały się w świdrujący pisk.

– Wiesz, że to nic nie da. – Włamywacz z całej siły pchnął ją na podłogę. – W końcu marzyliście o domu pośrodku niczego, prawda? O romantycznym zadupiu, chwilach tylko dla siebie i szczęśliwej przyszłości. Myśleliście, że doczekacie się tutaj wnuków? Powiem ci coś. – Napastnik ciężko sapnął. – Marzenia to gówno.

Stał tuż obok niej. Z całej siły nadepnął na jej dłoń. Kości zatrzęszczały. Potworny ból

łamanych palców sparaliżował całą jej rękę. Tym razem wydała z siebie jedynie żalony jęk. Stłumiony i gardłowy jak charkot jej męża.

Z trudem obróciła się na bok.

– Cze... Czego chcesz? – wyszeptała. – Proszę, zos...

Ciężki, owinięty folią but znów rozgniół jej dłoń. Podeszwa uderzyła tuż pod linią paznokci. Dwa z nich zostały wybite z macierzy i stanęły na sztorc.

– To nic nie da. – Włamywacz przeniósł ciężar ciała na nogę miażdżącą jej palce. Trzasnęły kolejne kości. – Nie ma sensu, żebyś o cokolwiek prosiła. Taki jest los.

– Zrobię, co chcesz, tylko...

Lipska nie dokończyła. Kopniak wymierzony w brzuch natychmiast pozbawił ją tchu. Rzęząc, zwinęła się w kłębek. Bezwolnie obserwowała, jak zamaskowana postać kroczy w stronę jej syna. Starąła się podnieść, ale nie kontrolowała własnego ciała. Czuła, że jej zwieracze popuściły. Zmieszana ze śluzem krew spływała jej do gardła. Nie potrafiła jej przełknąć.

– Zos...

Wybuchła kaszlem. Palił ją każdy centymetr ciała.

– Mam go zostawić? Pewnie chcesz, żebym go puścił wolno, a w zamian za to zrobisz wszystko, czego zapragnę? – Włamywacz się roześmiał. Wyciągnął dłoń do chłopca, lecz zaraz ją zabrał. – Dobry chłopiec. Dobrzy chłopcy nie gryzą. Nie są psami. Mogą się zmienić w kameleona lub węża. Ale nigdy w psa.

Zamaskowana postać szczeękła, niemal doskonale imitując dźwięki wydawane przez groźnego psa.

Maria niczego nie rozumiała. Nie wiedziała, co miał na myśli ten potwór. Chciała tylko uratować syna. Chciała tylko...

Drgnęła, gdy napastnik ruszył w jej stronę. Nie była w stanie zrobić nic więcej. Włamywacz chwycił ją za włosy i szarpnął do góry. Miała wrażenie, że skóra całym płatem odchodzi od jej karku.

Następnym, co poczuła, było ciepło rozlewające się po przełyku. Chwilę później z jej gardła dobiegł bulgot. Nie mogła nabrać tchu. Posmak i zapach krwi stały się jeszcze bardziej intensywne. W półmroku rozlewająca się wokół niej lepka plama wydawała się czarna.

Spojrzenie Marii gasło, gdy patrzyła, jak włamywacz bierze na ręce chłopca. Jej chłopca. Jej kochanego synka.

– Ze mną będzie ci dobrze – odezwał się do niego. – Obiecuję.

To były ostatnie słowa, które usłyszała Maria Lipska.

Komisarz Deryło trzasnął drzwiami niebieskiego citroena H. Sześćdziesięcioletni kultowy pojazd cudem zdołał pokonać parokilometrową serpentynę. Przez ostatnie kilkaset metrów silnik rzeził i wyl, ale w końcu auto wtoczyło się na niewielki parking, rozciągnięty nad przepaścią. Spod maski śmierdziało spaloną gumą. Deryło miał nadzieję, że nie ma się czym przejmować. Przeciągnął się i energicznie poruszył ramionami.

Zza gór leżących po przeciwnej stronie doliny wynurzały się czarne chmury. W promieniach słońca sprawiały majestatyczne wrażenie. Mimo to na taki widok turyści na szlaku, zamiast sięgać po aparaty, powinni czym prędzej pierzchać do schronisk. Oczywiście większość miała to w nosie.

Deryło przez chwilę obserwował cień przesuwany się po pokrytych lasami zboczach. Wreszcie głęboko zaczerpnął powietrza i jeszcze raz się przeciągnął. Po kilkugodzinnej jeździe jego mięśnie były napięte jak stosunki chińsko-amerykańskie. Fotel citroena mógł być wygodny pół wieku temu. Teraz wygniecione oparcie było równie miękkie jak deska, a każda ze sprężyn miała inną wysokość. Wbijały się w pośladki niczym kościste palce sadystycznego masażysty. Do tego po kilkudziesięciu minutach jazdy zaczynały potwornie rzępolic. Deryło wciąż słyszał ich jęk.

Na samo wspomnienie przyłożył dłoń do skroni. Miał świadomość, że rozpada się niewiele wolniej niż starsze od niego tylko o kilka lat auto. Przed paroma miesiącami skończył pięćdziesiąt trzy lata, ale ostatnio czuł się znacznie starzej. Naprawdę znacznie... Wydarzenia ostatnich miesięcy postarzyły go co najmniej o dekadę. Ciemne dotąd, ścięte na jeża włosy przerzedziły się i niemal całkowicie pokryły siwizną, oczy zapadły i straciły dawny blask. Mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt, potężnej postury komisarz się skurczył. Chodził przygarbiony, a do tego coraz częściej nawiedzały go napady duszności. Nigdy nie był tak bliski jak teraz decyzji o odejściu na emeryturę.

Dawał sobie jeszcze jedną szansę.

Ostatnią.

Podszedł do metalowej barierki i oparł się o nią rękoma. Spojrzał w dół. Daleko w dolinie wiała się droga. Mknęły nią pojedyncze auta, które z tej perspektywy były jedynie małymi punkcikami. Kolorowymi pikselami przesuwanymi się po ekranie komputera. Jak w grze, którą tak lubiła jego córka, a której nazwy nie mógł sobie teraz przypomnieć.

Kilkanaście kilometrów dalej biegła granica polsko-słowacka. Większość kierowców przekraczała ją nieco dłuższą, lecz zdecydowanie bezpieczniejszą drogą ciągnącą się za kolejnym pasmem gór. Tędy kierowali się tylko ci, którzy jak najszybciej chcieli dojechać do jednego ze słowackich parków rozrywki.

Turyści spragnieni atrakcji. Spragnieni wrażeń.

Deryło westchnął. Najlepsze wrażenia mógł sobie zapewnić, gdyby przełożył nogę na drugą stronę barierki. Kilkaset metrów niemal pionowej przepaści gwarantowało niezapomniane atrakcje. Do tego ostre krawędzie skał i pojedyncze rachityczne drzewa z suchymi konarami...

Nie. Na to jeszcze nie nadszedł czas. Deryło kurczowo trzymał się życia, bo na świecie wciąż istniał ktoś, dla kogo powinien budzić się każdego ranka. Choćby ból miał być nie do zniesienia. Musiał go wytrzymać. Wierzył, że los się odmieni i że któregoś dnia, składając żurawia origami, znów będzie mógł się uśmiechnąć. Przynajmniej chciał w to wierzyć.

Odwrócił się i spojrział w górę. Przypatrywał się kolejce linowej, której wagonik, żałośnie jęcząc, bujał się w powietrzu. Następnie popatrzył jeszcze wyżej. Powiódł wzrokiem po masywnej bryle hotelu Tatra Elegance. Zawieszony niemal nad przepaścią, przypominał zamczysko wzniesione przez jakiegoś szalonego architekta z lat dwudziestych. Każdy detal wręcz krzyczał, że ten budynek to owoc roztańczonych czasów art deco. Niestety, z tej strony jego znaczną część przesłaniał ostry występ skalny.

Deryło zamrugał i przeniósł spojrzenie na zaparkowane obok auta. Pomyślał, że łączna suma ich lat nie dorównywała wiekowi Citroëna. A ich przebiegi – jego przebiegowi. Tylko jakie to miało znaczenie? Komisarz chciał wierzyć, że nie miało żadnego.

Poprawił skórzaną marynarkę i zarzucił torbę na ramię. Wziął cztery dni wolnego i spakował tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Miał nadzieję, że wszystko pójdzie po jego myśli i najpóźniej pojutrze wróci do Lublina.

Tyle że ostatnio wszystkie jego nadzieje trafiał szlag.

Odruchowo wsunął dłoń do kieszeni. Przebrał palcami i zamiast na srebrny sesterc trafił na papierową kulkę zrobioną z żurawia origami. To nie był dobry początek.

Jak długo mam jeszcze czekać?!

Wysoka, anorektycznie chuda brunetka raz po raz uderzała w dzwonek znajdujący się na mahoniowym blacie. Mimo to w recepcji wciąż nie pojawił się żaden członek obsługi.

– Halo! – krzyknęła kobieta w stronę uchylonych drzwi z tabliczką „Przejdźcie tylko dla personelu”. – Halo, niech ktoś ruszy tu dupę!

– To nic nie da.

Brunetka drgnęła, słysząc za sobą szorstki głos. Odwróciła się i zobaczyła postawnego młodego mężczyznę w jeansach, niebieskiej sportowej marynarce i koszulce polo z wielkim logo popularnej marki.

– Od kwadransa próbujemy kogoś tu znaleźć – wyjaśnił. – Bezskutecznie.

– Próbujemy?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Skinął głową w stronę rozległego holu. Na kanapach za rzędem juk oraz kaktusów w terakotowych donicach siedziały trzy osoby. Teraz wszystkie machały do zniecierpliwionej kobiety. Ta jednak nie odpowiedziała na powitanie. Z odległości nie była w stanie nawet ocenić płci siedzących.

– Przyjechaliśmy punktualnie – wyjaśnił mężczyzna. Po chwili wyciągnął do niej dłoń. – Tymon Werski – przedstawił się. – A tam – jeszcze raz skinął w stronę kanap – reszta towarzystwa.

– Jest nas pięcioro?

– Na razie tak. – Werski poufale zniżył głos. – Ale nie znam nikogo z nich. To dziwni ludzie.

A pani?

– Pyta pan, czy jestem dziwna, czy o co?

– Staram się nawiązać znajomość. To się nazywa small talk.

– A ja właściwie nie wiem, po co marnuję czas.

– Żadne z nas nie wie. Może więc chociaż zdradzi mi pani, jak ma na imię?

Kobieta fuknęła.

– Kamila Pollinou – wycedziła. – Nie zna mnie pan? Czy tylko udaje?

– Przepraszam, ale chyba... Czy właśnie popełniłem wielką gafę?

– Jestem aktorką.

Werski powstrzymał uśmiech. Nazwisko kobiety od razu skojarzyło mu się z tandetnym pseudonimem scenicznym.

– Przepraszam. Praktycznie nie oglądam telewizji. Jeśli to ma znaczenie, to ja jestem lekarzem. Tamta kobieta z włosami po uderzeniu pioruna to Magdalena Rewera, właścicielka tych zakładów fryzjerskich, które...

Pollinou niedbale machnęła dłonią.

– Wiem których. A reszta?

– Zołza w garsonce to... Zapomniałem imienia. Chyba Anna jakaś tam. Zdaje się, że jest papugą. To znaczy – adwokatem. Za to tamten kloszard z bródką to Szymon Szewski. Łatwo zapamiętać. Powiedział, że jest doktorantem warszawskiej ASP. Albo filmówki. W każdym razie jakiś artysta.

– Ma pan coś przeciw artystom? Nie cierpię, gdy ludzie wymawiają to słowo z pieprzoną ironią.

– Dla takich jak pani mam jedynie bezgraniczną sympatię.

Werski puścił do niej oko. Pollinou udała, że tego nie widzi, i obróciła się w stronę recepcji. Znow wściekle uderzyła w dzwonek.

– Zaraz mnie coś trafi – parsknęła. – Muszę się odświeżyć. – Wymownie zabębniła dłonią o uchwyt małej walizki na kółkach. – Od ponad czterech godzin jestem w drodze. Dostać się na to

zadupie to nie lada wyzwanie...

- Wiem coś o tym. Przyjechałem z Warszawy.
- I naprawdę nikt z was nie ma pojęcia, dlaczego tu właściwie jesteśmy?
- Nie.

Pollinou przez chwilę grzebała w kieszeni kremowego płaszcza. Wreszcie wyciągnęła z niej zmięty kawałek papieru. Otrzepała go ze strzępków tytoniu.

- Ale wszyscy dostali taki list?

Werski ledwie rzucił okiem na kartkę. Od razu rozpoznał charakterystyczny krój pisma i kolor fontu.

- Tak.
- W takim razie niech mi ktoś wreszcie wyjaśni, o co tu chodzi!

Pollinou znów uderzyła w metalowy dzwonek. Tym razem miała wrażenie, że za mleczną szybą zamontowaną w przejściu na zaplecze przemknął cień. Energicznie pchnęła dwuskrzydłowe drzwiczki recepcji. Giętkim krokiem ruszyła w stronę części przeznaczanej tylko dla personelu. Zakaz wstępu najwyraźniej w ogóle jej nie interesował.

Kamila Pollinou od dziecka lubiła być w centrum uwagi. Nosiła wtedy jeszcze inne nazwisko i miała inny kolor włosów, lecz z tą samą łatwością co dzisiaj znosiła spojrzenia obcych. Nie miała tremy. W wieku pięciu lat występowała w przedstawieniu na podstawie wierszy Krasickiego i na jego potrzeby nauczyła się naprawdę trudnej roli. Kilkanaście linijek, które nie wydawały się jej ani logiczne, ani ładne. Nawet rymy zdawały się jej zupełnie pokraczne. Odpowiedzialna za scenariusz przedszkolanka miała wyraźnie przerośnięte ego i rozminęła się z powołaniem.

Wtedy Pollinou po raz pierwszy zechciała być jak kameleon. Nie pamiętała już, kto opowiedział jej o tym zwierzątku, ale zaciekawiło ją, że bez obracania głowy widzi ono wszystko wokół siebie. A jeszcze bardziej to, że potrafi się upodobnić do liścia lub gałęzi. No i – rzecz jasna – to, że wcale nie przybiera koloru otoczenia, lecz zmienia barwę w zależności od stanu emocjonalnego i napięcia światła. Później wiele razy kłóciła się z ludźmi, starając się im to wytłumaczyć.

W każdym razie, gdy miała pięciu i pół roku, Kamila Pollinou po raz pierwszy zrobiła wszystko, by wtopić się w scenę. Stała się nieruchomym elementem dekoracji, co pozwoliło jej pozbyć się jakiegokolwiek tremy. Nikt jej nie widział. Nikt nie mógł się z niej śmiać, bo przecież była powietrzem. To pokrętne rozumowanie wpłynęło na jej dziecięcy rozwój. Chętnie brała udział we wszelkich przedstawieniach, deklamowała poezję, śpiewała i za każdym razem czuła się jak liść albo gałąź na tle lasu. Właśnie tak to sobie wyobrażała.

Ten, kto powiedział jej o kameleonie, powinien wiedzieć, jak bardzo jest mu wdzięczna. Może to była ta przedszkolanka, która minęła się z powołaniem? A może ktoś całkiem inny?

Któregoś dnia, podczas występu przed pijanymi gośćmi ciemnego i zadymionego baru, Pollinou wyszła z tła. Po prostu poczuła się dość silna, by to na nią padło światło reflektorów. Nie chciała być już więcej powietrzem, a zalotne spojrzenia, gwizdy i krzyki dodały jej jeszcze wiary w siebie. Wtedy na moment znienawidziła osobę, która opowiedziała jej o kameleonie. Osobę, która wtopiła ją w tło, unoszący się w powietrzu pył i smród potu. Ale Pollinou szybko zrozumiała, że bez tych doświadczeń, bez umiejętności stania się kameleonem, kiedy tylko zapragnie, nigdy nie znalazłaby się w tym miejscu. Być może byłaby biedną, zahukaną dziewczynką, która, stojąc przed publicznością, wyłamuje sobie z nerwów palce.

Tymczasem ona potrafiła poradzić sobie ze wszystkim. Naprawdę ze wszystkim. Była o tym przekonana.

Utwierdziło ją w tym to, co wydarzyło się tydzień po jej szesnastych urodzinach. Dostała się wówczas do finałowego etapu castingu do filmu, który miał być wielkim wydarzeniem. Jej rywalkami było już tylko pięć dziewcząt. Zgodnie z żądaniem producenta stawiała się w studio jako pierwsza. Dostała strój, własną garderobę i niecierpliwie czekała na makijażystkę. Zastanawiała się, po co jej makijaż do próby. Miała po raz enty odegrać scenę według wylosowanego scenariusza. Kwadrans na przygotowanie, by mogła wykazać się umiejętnością improwizacji.

Po godzinie czekania wciąż nie miała scenariusza, a studio wydawało się całkowicie wymarłe. W małej garderobie nie zjawiała się żadna wizażystka czy makijażystka. Po półtorej godziny Pollinou wciąż się zastanawiała, czy unieść się honorem i po prostu wyjść, czy zadzwonić do producenta. Olewanie podobnych do niej debiutantów było standardem.

Dała sobie jeszcze kwadrans.

Po kilku minutach na korytarzu wreszcie usłyszała kroki. Po chwili rozległo się pukanie i do garderoby wszedł niski, atletycznie zbudowany mężczyzna.

– Pan Limber! – krzyknęła Pollinou, odwracając się na obrotowym taborecie. – Czekam już...

Limber bez słowa zamknął drzwi i przekręcił zamek. Utkwił w niej przeszywające spojrzenie małych błękitnych oczu. Powoli ruszył w jej stronę. Uśmiechnął się poufale. Jedną dłonią rozpiął guziki koszuli, a drugą przytknął do ust w uciszającym geście.

– Rozumiemy się? – zapytał, stając tuż obok.

Zrzucił koszulę i rozpiął pasek spodni. Pogłodził Pollinou po policzku. Przez chwilę patrzył na ich wspólne odbicie w wielkim lustrze. Nadal się uśmiechał. Przesunął dłoń i dotknął karku Pollinou. Delikatnie chwycił jej włosy. Odgarnął je na bok, po czym powiodł dłońmi niżej. Stał za dziewczyną i z satysfakcją zacisnął ręce na jej piersiach. W lustrze przez cały czas obserwował jej reakcję.

Tymczasem Pollinou nawet nie drgnęła. Na jej twarz nie wystąpiły wypieki. Jej oddech nie przyspieszył. Przybrała jedynie nieco wyzywającą pozę, a kąciki jej ust się uniosły. Znowu była kameleonem i nie liczyło się nic więcej. Z opowieści ubiegających się o rolę dziewcząt wiedziała, że coś takiego może się zdarzyć. Że będzie to znakiem, że to właśnie ona została wybrana. Oficjalne przesłuchania i występy przed komisją nie miały żadnego znaczenia. Ten niski, postawny człowiek trzymał w garści całą ekipę. Decydował za wszystkich i nie przyjmował odmowy.

To właśnie z nim Pollinou straciła niewinność. To właśnie przy nim zrozumiała, że przez całe życie będzie musiała grać. Zamknęła w sobie swoje prawdziwe, dziewczęce ja. Na wierzch wyciągnęła pozę zblazowanej diwy.

Z tamtego projektu nic nie wyszło. Choć została formalnie zaangażowana do roli, filmu nie zrealizowano. Producent oskarżył o coś scenarzystę, jeden ze sponsorów pozwał producenta i studio filmowe przeniosło się na salę rozpraw. Jednak właśnie tamte chwile w niewielkiej garderobie Pollinou miała zapamiętać do końca życia. Z najdrobniejszymi szczegółami.

I niczego nie żałowała.

Hotel Tatra Elegance wzniesiono w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Taka informacja figurowała na ulotce, którą międlila w dłoni Diana Smolar. Od dwóch dni odbywała tu płatny staż. Płatny i całkiem przyjemny, biorąc pod uwagę ilość pracy. Najpierw zastanawiała się nad przyjęciem zaproszenia do udziału w uczelnianym programie stażowym, ale ostatecznie podjęła inną – dobrą – decyzję. Tak się jej przynajmniej wydawało.

Kiedy to praca szukała i znajdowała człowieka, można było się tylko cieszyć. Dwumiesięczna dziekanka na zarządzaniu nie stanowiła problemu. Tym bardziej że w tym roku miała niewiele zajęć, a ocierająca się o średnią krajową pensja skusiłaby każdego w jej sytuacji. Do tego bezpłatny nocleg, wyżywienie i świeże powietrze. Można było się poczuć jak na wakacjach.

Diana zastanawiała się tylko, skąd pracodawca zdobył jej dane. Jasne, figurowała w kilku serwisach społecznościowych i udzielała się na paru forach, ale czym wzbudziła zainteresowanie kogoś składającego tak dobrą ofertę? Jej skromny blog o inwestowaniu w nieruchomości miał raczej słabe zasięgi. CV oraz profil zawodowy w ostatnim miesiącu przeglądało ledwie kilka osób. Takie były fakty.

Może jednak nie było potrzeby się nad tym zastanawiać? Zbędne pytania jedynie komplikują życie. Pierwszym przykazaniem inwestora powinno być nierzucanie kłód pod własne nogi. To najważniejsze przykazanie każdego, kto chce zostać bogaty. Clou.

Diana jeszcze raz zerknęła na przysadzistą fasadę hotelu. Położony na zboczu góry, sprawiał imponujące wrażenie. Dwupiętrowy zaokrąglony na rogach sześcian okalały rzędy balkonów, a pośrodku przecinała je przeszklona wypukłość klatki schodowej. Nad wejściem umieszczono daszek w stylu amerykańskich hoteli z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia. Stylizowana nazwa została wypisana złożonymi literami, które nadgryzł już ząb czasu.

Cały budynek wymagał zresztą odświeżenia, ale i tak prezentował się okazale, szczególnie na tle górskich schronisk, które można było spotkać w polskich i słowackich Tatrach. Ogromnym atutem było również jego położenie. Pośrodku karpackiej głuszy, ponad poziomem lasu iglastego i hal. Na parking prowadziła jedynie kręta, utwardzana droga, która zimą musiała stawać się niedostępna. Zapewne wtedy gości dowożono starym wyciągiem krzeselkowym. Albo zaprzęgami. Natomiast ponad sto metrów z parkingu do hotelu można było pokonać jedynie kolejką linową, którą uruchamiał klucz do pokoju lub specjalny czip. Niedostępność stanowiła jedną z największych atrakcji Tatra Elegance.

Kobieta zerknęła na stojące w pobliżu samochody. Dwa nowe wozy sportowe, potężny SUV oraz cztery inne, bardziej nijakie auta.

A więc część gości była już w środku. Pozostawało jej działać zgodnie z instrukcjami. Miała się ich trzymać jak dekalogu. Dokładnie tak powiedział dyrektor.

Zmięła ulotkę i rzuciła ją do kosza. Kulka odbiła się od trawionej rdzą pokrywy.

– Nie ma to jak dobry początek – mruknęła Diana.

Schyliła się i wcisnęła papier do środka. Wygladziła spódnice, po czym przysunęła kartę magnetyczną do metalowej bramki. Wagonik kolejki natychmiast się zakołysał, zjeżdżając w jej stronę.

Diana nabrała powietrza, gotowa rzucić się w wir pracy.

W momencie, gdy Pollinou pchnęła drzwi na zaplecze, usłyszała, że ktoś wszedł do hotelu. Zatrzymała się w pół kroku. Odwróciła się, ale widok przesłaniały jej marmurowe filary. Z zaciekawieniem zerknęła na Werskiego. Mężczyzna wychylił się w stronę głównego wejścia.

– Mamy kogoś z obsługi! – krzyknął i entuzjastycznie klasnął. – Możesz się nie włamywać – rzucił do Kamili. – Zaraz wszystkiego się dowiemy.

Teraz Pollinou usłyszała szmer na korytarzu. Zapewne reszta towarzystwa podniosła się z kanap. Aktorka energicznym krokiem obeszła kontuar recepcji. W głębi korytarza zobaczyła pulchną brunetkę w błękitnym mundurku personelu Tatra Elegance. Obcisła spódnica sięgała jej nieco powyżej kolan, a koszula ciasno opinała się na biuście. Do kieszonki na sercu kobieta miała przyczepiony identyfikator z imieniem i nazwiskiem.

– Diana Smolar... – odczytała Pollinou, gdy recepcjonistka ją mijała. – To przez panią tracimy czas na zapoznanie się z pajęczynami, brudem i syfem holu?

– Najmocniej przepraszam. – Smolar otworzyła jedno skrzydło drzwiczek prowadzących za kontuar recepcji i z zaskakującą gracją usiadła przy biurku. – Takie polecenia otrzymałam od dyrektora.

– Takie polecenia? – zainteresował się Werski. – Żeby kazać nam czekać?

– Zgadza się.

– Przecież to jakiś obłąd. Proszę natychmiast wydać nam klucze do pokojów.

– Z meldunkiem musimy się wstrzymać do chwili, aż stawi się komplet wskazanych przez organizatora gości.

– Organizatora? Żartuje pani? – Tym razem odezwała się Pollinou. Z Werskim mogliby stworzyć zgrany duet śledczych.

Mimo to recepcjonistka nie dała się wyprowadzić z równowagi. Wzruszyła współczująco ramionami.

– Nie mogę nic zrobić. Z tego, co mi wiadomo, to pobyt sponsorowany. Od sponsora zależą warunki całej imprezy.

– Do imprezy brakuje nam szampana i kawioru.

– Jest nas pięcioro – dorzucił Werski. Następnie odwrócił się do trójki zmierzającej z głębi pomieszczenia. – Słyszeliście? Czekamy na kolejnych gości, aby dostać się do pokojów.

– Gościa – sprecyzowała Diana Smolar. – Przekazano mi, że o jedenastej ma się stawić sześć osób. W takim razie musimy zaczekać na os... – Recepcjonistka urwała w pół słowa. Utkwiła wzrok w monitorze komputera. Uśmiechnęła się do zebranych. – Zdaje się, że właśnie przyjechał ostatni gość. Jedną z zalet naszego hotelu jest wysokiej jakości monitoring głównego wejścia.

To ostatnie zdanie zaczerpnęła wprost z folderu reklamowego Tatry Elegance. Kolejne mówiły o „ekskluzywnym wystroju” oraz „orlim położeniu”. Dyrekcja najwyraźniej nie wysiliła się na zatrudnienie marketingowców.

– Kto jest organizatorem? – Kobieta w szarej garsonce i prostokątnych okularach oparła się o mahoniowy blat recepcji. Zabębniła w niego długimi, pomalowanymi na kolor krwi paznokciami. – Na zaproszeniach nie było o tym mowy.

– Niestety, nie wiem. – Smolar zaczerpnęła powietrza. Koszula na jej piersiach groziła rozdarciem. Na jej pyzatej twarzy pojawiły się też pierwsze oznaki zdenerwowania – delikatne rumieńce i krople potu. – Myślałam, że państwo wiedzą więcej ode mnie. Ja jedynie przekazuję informacje...

– To kpina. – Pani adwokat zaśmiała się nerwowo. – Nie wiem, jakim cudem dałam się na to namówić...

– Takim samym jak każdy z nas. – Werski poufale dotknął jej przedramienia, ale kobieta

natychmiast się cofnęła. Obrzuciła lekarza karcącym spojrzeniem.

– Proszę sobie nie pozwalać!

– Przepraszam. Skoro tkwimy w tym razem, myślałem, że nie ma co trzymać się na dystans. Słyszała pani, że wkrótce mamy tu rozkręcić imprezę.

– To nie pieprzony *Big Brother* – fuknęła Pollinou. – Prawda? – zwróciła się wprost do recepcjonistki.

Smolar w skupieniu obserwowała obraz z monitoringu. Siwy, krępy mężczyzna w granatowych spodniach i białej koszuli zmierzał w stronę wejścia. Stuknął mu co najmniej siódmy krzyżyk, ale maszerował nadzwyczaj dziarsko.

Recepcjonistka po raz kolejny westchnęła i zerknęła na zebraną w holu piątkę. Czuła się coraz bardziej stremowana.

– Dla mnie to również niezwykła sytuacja – odezwała się pojednawczo. – Zresztą najdziwniejsze wcale nie jest to, że miałam czekać na komplet gości. To znacznie bardziej skomplikowane.

Nim recepcjonistka zdołała wyjaśnić, co skomplikowanego jest w rejestracji gości, stuknęły drzwi wejściowe. Do środka wszedł mężczyzna, którego przed chwilą obserwowała na ekranie. Mimo wieku poruszał się nad wyraz żwawo. Obszedł wydeptany czerwony dywan i od razu skierował się w stronę recepcji. Z daleka się uklonił. Przytknął przy tym dwa palce do wysokiego, lekko pomarszczonego czoła. Zasalutował, wyginając usta w szerokim uśmiechu. W sztucznym świetle błysnęły porcelanowe zęby.

– Dzień dobry wszystkim – odezwał się do reszty gości. Po chwili przystanął i się przedstawił:

– Antoni Galwer, zdaje się, że będę miał przyjemność spędzić tu z państwem te urocze chwile. Czy coś jest nie w porządku?

Pollinou zmrużyła oczy, jakby zobaczyła osobę niespełna rozumu. Wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z prawniczką.

– Możemy wreszcie dostać klucze? – zapytała nerwowo.

Smolar natychmiast odwróciła się do komputera. Z ulgą usłyszała, że kolejni goście się sobie przedstawiają. Dzięki temu miała chwilę na posprawdzanie ustawień i wprowadzenie do komputera danych. Kilka minut później poprosiła przybyłych o dowody osobiste. Wszystko się zgadzało. Udało się jej uniknąć nadmiernego chaosu i wypełniła wskazówki szefostwa co do joty. Mogło jej pójść znacznie gorzej.

Gdy na blacie wylądowały już wszystkie klucze, kobieta nacisnęła znajdujący się pod biurkiem guzik. Zgodnie z instrukcjami boya hotelowego miała przywołać w ostatniej chwili. Nigdy wcześniej go nie widziała. Choć jednak guzik nacisnęła jeszcze dwa razy, nikt się nie zjawiał. To również mogło zostać wyreżyserowane. Właściwie sama była ciekawa, jak potoczą się wydarzenia tego dnia.

– Jedno pytanie. – Tymon Werski wyrwał ją z zamyślenia. – Co nas łączy?

– Słucham?

– Czy jesteśmy tu, bo coś nas łączy? – Lekarz wymownie się uśmiechnął. Puścił do niej oko. – Tak?

– Chyba nie rozumiem.

– Wspomniała pani o tym, że to bardziej skomplikowane.

Smolar zerknęła na lekarza skonsternowana. Niepokoiła ją nieobecność boya.

– To znaczy... cała ta zabawa z rejestracjami i wydawaniem kluczy do pokoi – sprecyzował lekarz. – Co miała pani na myśli?

– Ach tak... – Diana westchnęła. Poruszanie tego tematu było nieprofesjonalne. Powinna się w porę ugryźć w język, a nie paplać. – Nic takiego. Naprawdę.

– Zawsze, kiedy od kobiety słyszę „nic takiego”, mam najgorsze obawy. Nie wiem, czy spalić się ze wstydu, czy po prostu uciec.

Werski rozejrzał się sprawdzając, czy ktoś roześmieje się z tego żartu. Reszta gości nie zwróciła jednak na niego żadnej uwagi. Wyczekujące spojrzenia pozostałych wbite były w recepcjonistkę.

– No dobrze... – Diana spuściła wzrok na klawiaturę. Ukradkiem otarła pot z czoła i odchrząknęła. W zasadzie nie zdradzała żadnej wielkiej tajemnicy. Mimo to miała nadzieję, że nic nie rejestruje jej głosu. – Już trzy dni temu wymeldowani zostali wszyscy dotychczasowi goście. Pokoje dla państwa zostały specjalnie przygotowane i zakazano przyjmowania nowych osób. Zmierzam do tego, że kilkanaście pokoi będzie stało pustych. Mogę wynająć dodatkowo tylko dwa z nich, z czego jeden już został zarezerwowany. Będziecie mieli państwo cały obiekt dla siebie. – Recepcjonistka odrzuciła kosmyk włosów opadający jej na oczy. – Właśnie to wydało mi się dziwne – dodała po chwili. – Ale naprawdę myślałam, że państwo będziecie zorientowani lepiej ode mnie.

– Niestety, wiemy chyba znacznie mniej – parsknęła prawniczka.

– Albo i stety – wtrącił się Werski. – Niespodzianki to najlepsza zabawa.

- Dla dzieci może i tak.
- Lepsze są dzieci niż stetryczali dorośli.
- Coś pan insynuuje? Naprawdę?

Wymiana zdań z pewnością nabrałaby rumieńców, gdyby między tą dwójką nie stanął Antoni Galwer.

– Moi drodzy, po co te nerwy? – Mężczyzna pojednawczo uniósł dłonie. – Odprężmy się. Nieważne, o co tu chodzi. Powinniśmy korzystać z uroków tego miejsca. Skoro wszystko opłacono, nam pozostaje się tylko cieszyć. Zgadza się pani ze mną, pani Diano?

- Cieszyć się. To jest to – podłapał Werski.

– Chciałabym zabić tego gnoja. Pastwić się nad nim. Wycinać mu ciało kawałek po kawałku. A potem z chęcią usmażyłabym jego mięso i zjadła. Nie ma lepszego środka na przeczyszczenie niż ludzkie truchło.

Kamila Pollinou uśmiechnęła się, widząc skonsternowaną minę Werskiego. Przyspieszyła kroku. Szli hotelowym korytarzem we trójkę razem z nastroszoną panią mecenas. Ciągnęli ze sobą walizki, bo boy hotelowy, mimo wezwań recepcjonistki, wciąż się nie zjawił. Reszta postanowiła czekać w lobby.

– To tylko fragment roli... – wyjaśniła aktorka. – Muszę ją sobie utrwalić. Za tydzień premiera.

– Aha.

– Tylko tak to pan skwituje? „Aha”?

– Gdybym miał wolną rękę, zacząłbym bić brawo. Naprawdę. Poza tym myślałem, że korzystacie z prompterów albo nosicie słuchawki w uszach z tekstem czytany przez suflera...

– Nie jestem amatorką.

Pollinou przełożyła uchwyt walizki do drugiej ręki. Ściany korytarza były wyłożone kamieniem oraz zdobione gipsowymi sztukateriami. Przez osadzone w czarnych ramach okna wpadało niewiele światła. Na horyzoncie zbierały się ciemne kłęby chmur, a wiatr przeciskał się przez nieszczelne okna. Kubiczne, artdecowskie lampy były zapalone.

– Pogoda chyba nam nie dopisze. – Werski westchnął. – Od paru dni zapowiadają nadejście armagedonu.

– W hotelu ponoć są sauna, jacuzzi i basen.

– Miała też być dyskretna i pomocna obsługa. Poza tym... – Lekarz urwał, widząc, że pani adwokat zatrzymała się przy jednych z drzwi. – Pokój numer dwadzieścia jeden. Oczko – skwitował. – A pani mecenas nie zamierza odezwać się nawet słowem?

Kobieta nie zaszczyciła go choćby spojrzeniem. Wbiła natomiast wzrok w Pollinou.

– Anna Herc – rzuciła jakby od niechcenia. – Gdyby ten człowiek panią napastował, proszę się zgłosić. Są na takich sposoby.

Werski natychmiast się obruszył.

– Proszę nie być niemiłą i nie przenosić swoich spraw do tego miejsca. To nie zakład karny. Mamy się razem bawić, a nie kłócić. Zresztą...

– Nie interesuje mnie pańskie zdanie. Poza tym... – Herc odstawiła skórzaną torbę i włożyła klucz do zamka. Przekręciła go. Ponownie zerknęła na Pollinou, ostentacyjnie lekceważąc obecność lekarza. – Wie pani, co nas łączy? Wszystkich, którzy przyjechalibyśmy dziś na to pustkowie?

Sama sobie odpowiedziała, nim aktorka i Werski zdążyli otworzyć usta.

– To, że z jakiegoś powodu skusiliśmy się na darmowy pobyt na totalnym zadupiu. Nie dopytując o nic więcej. Ot tak, być może na zawołanie jakiegoś szaleńca.

Deryło dwukrotnie przeszedł wzdłuż zbocza i podziwiał rozległy widok. Nagle zdał sobie sprawę, że tymczasem na parkingu pojawił się kolejny samochód, mały fiat. Wcześniej nie zwrócił na niego uwagi.

A może stawał się coraz mniej spostrzegawczy? Może się wypalił i stracił to, czego inni zawsze mu zazdrościli? To było możliwe. Nie zamierzał wmawiać sobie, że jest inaczej. Mimo to fiata z pewnością wcześniej nie widział.

Cały ten wewnętrzny, bezgłośnie prowadzony dialog miał opóźnić chwilę, w której przywoła wagonik kolejki. Nie cierpiał unosić się nad ziemią. Nie cierpiał wysokości, które nie gwarantowały śmierci na miejscu. Spadając z kilkunastu metrów na ostre skały, mógłby się ciężko połamać, ale nie zabić. Niczego nie bał się bardziej niż całościowego paraliżu połączonego z zachowaną świadomością. Paraliżu, który przed trzydziestu laty dotknął jego brata. A potem doprowadził do tego, że, zdaniem lekarzy, jego świadomość nie mogła już dłużej wytrzymać w bezwładnym ciele.

Deryło wreszcie wpisał na dotykowym wyświetlaczu kod, który przysłano mu razem z potwierdzającym rezerwację mailem. Wtedy nie miał pojęcia, po co mu ten czterocyfrowy numer. Teraz wielka tablica, instruująca, co krok po kroku ma zrobić, rozwiewała wszelkie wątpliwości.

Gdy spód wagonika otarł się z trzaskiem o kamieniste podłoże, komisarza przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Wiedział jednak, że wrodzona duma już nie pozwoli mu się cofnąć.

Wsiadł na kilkusobową metalową ławę i położył obok siebie bagaż. Nie spiesząc się, opuścił ramię zabezpieczającą. Dopiero gdy mechanizm – też z trzaskiem – przyjął właściwą pozycję, kolejka ruszyła. Deryło starał się nie patrzeć w dół. Czuł, że chłód owiewa mu nogi i że coraz większa odległość dzieli go od podłoża. Przetykał ślinę, jakby znajdował się w startującym samolocie. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Stawał się elementem bezkresnej, dzikiej przestrzeni.

Starał się skupić na kłębiących się na horyzoncie chmurach i na postrzępionych zboczach gór. Kątem oka rejestrował, że z każdą sekundą masywna bryła hotelu dynamicznie się przybliża. Wagonikiem nieprzyjemnie telepało. Do tego niemal zupełną ciszę brutalnie przecinało szuranie zapięcia o linę.

Deryło zastanowił się, czy zainstalowanie kodów cyfrowych i mechanizmów zabezpieczających wiązało się z całkowitą modernizacją kolejki. Szczerze w to wątpił. O ile zdążył się zorientować, Tatra Elegance była zabytkowym hotelem z zabytkową infrastrukturą. Na internetowych portalach chwalono ten przybytek, ale jednocześnie narzekano, że brakuje mu różnych udogodnień. Wiele osób, podobnie jak on, nie potrafiło wyjść z podziwu dla budowniczych, którzy zdołali wznieść budynek na tak niedostępnej skale. Czy przy pracy wykorzystywali jakieś potężne rampy? W tamtych czasach nie było przecież jeszcze helikopterów... Nim Deryło zdążył głębiej roztrząsnąć tę myśl, metalowa podłoga znów uderzyła o kamienie. Wagonik się zatrzęsł i zaraz znieruchomiał.

Komisarz pospiesznie podniósł ramię i chwycił bagaż. Z ulgą stanął na niemal samym szczycie skalistego wzniesienia. Od hotelu dzieliło go kilkanaście metrów. Wokół znajdowało się kilka rachitycznych krzewów i starych lamp.

Mocny powiew wiatru uderzył go w twarz. Zawieszony nad hotelowym wejściem daszek załopotał jak chorągiew. Po ścieżce potoczyła się pusta plastikowa butelka i zatrzymała się u stóp komisarza. Podniósł ją i wyrzucił do rdzewiejącego śmietnika.

Ciężkim krokiem ruszył do drzwi. Starał się iść szybko i pewnie, by zamaskować drżenie nóg. Nacisnął klamkę, a po chwili znalazł się w eleganckim holu. Czasy świetności Tatra Elegance z pewnością miała dawno za sobą, lecz komisarz uwielbiał takie miejsca. Do tego z przyjemnością wciągnął zapach świeżości. Marmurowe podłogi musiały zostać wyszorowane co najwyżej kilka godzin wcześniej.

Pulchna recepcjonistka za mahoniowym blatem drgnęła. Zmrużyła oczy. Deryło obstawiał, że

albo zapomniała włożyć soczewki, albo ukrywała przed szefem fakt, że nosi okulary. Więcej postawiłby na pierwszą opcję. Czasy romansu z hazardem miał już jednak za sobą, ale bywało, że pokusa odżywała w najmniej spodziewanych momentach. Mimo to teraz podskórnie czuł, że towarzyszy mu pech. Gdyby spróbował w cokolwiek zagrać, przegrałby. Takie poczucie nie opuszcza byłych alkoholików, narkomanów i hazardzistów. A później znów pojawia się pokusa...

Deryło odsunął te myśli i poszedł w stronę recepcji.

– Dzień dobry. – Skinął głową na przywitanie.

Diana Smolar uśmiechnęła się uśmiechem wszystkich porządnym recepcjonistek.

– Pan...?

– Eryk Deryło. Rezerwowałem u państwa pobyt od...

– Już wszystko wiem. – Recepcjonistka wpisała kilka poleceń na komputerze. Jej palce uderzały w klawiaturę z prędkością pianisty wygrywającego Etiudę rewolucyjną. – Elektroniczne rejestracje to cudowny wynalazek.

– A pan ma piekielne szczęście – odezwał się ktoś z przeciwległej strony holu.

Deryło odwrócił się i zobaczył niskiego mężczyznę, wspartego na kuli. Miał około czterdziestu lat. Nosił krótki angielski wąsik, a śnieżnobiała koszulka polo oraz spodnie w kolorze cappuccino nadawały mu sznytu człowieka, który właśnie opuścił pole golfowe.

– Piekielne szczęście? – Deryło podał recepcjonistce dowód. – To chyba oksymoron.

– Zwał jak zwał. Zarezerwował pan przedostatni pokój. Kolejny zniknął dosłownie chwilę później...

– I to miałyby być piekielne szczęście?

Niski mężczyzna zatrzymał się tuż przy Deryle. Odstawił kulę i podał mu dłoń.

– Artur Miller, jestem właścicielem tego hotelu. Czy pan również... – Hotelarz zawiesił głos, zastanawiając się nad doborem słów. – Czy wolno mi zapytać, czy pan również bierze udział w tym projekcie?

– Nie mam zielonego pojęcia, o jaki projekt panu chodzi. I, szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć.

– Po prostu nie wiem, czego się mam spodziewać. Mam nadzieję, że to nie zlot kapel rockowych, które rozchrzanią mi pokoje i pomażą wszystko w pentagramy.

Deryło odebrał dowód. Obrócił go między palcami i schował do kieszeni. Zmrużył oczy. Przez kilka sekund uważnie lustrował rozmówcę.

– Czy ja wyglądam na rockmana? – zapytał bardzo poważnie. – Nie wiem, o czym pan mówi.

– Czyli...

– Tak. – Deryło chwycił klucz i ruszył w stronę windy. – Nie biorę udziału w żadnym projekcie i nic o nim nie wiem. Przyjechałem się tu z kimś spotkać. Ale nic panu do tego.

Zgodnie ze wskazówkami recepcjonistki pokój Deryły znajdował się na pierwszym piętrze, na końcu korytarza. Kiedy komisarz się do niego zbliżał, pojedyncze krople deszczu zaczęły bębnić o szyby. Coraz mocniejsze porywy wiatru przeciskały się między nieszczelnymi ramami. Przeciąg trzasnął jakimiś drzwiami.

Deryło wyjrzał przez okno. Zbocza gór po przeciwnej stronie doliny rozmazywały się w smugach deszczu. Nad ziemią zbierały się kłęby mgły. Prognozy synoptyków sprawdziły się z zaskakującą dokładnością. Mimo że dopiero minęła siedemnasta, na dworze zrobiło się niemal całkiem ciemno.

Komisarz zrzucił z ramienia torbę i sięgnął do kieszeni. Zamiast na klucz trafił na komórkę. Wyciągnął ją i podświetlił ekran.

Nic. Żadnych nowych połączeń. Żadnych esemesów.

Jedna kreska zasięgu. Na ułamek sekundy zastąpił ją wypisany czerwonymi literami komunikat „brak sieci”.

– Pięknie – syknął Deryło. – Jak pech, to pech.

Schowwał telefon i włożył dłoń do drugiej kieszeni. Wyciągnął kulkę zrobioną z żurawia origami i cisnął ją do kosza. Dopiero potem sięgnął po klucz. To, że dostał pokój numer trzynaście, wcale go nie dziwiło. Był przesądny, ale nie na tyle, by poprosić o jego zmianę. Ponoć coraz popularniejsze stawały się hotele i budynki, w których przy numeracji lokali unikano pechowych liczb. Najlepiej byłoby chyba oznaczać je literami. Dla większości Azjatów pechowa jest czwórka, w Japonii dziewiątka, we Włoszech siedemnastka... Komisarz starał się wystrzegać każdej z tych liczb. Mimo to od starania się do przyznania się do tego i narażenia godności na szwank daleka droga. Dlatego po przydzieleniu pokoju jedynie skinął głową. Nie zamierzał drążyć tematu.

Gdy przekręcił klucz i położył dłoń na klamce, ogarnęło go złe przecucie. Poczł się paskudnie samotny. Odgłosy rozpoczynającej się nawałnicy zagłuszały jakiegokolwiek inne dźwięki. Bez problemu mógł sobie wyobrazić, że znajduje się sam pośrodku niczego. W leśnej samotni skrytej na białej plamie mapy. Chyba po raz pierwszy nie było mu z tą myślą dobrze. Po raz pierwszy przesywała go świadomość, że to całkiem realne. Mógłby zostać sam, bez kogokolwiek bliskiego.

Nieznośnie sam.

Bez choćby mglistego wyobrażenia o istnieniu kogokolwiek, do kogo mógłby się odezwać, nie marnując słów. Do kogo cokolwiek by czuł. Samotny i pusty. Żyjący, ale jednocześnie całkowicie wyzuty z życia.

Komisarz puścił klamkę i odszukał w kieszeni srebrny sesterce. Obrócił go między palcami. Przez chwilę stał nieruchomo, patrząc na mosiężną tabliczkę z numerem pokoju. Wreszcie westchnął i nacisnął klamkę.

Bez zastanowienia przestąpił próg.

Rozpiska umieszczona na okrągłym stoliku informowała, że kolację w hotelu Tatra Elegance serwowano od godziny dziewiętnastej. Kwadrans przed tą godziną Deryło wyszedł spod prysznicy i włożył białą koszulę. Rękawy spiął srebrnymi spinkami z podłużnymi onyksami. Włożył marynarkę, lecz zdał sobie sprawę, że w samochodzie zostawił jedwabną poszetkę. Uznał, że nie będzie po nią wracał. Szkoda mu było zachodu, tym bardziej że nie zamierzał z nikim rozmawiać ani się spoufalać. Musiał zrobić odstępstwo od swojego wieczorowego dress code'u.

To wszystko.

Kilka miesięcy temu z pewnością nie pozwoliby sobie na takie zachowanie. Nie zważał na otoczenie ani wymogi dotyczące dress code'u. Po prostu czuł się dobrze tylko wtedy, gdy był ubrany elegancko. Wówczas miał właściwą pewność siebie i grację. Bez marynarki zazwyczaj miał wrażenie, że jest pokracznym bokserem wagi ciężkiej na przedwczesnej emeryturze. I tak też się zachowywał.

Za sześć siódma zerknął na starego tissota i poszedł zwilżyć twarz zimną wodą. Znowu nachodziły go duszności. Delikatne ćmienie z tyłu głowy zwiastowało migrenę. Komisarz wyjął z podręcznej kosmetyczki listek tabletek. Łyknął dwie z nich i popił wodą z kranu. Napił się jeszcze raz, by splukać ich gorzki posmak. Miał poczucie, że wygląda jak kupa gówna. Opakowana w nie najgorszy strój, ale nadal kupa gówna. Nie zamierzał się jednak nad tym rozwodzić.

Dziesięć minut później wkroczył do niewielkiej sali restauracyjnej. Jej ściany były pomalowane na ciepły, łososiowy kolor, a ich powierzchnię gdzieniegdzie urozmaicały skromne sztukaterie. Z sufitu zwisały potężne żyrandole z kryształkami i żarówkami w kształcie świeczek. Na środku stał chromowany stół bufetowy. Zawartość tacek z jedzeniem osłaniały półokrągłe, przesuwane szyby.

Deryło błyskawicznie zlustrował otoczenie. W sali znajdowało się kilka osób. Kobieta w stalowej garsonce i okularach nakładała właśnie na talerz surówki. Siwy, elegancki mężczyzna rozmawiał z innym, znacznie młodszym, ubranym w koszulę z nadrukowanym logo sportowej marki. Obaj co chwilę uśmiechali się do siebie jak ludzie, którzy starają się wzajemnie wybadać. W rogu sali siedziała kobieta z burzą ciemnoblonde włosów. Powoli popijała czerwone wino. Mężczyzna w rozciągniętym swetrze, którego ściągacza sięgała jego kozia bródka, przypatrywał się jej ukradkiem z miejsca oddalonego o dwa stoliki. Kelner, ubrany w męską wersję mundurku, jaki miała recepcjonistka, właśnie podał mu talerz z parującym daniem.

Kłębiące się przez ostatnie godziny w Deryle poczucie samotności zastąpiło równie nieprzyjemne poczucie wyobcowania. Komisarz podszedł do stolika przy ścianie i położył na blacie klucz do pokoju. Ten międzynarodowy znak zarezerwowania miejsca nie uchodził za elegancki, ale Deryło nie zamierzał się do nikogo dosiadać. Nie chciał ani towarzystwa, ani stolika, przy którym to inni mogliby go obserwować.

Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, nałożył sobie kilka sałatek i nalał wody tłoczony ponoć wprost ze źródła. Niespełna minutę po tym, gdy usiadł, zjawił się przy nim kelner. Podał mu kartę alkoholi oraz zaproponował jeden z trzech przygotowanych na wieczór zestawów dań. Deryło podziękował za zupę i wybrał lekką potrawkę na bazie pstrągów. Choć nie jadł od wielu godzin, nie był głodny. Niepokój zacisnął pięść na jego żołądku. Aby ją rozluźnić, komisarz poprosił o podwójny bourbon. Woodford Reserve stanowił jeden z jego ulubionych trunków. Gdy kilka minut później przełknął pierwszy łyk, od razu poczuł się lepiej. Jego myśli wreszcie skierowały się na nieco weselszy, spokojniejszy tor.

Tylko na moment.

Deryło starał się smakować rybę, lecz jego umysł co chwilę zaprzętał temat jutrzejszego spotkania. Niecierpliwił się. Nie wiedział, czego się spodziewać, i właśnie przez to wciąż dławił go niepokój. Jak większość ludzi, nie znosił zaskoczeń. Żadnych niespodzianek, żadnych nieprzewidzianych sytuacji. Niby kiepski rys psychologiczny dla gliniarza, ale Deryło umiał

rozgraniczyć robotę od życia prywatnego, choć obie te sfery czasem bez jego woli nakładały się na siebie.

Z zamyślenia wyrwało go brzdękanie sztućców. Obok stołu bufetowego stał Artur Miller. Nadal miał na sobie koszulkę polo oraz jasne spodnie. Stukał dwoma widelcami, starając się skupić na sobie uwagę zebranych. Gdy na sali zapanowała cisza, mężczyzna odchrząknął. Odłożył sztućce i oparł się na kuli.

– Widzę, że są już wszyscy goście – odezwał się wyraźnie stremowany. Wbił wzrok w nieokreślony punkt, w którym nie było nikogo. – Prosiłem, aby przyszli państwo na początek kolacji, bo takie też polecenie dostałem od waszego sponsora – oznajmił, siłąc się na uroczysty ton. – Jeszcze raz dziękuję wszystkim za przybycie. Naprawdę bardzo mi miło gościć państwa w Tatra Elegance.

– I tyle? – skomentowała kobieta w garsonce.

– Właśnie. I tyle? – dopytała druga, anorektycznie szczupła brunetka, której wcześniej Deryło nie widział. Wydała mu się jednak podobna do którejś z aktorek występujących w serialach oglądanych przez jego żonę.

– Nie. – Właściciel hotelu uniósł wzrok i się uśmiechnął. – Proszę o szczególną uwagę. Mam dla państwa wiadomość.

– No pięknie. Oby nie o tym, że sponsor jest niewypłacalny.

Słowa mężczyzny w markowej koszulce sprawiły, że kilka osób parsknęło śmiechem. Deryło obserwował tę scenę z rosnącym zainteresowaniem. Skończył jeść i upił łyk bourbona. Odstawił szklankę, po czym sięgnął po serwetkę. Otarł usta, a następnie bezwiednie zaczął z niej składać żurawia origami. Jego duże, grube dłonie były zaskakująco zręczne.

– Sponsor jest wypłacalny – oznajmił drętwo Miller. – Proszę się o to nie martwić i korzystać do woli z naszych usług. – Wyciągnął z kieszeni zmiętą kopertę i zaśmiał się nerwowo. – Zabroniono mi jej wcześniej otwierać, więc jestem, tak samo jak państwo, ciekaw, o co w tym wszystkim chodzi. Chwileczkę. Już mam. Wiadomość nie jest długa...

Hotelarz wygładził dłonią kartkę i zaczął czytać.

Jego zaskoczenie rosło z każdym słowem.

Deryło odchylił się w krześle i przymknął oczy. Był wzrokowcem, a przyswojenie odczytywanych tekstów zawsze sprawiało mu trudność. Szybko tracił koncentrację i gubił wątek. Tym razem jednak jego umysł analizował każde słowo. Wypracowany przez lata policyjnej roboty instynkt wzmógł czujność komisarza.

– „Miło mi państwa powitać w hotelu Tatra Elegance. To wielka przyjemność i frajda – czytał Miller cicho, ale jest głos świadczył o tym, że jest zaintrygowany. – Jeżeli przewidywania pogodowe się sprawdziły, dojazd do tego miejsca wkrótce okaże się bardzo utrudniony. Zresztą nie tylko dlatego... W związku z tym cieszę się, że wszyscy zdążyli się stawić. Na razie nie mogę osobiście się państwu zaprezentować, lecz żywię nadzieję, że chwile spędzone w tym miejscu zapamiętacie do końca życia”. Przepraszam...

Artur Miller odchrząknął i otarł pot z czoła. Deryło otworzył oczy. Dostrzegł, że hotelarz stara się bezgłośnie odczytać jak najdłuższy kawałek listu. Zapewne wolał uniknąć kompromitujących treści. Nie miał pojęcia, czy przypadkiem nie stał się właśnie mimowolnym uczestnikiem jednej z zenujących imprez firmowych. Albo scen aranżowanych przez nagrywających go z ukrycia blogerów.

– Czytaj pan dalej... – mruknął mężczyzna z kózką bródką.

Z sali padły kolejne ponaglące komentarze.

Miller przełknął ślinę i odkaslnął. Jeszcze raz wygładził list dłonią.

– Już, już... – sapnął. – Potrzebuję lepszego światła.

Deryło był pewny, że właściciel hotelu jedynie gra na zwłokę. Obserwował, jak pod pretekstem słabego oświetlenia Miller drepcze w miejscu i bezgłośnie odczytuje kolejne linijki. Wreszcie wymownie odchrząknął.

– No dobrze, nie wiem, czy robicie sobie państwo żarty, czy o co chodzi, ale skoro mam czytać, to czytam. Potraktuję to jak kalambury.

– A jaka jest nagroda? – zapytał sarkastycznie Tymon Werski.

– To państwu opłacono pobyt, a nie mnie występ.

Stojący w rogu sali dziarski siwy mężczyzna się roześmiał. Po chwili przytknął do ust zwiniętą dłoń i wymownie odkaslnął. Rozejrzał się, szukając dozownika z wodą.

– Prosimy, niech pan czyta, i wracamy do jedzenia. Dania stygną.

Miller poważnie skinął głową. Uwaga o tym, że goście hotelu mogliby jeść chłodne potrawy, stanowiła dla niego wystarczającą mobilizację. Po chwili wrócił do czytania.

– „Żywię nadzieję, że chwile spędzone w tym miejscu zapamiętacie do końca życia... – powtórzył ostatnie zdanie. Powiedział wzrokiem po zebranych, po czym zaczął odczytywać dalszą część wiadomości: – Życie niektórych z państwa może okazać się krótsze, niż państwo sądzą. Dzieci myślą, że są nieśmiertelne, a dzień to dla nich cała wieczność. Starcom, świadomym końca, dni mijają w okamgnieniu. Rodzimy się i umieramy. Jemy, cieszymy się, płodzimy dzieci. A potem ginie po nas jakikolwiek ślad. Z perspektywy galaktyki, konstelacji czy całego wszechświata jesteśmy niczym. Życie nie ma żadnego znaczenia, ale z pewnością jest sumą konsekwencji. Jeżeli jeszcze się nie domyśliliście, napiszę wyraźnie: właśnie dlatego tutaj jesteście. Rozglądaliście się kiedyś wokół i zastanawialiście, która z otaczających was osób umrze pierwsza? A może pierwsi umrzecie wy? Rozejrzyjcie się i zadajcie sobie to pytanie. Znaćcie odpowiedź? Macie swoje typy?”

Hotelarz złożył kartkę i podniósł wzrok. Wyglądał, jakby się spodziewał, że w tym momencie goście wybuchną śmiechem. Na ich twarzach malowało się jednak zdziwienie. Nikt się nie zaśmiał. To wprawiło go w jeszcze większą konsternację.

– To nędzne. – Szymon Szewski klasnął kilka razy. – Trochę nowatorskie, performerskie, ale nędzne...

– Nędzne? – obruszyła się wysoka anorektyczka. – Dla mnie to popieprzone. Lepiej się nażreć i stąd spadać. Kropka. Nie lubię mieć styczności z niczym popieprzonym. Starczy mi były mąż.

– Przecież to czyjś idiotyczny wyglup. Kto, do cholery, coś wie? Kto, do cholery, płaci za to, żebyśmy się nażarli?

Kolejne osoby obrzucały się oskarżającymi, podejrzliwymi spojrzeniami. Deryło przez chwilę obserwował tę dziwną scenę, wreszcie zatopił się we własnych myślach. Nie interesowały go sprawy innych. Nie miał nastroju do zgłębiania wyglupów albo firmowych dowcipów. Mimo to przez cały czas podświadomie analizował treść odczytanej wiadomości. Było w niej coś niepokojącego.

Chaos?

Szaleństwo?

Zimna, pokrętna logika?

Nie potrafił sprecyzować, ale po latach konfrontowania się z różnymi szaleńcami umiał ich wyczuć. Choć z całą pewnością był też przewrażliwiony. Często najlepsza zabawa jest wtedy, gdy nie mamy pojęcia, że bierzemy w niej udział. Pewnie taka myśl przyświecała szefowi działu jakiejś firmy. Albo organizatorce wieczorku panieńsko-kawalerskiego. To też był dobry trop. Choć patrząc po przekroju wiekowym gości, nie zanosilo się na najlepszą zabawę.

Deryło odłożył sztucce i dopił bourbon. Przez chwilę wahał się, czy nie zamówić jeszcze jednej szklaneczki. Woodford zostawił na jego języku ostry posmak. Czuł lekkie drętwienie ust oraz ścianek gardła. Powoli nabrał przez zęby powietrza.

Na razie podwójny bourbon musiał mu wystarczyć. Na wszelki wypadek w samochodzie miał całą butelkę. Mimo wszystko wolał się nie rozochocąć i o tym nie myśleć. Tego wieczoru powinien pozostać skupiony. Czekwały go długie rozważania, a jutro wszystko w końcu miało się stać jasne. Jechał kilkaset kilometrów nie po to, żeby zagłuszyć myśli. Skoro stawiał się w tym hotelu, zdecydował się wybrać drogę samobiczowania, a nie ucieczki. Wiedział o tym.

Decyzję podjął już dawno.

Poza tym perspektywa zjazdu wagonikiem tylko po to, by wziąć z auta butelkę, skutecznie go zniechęcała. To również uwzględnił w swoim planie utrzymania trzeźwości. Ostatnio pił zbyt często i zbyt dużo. Z tego także zdawał sobie sprawę. Alkohol skutecznie wypełniał pustkę.

Komisarz odchrząknął. Zmiał żurawia origami, otarł usta kolejną serwetką i wstał od stołu. Zatopiony w rozmyślaniach, ruszył w stronę wyjścia. Nagle ktoś chwycił go za rękę. Wyrwany ze świata własnych problemów, nieprzytomnie zamrugał. Obok niego stała elegancka kobieta. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, ale mogła mieć nawet dziesięć więcej. Miała kasztanowe włosy i prostokątne okulary oparte na haczykowatym nosie. Dość pełne usta pomalowała intensywnie czerwoną szminką.

– Pan jest komisarzem policji, prawda? – zapytała bez ogródek. – Nie mogłam się pomylić...

Deryło utkwiał w niej uważne spojrzenie. Przez chwilę lustrował ją wzrokiem, wreszcie delikatnie skinął głową. Uśmiechnął się. Poczul nagłe, całkowicie niezrozumiałe skrępowanie.

– Poznała pani po urodzie? Podobno każdy gliniarz wygląda jak Bruce Willis. Albo to Bruce Willis wygląda jak policjant, ale...

Kobieta przerwała jego chaotyczny wywód.

– Kiedyś przesłuchiwał pan mojego klienta. To było jedno z tych przesłuchań, których się nie zapomina.

– Owocnych?

– Dla pana z pewnością.

– I przychodzi pani z reklamacjami?

– Mój klient nie rozumiał, że może odmówić odpowiedzi na niektóre pytania. Dał się sprowokować jak totalny baran. Swoją drogą, był głupszy od barana.

– Chyba nie liczy pani, że teraz przepraszę. A może chce pani po prostu dać mi po gębie?

– Nie. Chciałam jedynie powiedzieć, że szanuję to, co pan wtedy zrobił. Majstersztyk.

– Tylko tyle?

– Prawdę mówiąc, nie. Zdradzi mi pan, czy jest pan tu służbowo?

Deryło zmrużył oczy. Kolejne fakty błyskawicznie łączyły się w jego mózgu.

– Nie – wypalił automatycznie. – Broń Boże.

– Naprawdę? Liczyłam na nieco szczerości... – Kobieta wyciągnęła dłoń. – Anna Herc. A to...

– Odwróciła się i skinęła głową.

Dopiero teraz Deryło zdał sobie sprawę, że wszyscy goście zgromadzili się za plecami prawniczki. Musiała występować w ich imieniu. Pewnie już rozpoznała, że go kojarzy, następnie na podstawie odczytanej przez hotelarza wiadomości stworzyła spiskową teorię dziejów, a teraz oczekiwała, że komisarz przyzna się do prowadzenia tutaj śledztwa. A najlepiej do tego, że już aresztował psychopata.

Herc zaczęła przedstawiać kolejne osoby. Deryło nie przerwał jej, ale nie okazał też żadnego zainteresowania tym, co prawniczka mówiła. Gdy Tymon Werski zrobił krok, by podać mu rękę, komisarz się cofnął. Założył dłonie za plecy.

– Jestem szczerzy – mruknął wreszcie. – Nie wiem, o co tu chodzi, w co się wszyscy bawicie, ale mam to gdzieś. Powiem dosadniej. Mam to głęboko w dupie.

– Zdaje się, że nikt z nas nie uważa tego za zabawę – odezwała się chuda brunetka, którą Herc przedstawiła jako Kamilę Pollinou. Deryło to nazwisko gdzieś już obito się o uszy. Wraz ze wspomnieniem twarzy z telewizji był niemal pewny, że to jedna z aktorek celebrytek. Albo raczej na odwrót – celebrytek aktorek.

– Chyba jesteście tu państwo z własnej woli? – zakpił komisarz. – Jeżeli ktoś was zmusza i nie macie komórek, w recepcji jest telefon. Można zadzwonić pod sto dwanaście.

Magdalena Rewera postąpiła do przodu. Odrzuciła burzę opadających na twarz loków i pokręciła głową.

– Słyszał pan tę wiadomość? To były groźby. Ktoś próbuje nas nastraszyć.

– Naprawdę się pani przestraszyła?

– Dla pana to śmieszne?

Deryło wzruszył ramionami.

– Czy ja się śmieję?

– Nie traktuje nas pan poważnie.

Rewera łypnęła w bok. Komisarz kątem oka dostrzegł, że o jeden z marmurowych filarów oparł się Artur Miller. Z założonymi na piersi rękoma przysłuchiwał się wymianie zdań.

– Naprawdę nie jest tu pan służbowo? – dopytywała Herc.

– Nawet gdybym był, pewnie bym się nie przyznał.

– W takim razie przynajmniej mnie pan uspokoił. Nie wierzę w przesadne zbiegi okoliczności... A to naprawdę wygląda jak cholernie naciągany zbieg okoliczności.

Deryło wytrzymał świdrujące spojrzenie pani adwokat. Nie spuścił wzroku. Zbyt wiele razy spotykał się z podobnymi gierkami prawników. Odwrócenie wzroku w ich mniemaniu stanowiło przyznanie się do winy. Albo wywieszenie białej flagi.

– W nocy zapowiadają załamanie pogody – mruknął.

Zebrani goście popatrzyli na niego wyczekująco. Jakby był guru, który zna odpowiedź na wszystkie dręczące ich pytania. Albo jakby to on brał udział w jakimś spisku przeciw ich życiu.

Deryło wyprostował się i ruszył do wyjścia z jadalni. Ciężko sapnął.

– Dobranoc – rzucił za siebie. – W taką pogodę fantastycznie się śpi. Naprawdę polecam. Łóżka wydają się wyjątkowo wygodne.

Kamila Pollinou wróciła do pokoju z butelką wina. Co chwilę pociągała z niej kolejny łyk. W końcu zdała sobie sprawę, że wypila prawie dwie trzecie. Czknęła, po czym otarła usta wierzchem dłoni.

– Dość, dość, dość... – zanuciła wesoło. – To się źle skończy.

Odstawiła butelkę na stylową, sześcienną komodę stojącą pod zdobionym jedną ze ścian lustrem. Lustro miało co najmniej półtora metra długości na metr szerokości. Powiększało i rozjaśniało pomieszczenie. Odbijały się w nim dwuosobowe łóżko, szafka nocna oraz dwa kinkiety z cylindrycznymi kloszami. W pokoju znajdowały się jeszcze spora szafa i stolik. Na jego poobijanym blacie oprócz czajnika ustawiono opakowanie z saszetkami herbat i kaw rozpuszczalnych. Pusta butelka po wodzie leżała obok łóżka.

Pollinou pociągnęła jeszcze łyk wina. Lekko się zataczając, kucnęła przy walizce i ją otworzyła. Zaczęła czegoś szukać. Nerwowo wyciągała ze środka kolejne ubrania. Na podłodze w nieładzie leżały koszule, staniki, majtki, pstrokata sukienka...

– Kur... – Zirytowana rozpięła boczną kieszonkę. Zamek się urwał i został jej w ręce. – Ja pieprzę. Co za gówno! – Cisnęła suwakiem w lustro. – Nie mogłam o nim zapomnieć! O nie, nie, nie... To niemożliwe.

Aktorka nerwowo przebierała dłonią za śliskim materiałem. Z ulgą natrafiła na plik papierów. Wyjęła go i tryumfalnie rzuciła na podłogę. Sięgnęła po kartkę, która upadła najbliżej jej stóp. Przebiegła ją wzrokiem, po czym westchnęła. Próbując się skoncentrować, przyłożyła lewą dłoń do skroni.

– „Jeśli masz dość jaj, żeby umrzeć, sam sobie ze wszystkim poradzisz – zadeklamowała. – Jeśli nie, żyj sobie jak cholerny robak, aż w końcu ktoś większy i silniejszy cię zdepcze. Może zupełnie przez przypadek. Może po prostu na ciebie upadnie”.

Pollinou uśmiechnęła się zadowolona, że znała tę rolę już na wrywki. Gdy półtora miesiąca temu reżyser werbował ją do projektu, nie była przekonana co do szans powodzenia filmu. Wydawał się jej pretensjonalny, mało śmieszny i zbyt sensacyjny. Po poznaniu scenariusza wątpliwości się rozwiały. Tak charakternej kobiecej roli jeszcze nie było. W czasach politycznej poprawności, by liczyć na to, że film stanie się hitem, wystarczyło odgrzać Rambo lub Brudnego Harry'ego, a w ich miejsce wstawić zadziorną dwudziestoparolatkę. Tym lepiej, że Pollinou była zadeklarowaną lesbijką.

– „Mogłabym zrobić z tobą, co zechcę. Ale na nic nie mam ochoty. Jesteś niewartym mojego wysiłku zerem”.

Pollinou podniosła się i sięgnęła po butelkę. Jednym haustem wypila jej zawartość niemal do końca. Znów czknęła. Otarła usta wierzchem dłoni i podparła się o skraj stolika.

Zastanawiała się, czy w hotelu widziała barek. Nie mogła sobie tego przypomnieć. Ale skoro do kolacji serwowano wino, musiało być też gdzieś składowane. Musiała istnieć jakaś piwniczka lub chłodnia. Gdyby znalazła kelnera albo boy'a, nie miałyby problemu z dobraniem się do zasobów alkoholu. Wystarczyłby krótki flirt bądź banknot. Lepiej to pierwsze. Tym bardziej że w pokojach brakowało lodówek z małpkami, co było przecież winą tego cholernego hotelu. A pieprzeni właściciele mieli czelność powoływać się w nazwie na elegancję.

Pollinou pchnęła butelkę w stronę kosza. Ta potoczyła się po jasnej podłodze, znacząc ją czerwonymi kropkami. Kobieta nie zwróciła na to uwagi. Rozpięła guziki koszuli, następnie ją zdjęła i rzuciła na łóżko.

W myślach wciąż powtarzała kolejne kwestie. Zadowolona zaczęła delikatnie wywijać biodrami. Poruszała się w rytmie sylabizowanych zdań. Od lat utrwałała role, półszepcem je rapując. Tę metodę sprzedał jej jeden z wykładowców na przyspieszonym kursie, gdy dostała pierwszą rolę. Zanim zaczęła przygodę z aktorstwem, Pollinou wydała dwa albumy muzyczne. Podobno miała ciekawy głos,

ale za mało nad nim pracowała. Mimo to jej piosenki trafiły do serc tysięcy nastolatków. Potem jej kariera potoczyła się sama. Półnaga sesja do znanego czasopisma, parę kontrowersyjnych wywiadów, napisana z ghostwriterem obrazoburcza książka o celebrytach. Standardowy pakiet salonowego from zero to hero. Nigdy jednak nie zapomniała o swoim intensywnym debiucie z producentem filmu, który się nigdy nie ukazał.

– „Czasem inwestycje się nie opłacają. Czasem popełnia się błędy. Ale gdy ryzykujemy dwa, trzy, pięć razy, w końcu szczęście się do nas musi uśmiechnąć. Jeśli nie, możemy sobie spokojnie strzelić w łeb. Wąskie grono pechowców zajętych szukaniem farta nie będzie po nas płakało”.

Pollinou dobrnęła do końca sceny. Ani razu się nie zająknęła.

– Brawo! – Zaczęła klaskać. – Brawo!

Zdjęła stanik i cisnęła go na blat szafki. Oparła się o nią rękoma. Przez chwilę patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Zarumienione policzki, kształtny nos, nieco zbyt małe piersi, które planowała poprawić.

Pochyliła się i zbliżyła twarz do lustra. Obróciła głowę, patrząc na pokój pod kątem. Wydało się jej, że coś drgnęło. Pomieszczenie za jej plecami przez ułamek sekundy przeciął refleks światła.

Kobieta nabrała tchu.

– Pijana, pijana, pijana... – wycodziła do swojego odbicia.

W tym samym momencie usłyszała cichy szelest. Chwilę później zauważyła, że drzwi szafy się poruszają. Rozsuwały się, jakby pchała je niewidzialna siła. Centymetr po centymetrze.

Nieustannie.

Coraz mocniej.

Nagle z trzaskiem otworzyły się na oścież. Nim Pollinou zdążyła się odwrócić, dostrzegła coś w lustrze.

Zarys sylwetki wychodzącej z szafy do pokoju. Zarys postaci, która materializowała się tuż za jej plecami.

– Długo na ciebie czekałem – odezwał się czyjś szorstki głos.

Deryło przebrał się w spodnie od piżamy i zdjął koszulę. Wiatr łomotał w szyby, ale w pokoju było ciepło. Może nawet za ciepło.

Komisarz podszedł do kaloryfera i skręcił pokrętko do minimum. Wolał otworzyć okno, ale w nocy huragan mógłby nie dać mu spać. Już teraz zdawało się, że wichura przeciska się przez wszystkie szpary w hotelu. Porywy wiatru co rusz biczowały okna i ściany.

Deryło usiadł na łóżku i zerknął na szafkę nocną. Na jej blacie ustawił niewielką fotografię. Uwieczniała moment, gdy jego żona i córka schodziły z największego rollercoastera w Europie. Obie były blade i miały niepewne miny, ale ich oczy wręcz eksplodowały radością. Deryło pamiętał, że chwilę później zarzekały się, że nigdy więcej nie pojedą tą szaloną kolejką. Mimo to po godzinie znów w niej siedziały.

To było sześć lat temu.

Od tamtego czasu wszystko się zmieniło.

Przed paroma miesiącami, po tym, jak wreszcie dopadł Cztery Iksa, wydawało się, że dla Deryły nastanie dobry czas. Wieszczone mu rychły awans. Szeptano o możliwej fusze zastępcy naczelnika wydziału kryminalnego. Mamiono podwyżką. Jednak ani jedno, ani drugie komisarza nie obchodziło. Po blisko trzech dekadach służby chciał już tylko odpocząć. Może jeszcze nie na emeryturze, ale prowadząc proste sprawy. Bez presji mediów i czasu. Przeżyć ostatni spokojny rok albo dwa, nie wplątując się w nic, co mogłoby uaktywnić hormony odpowiedzialne za pobudzenie syndromu zbawiciela.

O nie. Deryło nie chciał już zbawiać świata. Świat przestawał mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Przynajmniej starał się to sobie wmówić.

W swojej karierze zaliczył już wszystkie fazy. Ekscytacji, pracoholizmu, przesytu, a wreszcie – wypalenia zawodowego. Jako młody zdolny został szybko zauważony. Poprowadzone na styku etyki i wykroczenia służbowego dochodzenie przyniosło mu namiastkę sławy. Uściski ministra, poklepywania po plecach przez przełożonych, a do tego całe mnóstwo wywiadów i konferencji prasowych. Deryło napisał też kilka artykułów do branżowej prasy. Jego sposób działania, w nieco ocenzonej formie, trafił do podręczników.

Im bardziej podkreślano zasługi komisarza, tym mocniej on sam oddalał się od rodziny. Stał się guru dla podwładnych. Słyszał o nim każdy zainteresowany wstąpieniem do policji. Zapraszano go na kolejkę whisky, partię pokera lub bilard. Mimo że Deryło był typem odludka, przez długi czas nie potrafił odmówić. Zaczął pijać o szklaneczkę za dużo, a sypiać o godzinę za mało. Oprzytomnienie przyszło, gdy stał się świadkiem makabrycznego wypadku. Postąpił tak, jak uważał za słuszne. Pomógł umrzeć śmiertelnie rannej kobiecie, ale wspomnienie tamtych chwil miało go prześladować do końca życia.

Tamtego wieczoru otrząsnął się z grzechu pychy. Znowu po robocie, zamiast wychodzić z kumplami, zaszywał się w domu. U boku żony i mającej wtedy zaledwie dwa latka córki. Już nigdy się od nich nie oddalił. Najlepiej czuł się w zaciszu gabinetu, słuchając cicho Haendla lub Schuberta i mając świadomość, że za ścianą śpią najważniejsze dla niego osoby. To było błogie życie wśród otaczającego ich szaleństwa. Mimo przeciwności losu idylla trwała niemal ćwierć wieku.

Niestety, przed kilkoma miesiącami wszystko zmieniło się na zawsze. W samochód, którym jechały Ewa oraz Wiktoria, na oczach komisarza uderzył wielotonowy tir. Siła uderzenia zakleszczyła oba pojazdy. Deryło obserwował wszystko ze szpitalnej sali, w której leżał jego brat. Dwie minuty wcześniej dał Ewie kluczyki i poprosił ją, by wróciła razem z Wiktorią do domu. Chciał pobyć z Romanem jeszcze chwilę sam na sam. Miał wrócić taksówką.

Do mieszkania, w którym będą na niego czekały.

Do świata ich pieprzonej przyszłości. Wymarzonej emerytury z żoną u boku i wnukami na

kolanach. Do tego, o czym myślał przez trzy dekady służby i co zostało przekreślone w ułamku sekundy przy akompaniamencie gnącego się metalu.

Oderwał wzrok od zdjęcia. Jeszcze niedawno nie potrafił na nie patrzeć. Przebiegał wzrokiem po zawieszonych w domu fotografiach, ale intuicyjnie nie wyostrzał ich kształtów. Twarze żony i córki miały stanowić tło. Biały szum, którego wołał nie wysycić.

Czas rzeczywiście goił rany. Choć robił to stanowczo zbyt wolno, Deryło jednocześnie nadal chciał cierpieć.

Teraz, po niemal roku, znów mógł patrzeć na fotografie bez uczucia, że ktoś wyrywa mu z piersi serce. Czuł potworny żal, ale fizyczny ból zelżał. Czasem objawiał się jako ostre duszności, lecz komisarz wiedział, że i one w końcu miną. Musiały minąć.

Śledztwo w sprawie Mistrza Gry pozwoliło mu przestać myśleć, ale w jego sytuacji nie chodziło o adrenalinę. Nie chodziło też o zapomnienie. Sednem było pogodzenie się z rzeczywistością.

A choć wreszcie pewnie kiedyś rany się zagoją, Deryło nie wierzył, aby kiedykolwiek potrafił pogodzić się z rzeczywistością. Był na nią zły. Był wściekły na rzeczywistość, na Boga, na ład świata. A najbardziej – na samego siebie.

Rzucił do kosza zmiętego żurawia origami. Nieświadomie składał go przez ostatnie minuty z zabranej z jadalni serwetki. Kulka odbiła się od brzegu i spadła na dywan.

– Szlag. Niech to szlag...

Komisarz podniósł się i wyrzucił zmiętego żurawia do kosza. Nie znosił bałaganu. Powinno być mu wszystko jedno, ale nawet gdyby chciał się powiesić, zrobiłby to w posprzątanym pomieszczeniu.

To nie była depresja.

Nachodzące go czasem myśli o samobójstwie uznawał za skutek rozczarowania życiem. Nie traktował ich poważnie. Jak dziewięćdziesięciu procentom ludzkości, zdarzało mu się wyobrażać własną śmierć. Może jedynie nieco zbyt często... Może zbyt łatwe wydawało mu się gwałtowne odbicie kierownicą w bok lub przełożenie obu nóg za barierkę balkonu.

Ale pal diabli. Jeszcze zamierzał wykrzesać z siebie nieco energii. W sam raz, żeby podkurwić tych, którzy na to zasługiwali. Poza tym wciąż żył złudzeniami. To dzięki nim po przebudzeniu miał siłę otworzyć oczy.

Zerknął na czarnego zabytkowego tissota i zaskoczony zdał sobie sprawę, że już minęła dwudziesta pierwsza. Ilekroć wyjeżdżał służbowo, najpóźniej o tej porze dzwonił do żony. Najczęściej był już co najmniej po dwóch takich sprawozdaniach. Nawet jeżeli nie widzieli się kilkanaście godzin, rozmawiali ze sobą jak zakochani nastolatkwie.

Albo teraz idealizował tamte wspomnienia.

Deryło umył zęby i położył się do łóżka. Czuł, że nie zaśnie. Przy zapalonym świetle wpatrywał się jeszcze przez chwilę w zdjęcie żony i córki. Wreszcie zgasił lampkę. Starał się wsłuchać w szum wiatru.

W chwili, gdy jego myśli zaczęły się plątać, przeciął je straszliwy wrzask.

A potem kolejny, jeszcze głośniejszy.

Oba przypominały skowyt przerażonego zwierzęcia.

Deryło miał wrażenie, że krzyk dobiega z korytarza w drugim skrzydle budynku. Gdy dopadł do przeszklonej klatki schodowej, tłoczyli się już na niej inni goście. Od razu w oczy rzuciły się mu kozia bródka Szymona Szewskiego oraz burza włosów Magdaleny Rewery. W dalszej kolejności odnotował obecność Werskiego i dziewczyny z recepcji. Po chwili w głębi korytarza dostrzegł sztywno maszerującą adwokat Herc. Obcasy jej butów stukały o marmurową posadzkę. Mimo że ta była śliska, kobieta perfekcyjnie utrzymywała równowagę. Lata praktyki dodały jej ruchom niezwykłej swobody i gracji.

– Ktoś wie, skąd dobiegały te wrzaski? – zapytała, zbliżając się do reszty.

– Wszystkim zdaje się co innego – mruknął Werski. – Jak w głuchym telefonie.

– Może ktoś nastawił za głośno film?

– Albo to dalsza część tego dowcipu – odezwał się głos z niższego piętra. Po chwili na schodach pojawił się Antoni Galwer. Wieczorami musiał być w nieco gorszej formie, bo wspinał się na górę wyjątkowo ślamazarnie. Do tego złapała go delikatna zadyszka. – Może teraz mamy szukać tropów? Porozrzucanych po hotelu wskazówek?

– A na końcu dostaniemy bilety do pokoju zagadek? – zakpiła prawniczka. – Albo kupon promocyjny na kryminały w empiku?

– Zaraz, chwila!

Deryło ukradkiem poprawił pasek spodni. Wciągnął je pospiesznie i nie zdążył nawet wpuścić koszuli. Poza tym włożył buty na stopy bez skarpetek, co już po kilku krokach zwiastowało solidne otarcia.

– Kto był tu pierwszy? – zapytał ostro. – Ta osoba powinna wskazać kierunek, z którego wydawało jej się, że słyszy krzyk. No, śmiało! Pozwólcie mi zaspokoić pieprzone poczucie obowiązku i wrócić do pokoju.

Rewera oraz Szewski popatrzyli po sobie. O tej porze ułożenie włosów właścicielki salonów fryzjerskich nie stanowiło już ich chodzącej reklamy. Część pasemek była w nieładzie, a część, ta nad czołem – mokra i pospiesznie zebrana dwiema frotkami.

– My – odezwał się doktorant. – Właściwie pojawiliśmy się w tej samej chwili.

– I skąd, waszym zdaniem, dobiegł ten wrzask?

– Właśnie dlatego się zatrzymaliśmy – odpowiedziała Rewera, nim artysta zdążył otworzyć usta. – Moim zdaniem gdzieś z głębi korytarza. Ale już sama nie wiem, doktorek jest pewny, że z drugiego piętra.

– Też mi się tak zdawało – wtrącił się Werski. – Szedłem w tamtą stronę, ale wszyscy zebrali się właśnie tutaj...

Deryło odwrócił się do pani adwokat. Herc poczuła się wywołana do odpowiedzi, wzruszyła jednak ramionami.

– Ja właściwie przede wszystkim usłyszałam zamieszanie na korytarzu. Dlatego wyszłam z pokoju...

– Nie słyszała pani krzyku?

– Nie. Ale miałam włączony telewizor.

– Może oglądała pani zbyt głośno jakiś thriller? – zachichotał Galwer. Już nieco ochłonął po wspinaczce po schodach. Jego twarz odzyskała zwykły, blady kolor.

Herc z ukosa spojrzała na staruszkę.

– Oglądałam program informacyjny. Do tego cicho. Nigdy nie zachowuję się tak, by przeszkadzać to innym.

– W takim razie krzyk musiał dobiegać z drugiej części budynku – skwitował Deryło. – Biorąc pod uwagę rozkład pokoi oraz to, że stawili się państwo z dwu pięter, obstawiam, że gdzieś stamtąd. –

Komisarz wskazał pokoje znajdujące się w zachodnim skrzydle.

– Na dole są pomieszczenia gospodarcze – mruknął Galwer. Po chwili dodał: – Szukałem sprzątaczkę, żeby wymieniła mi pościel... – Mężczyzna zamilkł i machnął ręką.

Do Deryły podszedł Tymon Werski.

– Na piętrze pokój ma ta aktorka. Palli... – Urwał, po czym pstryknął palcami. – Pollinou. Szliśmy razem z recepcji.

– O tak – parsknęła Herc. – Szliście razem. Ale rzeczywiście, gdzie ona jest?

– Może się darła, ćwicząc krzyk do nowej roli.

Szewski przyglądał palcami kozią bródkę. Kąciki jego ust uniosły się, ale powstrzymał wybuch śmiechu.

Deryło bez słowa ruszył w głąb korytarza. Być może był przewrażliwiony. Być może – nadgorliwy. Mimo to dawno nie słyszał tak przeraźliwego krzyku. Do tego tak autentycznego.

– To te drzwi? – zapytał Werskiego, gdy cała grupka znalazła się na końcu korytarza. Po jego obu stronach znajdowały się łącznie trzy pokoje. Pierwszy był zbyt blisko klatki schodowej, a drugi – po wewnętrznej stronie budynku. Krzyk z jego wnętrza byłby bardziej słyszalny na dolnych piętrach. Drzwi, przed którymi stał Deryło, prowadziły do pokoju osadzonego w rogu budynku. W związku z tym dźwięki z niego mogły zarówno być słyszalne przez okna, jak i nieść się korytarzami. Stąd zapewne wynikały rozbieżne zdania co do kierunku, z którego dochodził krzyk.

– Chyba tak – odparł lekarz. – Nie odprowadzałem jej pod same drzwi...

Komisarz zapukał.

– Pani Pollinou! – krzyknął. – Halo?!

Odpowiedział mu jedynie jęk wiatru przeciskającego się przez szpary budynku. Deryło uderzył w drzwi pięścią. Raz i drugi.

– Policja!

Nadal nie było żadnej reakcji.

– Może powinniśmy zawiadomić dyrekcję – zaproponowała Herc. – Upewnimy się, czy to na pewno ten pokój, i...

Słowa pani adwokat zagłuszył potężny huk. To Deryło bez zastanowienia natarł barkiem na drzwi. Zamek się odgiął, ale nie ustąpił. Komisarz ponowił uderzenie. Jego ponad stukilogramowe ciało doskonale sprawdzało się w roli tarana. Tym razem zamek wypadł na podłogę i rozpadł się na kawałki.

Deryło natychmiast wpadł do pokoju. W środku paliło się światło, które wcześniej przesączało się przez szparę pod drzwiami. To między innymi dlatego zdecydował się na natychmiastowe działanie. W tym wieku uważał, że nie ma czasu na zwłokę. Tylko działając, mógł zagłuszyć poczucie obowiązku i wyrzuty sumienia.

– Niech wszyscy zostaną na zewnątrz.

Zrobił ostrożny krok na przód i wyjrzał zza ściany. Najpierw dostrzegł porzucane wszędzie ubrania oraz kartki papieru. Obok kosza leżała butelka wina. Drzwi szafy po jego lewej były otwarte na oścież. W pomieszczeniu nie było jednak nikogo.

Deryło naciągnął na dłoń rękaw koszuli i nacisnął kłamkę drzwi prowadzących do łazienki. W niej również było zapalone światło.

– Ożeż... – nie powstrzymał przekleństwa.

Tamara Haler zeskoczyła z motocykla. Pospiesznie schowała do kufra kask i przeczesała palcami włosy. Była po trzydziestce, miała ładną twarz i apetyczne, uwypuklone przez ochronny strój kształty. Mimo to po kilkusetkilometrowej podróży czuła się jak gnom z gabinetu osobliwości. Po plecach spływał jej pot, a włosy przypominały płataninę odnoży ośmiornicy.

Jazda motocyklem w takich warunkach, do tego po zmroku, była szaleństwem. Porywy wiatru kilkukrotnie omal jej nie wyrwali. Gdyby miała nieco lżejszy sprzęt, a nie blisko ćwierćtonowego olbrzyma z wielkimi kuframi, pewnie nie dałaby rady dotrzeć na miejsce. Uśmiechnęło się do niej też szczęście. Wprawdzie deszcze, jak na złość, musiał lunąć kilka godzin wcześniej, ale nie trafiła na najgorszą ulewę. Droga przecinająca ostatnią dolinę była zalana, lecz wciąż przejezdna. Nawałnica wzmożła się dopiero wtedy, gdy Tamara dojeżdżała do celu.

Kilka kilometrów wcześniej postanowiła się upewnić, że jedzie w dobrym kierunku. W tej okolicy przestała wierzyć nawigacji, która co chwilę gubiła zasięg. Nim zagadnięty mężczyzna machnął z rezygnacją ręką, zdążyła się dowiedzieć, że za kilka godzin droga będzie zupełnie nieprzejezdna. Mówił po słowacku i rozumiała co któreś słowo. „W takie dni wojsko musi robić mosty pontonowe – dodał na odchodne. – Choć po drugiej stronie, na górze, jest tylko niewielki, stary hotel. Lepiej dać sobie spokój z wycieczką i pierunem zawracać”.

Teraz Haler stała na parkingu kilkadziesiąt metrów poniżej tego właśnie hotelu. Była noc, a wiatr z każdą godziną zdawał się nabierać sił. Poza najbliższą, rozświetloną światłami hotelu okolicą wokół panowała kompletna ciemność. Zbocza gór, dolina i lasy zlewały się w jedno z nieprzeniknionym niebem. Niemożliwe było rozróżnienie żadnych szczegółów krajobrazu. Tyle dobrego, że chwilowo nie padał deszcz. Mimo to powietrze było wilgotne i ciężkie. Wiał mocny, chłodny wiatr, który kołysał wagonikami kolejki.

W świetle reflektora Haler z ulgą dostrzegła rozklekotaną półciężarówkę citroena. Znaczyło to, że się nie pomyliła. Komisarz był już na miejscu. Świadomość jego obecności sprawiła, że poczuła ulgę. Mogła odsunąć na bok gnębiące ją najgorsze przeczucia.

Zdjęła rękawice i wsunęła je do kieszeni. Rozpięła kurtkę, po czym szybkim krokiem ruszyła w stronę wyciągu. Bez namysłu wsiadła do wagoniku. Po chwili kołysała się zawieszona w czarnej pustce. Było tak ciemno, że pod stopami widziała jedynie smolistą głębinę. Z każdą chwilą wiatr się nasilał. Tamara nie zwracała jednak na to uwagi. Gdy tylko wagonik się zatrzymał, wyskoczyła z niego i ruszyła w stronę głównego wejścia. Huraganowe porywy omal nie porwały płóciennego dachu, który wystawał z artdecowskiej przybudówki. Łopotały nim jak chorągwią.

Haler, choć drobnej postury, szła szybkim i pewnym krokiem. Mimo to otwarcie pchanych wiatrem drzwi okazało się prawdziwym wyzwaniem. A przede wszystkim całkowicie zbędnym. Rzadko się zdarzało, by do hotelu nie prowadziły drzwi, które automatycznie rozsuwają się przed gościem. To mogła być nawet kwestia wymogów prawnych. Albo...

Gdy Haler znalazła się w ciepłym, przestronnym holu, natychmiast porzuciła te rozważania. Najwyższy czas na telefon do Deryły. Wyciągnęła komórkę i wybrała jego numer. Odpowiedział jej komunikat o braku zasięgu.

– Jasny gwint...

Tamara odwróciła się do okna. Na ekranie telefonu wciąż pulsowała czerwona ikonka niewybranej sieci. Cofnęła się do drzwi, ale to nic nie dało.

– W taką pogodę niewiele pani zdoła – usłyszała głos za sobą. – Połączenie dosłownie rozwiewa. Z internetem też jest problem.

Odwróciła się i zobaczyła młodą, pulchną brunetkę, siedzącą w recepcji. Poza nimi dwiema w holu nie było nikogo. Również w sali, którą opisywała tabliczka „Jadalnia”, pogaszono już światła, mimo że nie było jeszcze dwudziestej drugiej.

Haler uświadomiła sobie, że również w żadnym z pokoiów od frontu nie paliło się światło. A na parkingu przecież widziała przynajmniej siedem aut. Może nawet więcej.

– Gości też wywiało? – zagadnęła. – Czy po kolacji wszyscy są na zabiegach w spa?

Recepcjonistka pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje. Od pół godziny nikt tędy nie przechodził, nawet na papierosa.

– Halo? – Rozdrażniony głos Deryły rozbrzmiał w słuchawce. Haler udało się z nim połączyć po kilku minutach spędzonych na poszukiwaniu zasięgu. Komisarz musiał znajdować się wyżej lub mieć operatora dysponującego mocniejszymi nadajnikami. Mimo to ledwo było go słyszeć. W tle rozlegały się trzaski i szумы, jakby znajdował się pośrodku potwornej nawałnicy.

– Jestem tu. – Haler spojrzała na przeszkloną klatkę schodową. Nie chciała się poruszyć choćby o centymetr, aby nie stracić połączenia.

– Jesteś gdzie?

– Tu. W hotelu. Słyszysz mnie?

Nastała chwila ciszy. Haler odsunęła telefon od ucha, upewniając się, że ma zasięg. Gdy z powrotem go przyłożyła, usłyszała stłumioną rozmowę. Po kilku sekundach ponownie dobiegło ją sapanie Deryły.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Co mówiłaś?

– Że jestem w hotelu. Tym hotelu.

– Jakim, do cholery, hotelu?

– Tatra Elegance. Widziałam twojego rzęcha na parkingu na dole.

– Jezu. Tamara, co ty tu, do diabła, robisz? Szpiegujesz mnie?

– Przyjechałam, bo...

Powodów było co najmniej kilka. Tamara została przydzielona do wydziału Deryły dopiero przed kilkoma miesiącami, ale miała wrażenie, że połączyły ich stosunki nie tylko służbowe. Przy komisarzu czuła się jak przy ojcu, którego nigdy nie miała. Poza tym wiedziała, jakie go dręczą upiory. Martwiła się. A kiedy przez przypadek odkryła rezerwację pokoju i zobaczyła, że Deryło rozpisuje coś na wzór postanowień testamentowych... Nagły impuls kazał jej wsiąść na motocykl i pokonać te kilkaset kilometrów. Tak to się przedstawiało w telegraficznym skrócie.

Choć Haler wołała patrzeć na to z zupełnie innej strony – jedno było pewne. Los się do niej uśmiechnął. Nie dość, że bez problemu dostała dwa dni urlopu, to ponoć zarezerwowała ostatni pokój. Teraz chciała mu o tym wszystkim powiedzieć, a jednak nie potrafiła. Nagle zrobiło się jej wstyd.

– Wiem, dlaczego tu jesteś – szepnęła. Nie wiedziała, czy komisarz ją usłyszał, więc zaraz dodała znacznie głośniejszym głosem: – Nie chciałam, żebyś zrobił jakąś głupotę.

– Skąd wiesz, po co tu jestem?

– Jestem gliniarzem.

– Grzebiesz w moim życiu – wycedził Deryło. – Nie mam teraz cza...

Haler weszła mu w słowo. Starła się odzyskać rezon.

– Daj spokój, tatusiu. Nie bądź tak ponury. Pomogę ci, a poza tym... Swoją drogą, gdzie jesteś?

Komisarz mlasnął. Znowu odsunął telefon od ucha i z kimś rozmawiał. Haler nie podobało się napięcie, które wyczuła w jego głosie. Nie była to kwestia zniekształceń odbioru. Znała specyficzny, szorstki ton Deryły. Pojawiał się zawsze, kiedy sprawy przybierały zły obrót. Do tej pory słyszała go tylko kilkukrotnie, ale bezbłędnie umiała go wyłapać.

– Halo? Jesteś tam?

Komisarz odezwał się niemal natychmiast.

– Chodź na górę. Pierwsze piętro, prawe skrzydło, koniec korytarza.

– Złościsz się, tatusiu?

Żartobliwy ton Haler wcale go nie rozbawił.

– Pospiesz się – wycedził. Następnie się rozłączył.

Haler już z daleka zobaczyła tłoczących się na korytarzu gości. W słabym świetle ciosanych z grubego szkła plafonów przepychający się ludzie sprawiali surrealistyczne wrażenie. Komponowali się z czarno-białymi rysunkami zawieszonymi na ścianach między oknami. Były to między innymi kopie Dalego, Picassa oraz Tamary Łempickiej.

Nic dziwnego, że recepcjonistka o niczym nie wiedziała. Skrzydło budynku, w którym się znajdowali, było po przeciwnej stronie niż wejście. Aby się tu dostać z innej części hotelu, wystarczyło przejść klatką schodową i nawet nie zahaczało się o główny hol.

Policjantka dziarskim krokiem ruszyła w stronę zebranych gości. Odruchowo policzyła: sześć osób, które tłoczyły się tuż przed wejściem do jednego z pokoi.

– Cofnijcie się! Niech nikt nie dotyka tych cholernych drzwi!

Dobiegający ze środka tubalny głos nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Deryło był w pokoju. Jego zirytowany ton poskutkował tylko na moment. Kilka osób się cofnęło, by pozostałe postąpiły naprzód, zerkając ponad ich ramionami.

– Proszę się odsunąć! – Haler wyciągnęła z kieszeni policyjną legitymację. – Cofnijcie się, natychmiast.

Nie wiedziała, o co chodzi, ale poszła w ślady Deryły. Od razu naszły ją najgorsze przecucia. Odruchowo przebiegła wzrokiem po twarzach zebranych. Niemal wszystkie wyrażały mieszaninę tych samych emocji: zaciekawienia, strachu, niepewności. Przy lepszym świetle Haler pokusiłaby się o bardziej szczegółową analizę.

Uniesione, lecz niezbyt mocno ściągnięte brwi, delikatnie podniesione górne powieki, napięte powieki dolne... Zgodnie z ostatnimi badaniami ludzka twarz może wyrazić kilkanaście tysięcy typów ekspresji przy użyciu czterdziestu trzech mięśni. Blisko jedna trzecia konfiguracji odpowiada za sygnały emocjonalne. Co ciekawe, zneutralizowanie tych odruchów jest trudniejsze od oszukania wariografu. Haler od lat bezwiednie analizowała mowę ciała otaczających ją ludzi. I potrafiła z tego wyciągnąć naprawdę konkretne wnioski.

Gdy przepchnęła się między gośćmi, zza otwartych drzwi wyjrzał Deryło. Miał napiętą twarz i zaróżowione policzki. Skrzące się oczy zdradzały podekscytowanie. Lekko wysunięty podbródek i zaciśnięte przy tym usta wskazywały na stan najwyższego skupienia.

– Toś sobie wybrała porę, żeby mnie niańczyć.

W słowach komisarza nie wyczuła jednak złości. Zdawało się jej nawet, że jego ton zdradzał ulgę.

– Co się tu dzieje? – Haler zrobiła krok w stronę pokoju. – Nie mów mi tylko, że...

Deryło nie pozwolił jej skończyć.

– Niczego nie dotykaj – mruknął. – I lepiej się przygotuj. Mam nadzieję, że masz pusty żołądek.

Odsunął się, aby zrobić jej miejsce. Kilka z zebranych osób natychmiast się poruszyło, chcąc zajrzeć do środka.

Przez chwilę Haler spodziewała się, że wszyscy wokół wybuchną śmiechem. Była pewna, że nie mogła tak błędnie odczytać ich mimiki, lecz w całej sytuacji tkwiło coś absurdalnego. Za plecami słyszała podekscytowane, pełne napięcia komentarze. Tembr głosu gości nie miał w sobie nawet krzty żartobliwości. Jednak cała ta sceneria, panująca za oknami nawałnica i...

– Chyba nie rozumiem – odezwała się, gdy weszła do pokoju. – Chciałeś pokazać mi czyjś bajzel? Czy to twój pokój? Choć chyba prędzej byś się zastrzelił, niż doprowadził do takiego stanu...

Deryło pokręcił głową. Bez słowa wskazał na drzwi po jej lewej stronie. Były uchylone na tyle, by precyzyjnie się między nimi a framugą.

Zanim Haler weszła do łazienki, wyczuła dobrze znany zapach. Mdłą, metaliczną woń, której nie można było z niczym pomylić.

Krew. Dużo krwi.

Te przeczucia były jednak niczym w porównaniu z rzeczywistością. Gdy zajrzała do środka, natychmiast zrozumiała, dlaczego Deryło wspomniał o pustym żołądku. Niewielka łazienka została dosłownie pomalowana krwawymi rozbryzgami.

Na podłodze pośrodku pomieszczenia klęczała półnaga kobieta. Jej dłonie zostały złożone jak do modlitwy, a krępującą je linę przywiązano do kryształowej amplii. Klatkę piersiową pokrywały plamy niedawno zaschniętej krwi. Krwawe zacieki spłynęły i osiadły na koronkowych figach.

Dopiero po chwili Haler dostrzegła, że obie piersi kobiety zostały odcięte. Ich resztki leżały na podłodze metr od niej, niczym jakieś upiorne silikonowe wkładki do stanika. Pokrywały je czarne, nierównomierne skrzepy mieszające się z żółtymi bryłami tłuszczu.

W klatce piersiowej zamordowanej zionęły natomiast dwa nierównomierne otwory. Spod krwawych rozbryzgów przebijały ścięgna i kości żeber. Wyglądało to, jakby ktoś dosłownie zeskrobał z nich mięso oraz skórę.

Haler przeniosła spojrzenie na twarz denatki. Miała mocne, nieco ordynarne rysy, które zostały wyostrome przez śmiertelne podrygi. Nie była w żaden sposób uszkodzona. Pojedyncze krople krwi wypłynęły z mocno umalowanych ust i pozaczyły kształtny podbródek.

Deryło krzyknął coś do tłoczących się na korytarzu gości. Haler nie zwróciła na to niemal żadnej uwagi. Z odległości około metra lustrowała każdy centymetr kwadratowy ciała ofiary. Nie chciała podejść bliżej, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów.

– Wiesz, jak zginęła? – Głos komisarza rozległ się tuż za nią.

– Rany piersi byłyby wystarczające – odparła, przysyłając dłońią usta. Odór krwi plus widok okaleczonego ciała zaczynały wywoływać u niej mdłości. Łapczywie przełknęła ślinę. Nie była wrażliwa, lecz po kilkugodzinnej jeździe jej żołądek, choć pusty, dał o sobie znać. – Rozbryzgi krwi wskazują na uszkodzoną tętnicę – ciągnęła, krzywiąc się. – Z samych odciętych piersi nie byłoby...

Kucnęła, chcąc opanować torsje, i wtedy zrozumiała, o czym myślał komisarz. Rozprute gardło zamordowanej pokrywała krew. Oprócz niej Tamara zauważyła jednak coś jeszcze. Małe, skrzące się kawałki...

– To... – Pytanie ugrzęzło jej w ustach.

By nie zwymiotować, musiała się podnieść i wyjść do pokoju. Tam przynajmniej był ruch powietrza. Coraz silniejszy wiatr przeciskał się przez szpary w oknach i świszczwał po korytarzu. Haler z trudem powstrzymała mdłości. Wiedziała, że właśnie patrzy na nią większość gości hotelu. Była odporna na najgorsze widoki, ale tym razem została zupełnie zaskoczona. Nie tego się spodziewała, przyjeżdżając do uroczego hotelu w górach.

– Tak, to jest dokładnie to, o czym myślisz. – Deryło podsunął jej opakowanie miętowych draży, które przed chwilą wypadło jej z kieszeni. – Nieźle pochranione, co?

Haler ochłonęła dopiero po kilku minutach. Otarła z czoła krople potu i kilka razy głęboko odetchnęła. Udało się jej powstrzymać wzbierające mdłości. Mimo rozgryzionej miętówki w ustach wciąż czuła posmak krwi.

– W porządku? – Deryło zasłonił ją przed spojrzeniami ciekawskich gości. – Dasz radę?

– Tak...

– Nie musisz tam więcej wchodzić.

– Naprawdę dam radę. Nie pękaj, tatusiu. Wiesz, że ten syf na ogół mnie nie rusza. Ani ciut ciut.

Na potwierdzenie tych słów wyprostowała się i odwróciła w stronę łazienki. Przysłoniła nos dłonią, ale to na nic się nie zdało. Smród na dobre wsiąkł w jej język i usta. Na szczęście torsje nie wróciły.

Podkomisarz kucnęła, aby lepiej przyjrzeć się szyi ofiary. Deryło stanął obok niej.

– To Kamila Pollinou – oznajmił. – Aktorka.

– Oglądasz polskie telenowełe?

– Znali ją wszyscy poza mną. Zresztą mnie też kilka razy gdzieś mignęła...

Zdawało się, że Deryło chce coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zamilkł. Haler przesunęła się nieco w bok i pochyliła do przodu. Tchawica zamordowanej została rozerwana na wylot. Ze skóry sterczały resztki chrząstki. Ale to nie na nie patrzyła.

Do zasychającej krwi przylepiły się błyszczące, maleńkie kawałki. Kilka z nich leżało na podłodze, między kolanami Pollinou.

– Ktoś zmusił ją do przełknięcia pokruszonego szkła – wyszeptła, aby nie usłyszał jej nikt poza pokojem. – Kawałki były na tyle duże, że rozkroiły jej przełyk. Następnie uszkodziły którąś z tętnic. Spowodowały krwotok, wskutek którego nastąpiła śmierć. Gdy umierała, sprawca odciął jej piersi. Jej serce musiało wtedy jeszcze pracować...

Surowa, wręcz naukowa relacja Haler była zbieżna z przemyśleniami Deryły. Również zauważył kawałki szkła i sądził, że rany na piersi kobiety nie mogły być śmiertelne. Przynajmniej nie tak szybko. Oczywiście, dywagacjami ubiegali patologa, ale lata doświadczenia dawały im solidne podstawy do wysnuwania podobnych wniosków.

W tym momencie Szewski oraz Rewera niemal wpadli do pokoju. Doktorant malarstwa opierał się o framugę drzwi wejściowych i starał się zajrzeć do łazienki. Kobieta zawisła na jego ramieniu.

Deryło zacisnął pięści.

– Won! – Postąpił w ich stronę. – Ostrzegam po raz ostatni, jeżeli ktoś zbliży się na krok do drzwi, aresztuję go za zacieranie śladów.

– Zacieranie śladów? Czyli ona nie żyje... Mój Boże!

Rewera zaczęła chlipać. Stojąca za nią prawniczka głośno zaklęła.

– Została zamordowana? – zapytała, posłusznie trzymając się z dala od progu pokoju.

Deryło nie odpowiedział. Z zaciśniętymi ustami ruszył do Szewskiego. Ten skulił się i natychmiast cofnął. Mimo to komisarz chwycił go za kołnierz i spojrzał mu prosto w oczy.

– Ostrzegam – wycedził, plując. – Jeden krok w stronę pokoju, a najpierw wybiję panu zęby, potem zaś zakuję w kajdanki.

Odwrócił się do Herc, ale ta nie zamierzała brać doktoranta w obronę. Porozumiewawczo skinęła do komisarza głową. Dawała mu znać, że w tej sytuacji grają do jednej bramki. Zazwyczaj odgrywała dobrego glinę, lecz nie tym razem. Szewski nawet nie drgnął.

Deryło cofnął się i ponownie zerknął na ekran telefonu. Nadal nie miał zasięgu. I nic nie wskazywało na to, by miał go odzyskać. Po rozmowie z Haler zdażył jedynie zgłosić zdarzenie i podać nazwę hotelu, a potem się odmówił posłuszeństwa.

– Zdaje się, że chwilowo jesteśmy w tym gównie sami – mruknął do Haler. – Będziemy musieli pojechać do najbliższego miasta i złożyć zawiadomienie osobiście...

– Droga jest już zapewne nieprzejezdna... – jęknęła podkomisarz.

– Co takiego?

Haler zbyła jego pytanie milczeniem. Przymknęła oczy i coś analizowała. Deryło już kilkakrotnie zdążył zaobserwować, że w ten sposób osiągała pełne skupienie. Rozstrząsała wspomnienia lub informacje.

Jeszcze raz spojrzął na okaleczone zwłoki. Nie umiał sobie wyobrazić bólu, jaki towarzyszy przełykaniu garści sporej wielkości kawałków szkła. Temu, jak ich krawędzie sieką przełyk i przetaczają się ku żołądkowi. Bólu, który wypełnia usta oraz gardło. Bezgranicznego i paraliżującego. A potem uzupełniającej go duszności, która musiała się pojawić w chwili, gdy kawał szkła przebił tchawicę. Następne poszerzyły otwór.

Deryło odchrząknął. Tym razem to jemu zebrało się na wymioty. Starał się skupić myśli na czymś innym. Utkwił wzrok w Haler. Wciąż miała na twarzy wyraz bezgranicznego skupienia, ale już otworzyła oczy. Nagle potrząsnęła głową, jakby uświadomiła sobie, gdzie jest.

– Już wiem... – wymamrotała, przytykając palec do ust.

– Co wiesz?

– Że to nie inwencja sprawcy. To wszystko jest wtórne...

– O czym ty mówisz?

Haler intensywnie zamrugła. Wszystkie elementy wskakiwały na właściwe miejsce. To nie mógł być przypadek.

– To komisarz policji – tłumaczyła spokojnie Herc. – Mogę państwa zapewnić, że jest jednym z najlepszych śledczych. Przynajmniej sądząc po tym, o czym się przekonałam na własnej skórze.

„Albo raczej na skórach moich klientów” – dopowiedziała w myślach.

Szmer szeptów i domysłów mógł przyprawić o dreszcze najbardziej odporne osoby. Kolejne teorie kiełkowały jedna po drugiej. Prawniczka postanowiła je ukrócić, nim przybiorą absurdalne rozmiary. Przed chwilą Rewera i Werski zaczęli się zastanawiać, czy aby nie są świadkami rytuałów jakiejś sekty. Podejrzewali też instalację artystyczną. Lekarz o mało nie wdał się w bójkę z Szewskim, któremu, jego zdaniem, najbliższym było do świata „performerskich pajaców”. Antoni Galwer stał nieco z tyłu. Przypatrywał się całej scenie zmrużonymi oczami, co jakiś czas przyglądał króciutkie włosy na skroniach i nerwowo wzdychał.

– Jest pani pewna, że on to on? – Pytanie Rewery wyrażało obawy większości obecnych.

– To on – potwierdziła z naciskiem Herc. – Prowadził sprawy seryjnych morderców. Cztery Iksa oraz Mistrza Gry. Na pewno państwo o nich słyszeli...

– Jezu... – Rewera przytknęła dłoń do ust.

– Seryjnych morderców? – upewnił się Werski. – No pięknie. A teraz ściągnął tu jednego z sobą? A ta kobieta?

– Zdaje się, że to jeden z jego psów gończych. O ile jej z kimś nie myślę, też przewijała się w mediach.

– I zjawili się tu przez przypadek? – dopytywała Rewera. Zachowywała się, jakby Herc była psychoterapeutką, która ma rozwiać wszelkie jej wątpliwości.

– Nie wiem, co tu robią. Jestem adwokatem, nie wróżką.

– A szkoda – syknął Werski. – Naprawdę brakuje nam tutaj tylko wróżki.

– Na razie nawet nie wiemy, co się stało.

– Raczej nie powinniśmy mieć co do tego żadnych wątpliwości. Chyba że zna pani organizatorów tej imprezy i chce mi zaraz wręczyć balonik oraz kopertę z informacją o podwyżce. Ale szczerze w to wątpię.

– A może powie pan, gdzie był, gdy rozległ się krzyk?

– A pani?

Pod spojrzeniem prawniczki Werski spuścił wzrok. Machnął ręką, jakby nagle to wszystko przestało go obchodzić.

– Dajcie spokój. – Galwer ponownie podjął się mediacji. – Nie ma sensu skakać sobie do gardeł. Spędzimy ze sobą jeszcze trochę czasu i lepiej, żebyśmy się nie pozabijali.

– Mówi pan serio? – Szewski przyglądał kozią bródkę i pokręcił głową. Wciąż nie doszedł do siebie po tym, jak Deryło omal mu nie przyłożył. – To totalne wariactwo. Co tam się dzieje?! – krzyknął w stronę pokoju Pollinou. – Chcemy coś wiedzieć!

– Kobieta ułożona jak do modlitwy. Usunięte piersi i szkło wepchnięte do ust. Nawet to, że wszystko ma miejsce w łazience... – Haler przerwała w pół zdania i utkwiała w Deryle wymowne spojrzenie, jakby oczekiwała, że też już wszystko zrozumie. Jakby wyłożyła mu tropy, które powinien powiązać i natychmiast wytypować sprawcę.

– Chyba nie mam zielonego pojęcia, do czego zmierzasz... – sapnął komisarz. – To naśladowca? Chodzi ci o to, że ktoś już mordował w ten sposób?

Pstryknęła palcami. Jej oczy skrzyły się z podekscytowania.

– Dokładnie!

– Ktoś, kto został zatrzymany? Kompletnie nie kojarzę.

– Nie do końca.

– Jezu, Tamara, wysłów się. Zaraz coś mnie trafi.

Haler wyciągnęła dłoń i zatoczyła palcem koło, jakby chciała w powietrzu obrysować cały krajobraz zbrodni.

– To scena. Pollinou była aktorką, ale nie wiem, czy to jest istotne. Zginęła dokładnie tak, jak Irmina Kiryłowa.

– Irmina Kiryłowa?

Deryło zaczynał mieć dość tych zagadek. Czasem jego podwładna sprawiała wrażenie opóźnionego geniusza. Ten oksymoron najlepiej odzwierciedlał jej zachowanie, ale go nie usprawiedliwiał. Gdyby była mężczyzną, Deryło solidnie by nią teraz potrząsnął. A tak jedynie przeciągnął dłońmi po zarumienionej od podniesionego ciśnienia twarzy. Zdołał się już przyzwyczaić do jej sposobu działania. Tyle że w zasobach swojej pamięci nie mógł odszukać żadnej Irminy Kiryłowej, a to doprowadzało go do furii.

– Irmina Kiryłowa to bohaterka dramatu białoruskiego dramaturga – powiedziała w końcu Haler. – Aleksego Michałkina czy jakoś podobnie. Napisał go w dziewięćdziesiątym piątym lub szóstym. Albo przynajmniej wtedy został po raz pierwszy wystawiony. – Haler zamilkła na ułamek sekundy, po czym pokręciła głową. – W dziewięćdziesiątym szóstym. Pamiętam, że mówiono o tym w dzienniku zaraz po informacji o narodzinach owcy Dolly. I przed wzmianką o zbliżających się igrzyskach w Atlancie...

Deryło ciężko sapnął. Uniosła dłoń w przeproszającym geście.

– Sednem jest śmierć kobiety właśnie w takich okolicznościach – wyjaśniła pospiesznie. – W sztuce Irmina stanowiła odniesienie do najważniejszych kobiet Biblii: Ewy, Marii oraz Marii Magdaleny. Stąd sztuka wywołała falę protestów. Zdaje się, że w Polsce w końcu jej nie wystawiono.

– Co to za nawiązania?

– Typowo religijne. Choć stanowiły tylko zamysł artystyczny, sztuka nie miała obrażać religii. Przynajmniej co do zasady...

– Świetnie. Naprawdę cudownie.

Deryło chciał jak najszybciej opuścić to duszne pomieszczenie. Jednak bez łączności nie miał pomysłu, co robić. Zadając pytania i słuchając wyводу Haler, starał się coś wymyślić. Zaraz po odnalezieniu zwłok wypadł na korytarz, ale jakkolwiek pościg był bezsensowny. Wokół nie było nikogo. Zabójca mógł nie mieć na sobie nawet śladu krwi. Łazienka przypominała rzeźnię, ale wystarczyło, żeby w chwili rozcięcia tętnicy sprawca stał za ofiarą. Mógł być kimkolwiek.

Przede wszystkim należało zabezpieczyć ślady, a dopiero potem rozpocząć poszukiwania, chyba że dedukcja Haler pozwoliłaby wytypować sprawcę.

Komisarz jeszcze raz spróbował wybrać numer alarmowy. Teoretycznie korzystał on z pasm każdej sieci, ale najwidoczniej żaden operator nie miał tu w taką pogodę zasięgu.

Deryło westchnął. Odsunął telefon od ucha i starał się uruchomić aparat. W końcu, gdy mu się

udało, uświadomił sobie, że nie potrafi uzyskać zadowalającej ostrości. Nigdy wcześniej z niego nie korzystał. Poza tym w sztucznym świetle stara komórka zdawała się bezużyteczna. Obraz przypominał plątaninę półcieni, żółci i białych rozbłysków.

– Zrób zdjęcia – nakazał Haler. – Z każdej perspektywy. Pokoju oraz łazienki. I ciała. Przed wszystkim ciała...

Wsunął dłoń do kieszeni. Wyczuł srebrny sesterc i w zamyśleniu obrócił go między palcami. W tym samym momencie coś sobie uświadomił.

– Szlag... – syknął. – Niech to szlag.

Cofnął się w głąb pokoju i rozejrzał. Nie zwracając uwagi na zebranych na korytarzu gości podszedł do drzwi. Kucnął przy rozbitym zamku.

– To niemożliwe... – wyszeptał.

Anna Herc stanęła obok Werskiego. Nie patrzyła na niego. Bardzo uważnie lustrowała szczegóły otoczenia. Liczyła wyściełające korytarz płytki, odległość między drzwiami kolejnych pokoi, zwróciła nawet uwagę na odprysk tynku pod dotkniętym patyną kinkietem.

Lubiła porządkować dane. Sprawiało jej to przyjemność i pozwalało się uspokoić. Jeżeli panowała nad przyswajanymi informacjami, to wszystko miała pod kontrolą. Przypominało to czytanie akt na wrywki. W momencie, gdy bez zbędnej zwłoki potrafiła wgryźć się w kontekst, znaczyło to, że właściwie wczuła się w sprawę, a jednocześnie utrzymywała do niej bezpieczny dystans.

Przed dwoma laty dostała z urzędu sprawę człowieka oskarżonego o zamordowanie żony oraz córki. Mężczyzna nie przyznawał się do winy. Twierdził, że feralnego wieczoru spał jak dziecko po solidnej dawce alkoholu. Miał świętować zawarcie dobrej transakcji handlowej. Sprowadzał do Polski antyki z całego świata i ponoć trafił na jakiś święty graal antykwariuszy. W każdym razie, gdy się obudził, zobaczył, że jego żona leży obok z piersią podziurawioną nożem. Półtoraroczną córeczkę ktoś wyjął z łóżeczka i cisnął nią o ścianę. Rozbił jej złotowłosą główkę.

Antykwariusz sam wezwał policję i pogotowie. Właśnie w tej kolejności. Dla sądu stanowiło to jeden z obciążających dowodów. Kolejnym był całkowity brak śladów włamania lub obecności w domu kogokolwiek spoza rodziny.

Herc podkreślała, że rozważając sprawstwo, należy skupić się na motywach zabójcy. W tym przypadku oskarżony nie miał żadnego powodu, by mordować rodzinę. Wszyscy świadkowie podkreślali, że byli z żoną zgodnym, kochającym się małżeństwem. Nie mieli kłopotów finansowych ani innych poważniejszych problemów. Policja nigdy nie dostała zgłoszenia o awanturze lub groźbach. Tydzień przed morderstwem byli we trójkę na wakacjach na Mazurach. Nawet właściciel hotelu zwrócił uwagę, że oskarżony niemal cały ten czas spędził z żoną w basenie bądź restauracji. Migdalili się jak dwójka nastolatków.

Anna Herc starała się przejrzeć duszę klienta. Zgodnie z prawidłami zawodu nie powinna szukać prawdy, ale ta zawsze ją interesowała. Tym bardziej że pani adwokat nie potrafiła sobie wyobrazić, by ten drobny, zagubiony człowiek zamordował z premedytacją choćby muchę. W jego oczach kryły się przerażenia i desperacja – choć widywała je również w oczach najgorszych kryminalistów.

– Przysięgam, że nic nie pamiętam... – wyszeptał któregoś razu mężczyzna. Z trudem powstrzymywał się od płaczu. Siedział na metalowym krześle w pokoju przesłuchań i nerwowo zaciskał dłonie. – A jeśli naprawdę ich zamordowałem? Może coś we mnie wstąpiło po tamtym pieprzonym dżinie? Może się pokłóciliśmy lub...

– Pańską żonę zamordowano w śnie.

– Mój Boże... Dałbym wszystko, żeby cofnąć czas. Dlaczego piłem ten cholerny alkohol? Czy może sobie pani wyobrazić, że nic nie pamięta? Że się budzi i... i...

– Potrafię sobie wyobrazić, co pan czuje.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. To niemożliwe. Niech tak pani nawet nie mówi...

Herc pamiętała sposób, w jaki na nią wtedy spojrział. Z pochyloną głową i ze zmarszczonym czołem. Z szeroko rozwartymi nozdrzami. Ze smarkami rozmazanymi pod nosem i skrzącymi się na policzkach łzami.

– Wie pani co? – odezwał się matowym głosem. – Przez cały czas się zastanawiam, czy coś we mnie nie wstąpiło. Czy nie obudziłem się jak lunatyk, nie poszedłem do kuchni po nóż i nie... zrobiłem tego wszystkiego.

Nóż nie został odnaleziony. Był to solidny argument po stronie obrony. Biegli psychiatrzy byli natomiast podzieleni co do możliwości dokonania mordu w trakcie lunatykowania.

Sąd pierwszej instancji skazał antykwariusza na dożywotnie pozbawienie wolności. Nie miał wątpliwości co do jego winy. Uzasadnienie wyroku było mętne i powieliło stanowisko prokuratury. Podobnie jak brak ciała nie stanowił przesłanki do uniewinnienia, tak nie stanowił jej również brak wyraźnego motywu. Sąd uznał, że nie jest zobowiązany dociekać, dlaczego oskarżony dopuścił się czynów, które mu zarzucono. Jednocześnie pokrętna argumentacja uznawała jego nieznaną motywację jako zasługujące na szczególne potępienie.

Sąd drugiej instancji nie zostawił na tym wyroku suchej nitki. Wytknął błędy śledczych i prokuratury. Sprawa wróciła do punktu wyjścia, ale antykwariusz został wypuszczony z aresztu śledczego. Herc przed dwoma tygodniami mogła obwieścić swój mały tryumf.

– Pani mecenas, jakiej wysokości odszkodowanie mogę dostać?

To pytanie antykwariusz zadał jako pierwsze, gdy znaleźli się na korytarzu sądowym. Wtedy w jego oczach Herc po raz pierwszy dostrzegła coś niepokojącego. Zadowolenie, niepołączone z naturalną w takich chwilach ulgą, lecz z pychą. Z niemal ostentacyjną pogardą dla stanowiska sądu. Czy chęć zysku stanowiłaby wystarczającą motywację? Z pewnością tak. Na to pytanie Herc odpowiadała sobie wielokrotnie każdego dnia. Czy antykwariusz mógł przewidzieć taki obrót spraw? Mógł uznać go za prawdopodobny, ale z pewnością nie mógł go przewidzieć. Czy ktokolwiek zaryzykowałby tak wiele? W tym przypadku odpowiedź była bardziej złożona. Przede wszystkim...

Prawniczka drgnęła, gdy w drzwiach pokoju Kamili Pollinou pojawiła się potężna sylwetka Deryły.

– To niemożliwe...

Słowa komisarza na dobre wyrwały ją z zamyślenia.

Haler stanęła obok Deryły. Wciąż ścisnęła w dłoni telefon. Nie zdążyła jeszcze zrobić zdjęć, lecz wybrała właściwe ustawienia. Uwiecznienie miejsca zbrodni miało się przydać technikom, analitykom lub innym śledczym. Sama, dzięki fotograficznej pamięci, wiedziała, że nie zapomni żadnego szczegółu. Ta umiejętność nie była jednak tak dobra, jakby się mogło zdawać. Zapamiętane obrazy powracały w snach i podświadomości. Powracały o wiele zbyt często i w całkowicie niespodziewanych momentach.

– Co się stało? – zapytała. – Co znowu jest niemożliwe?

Deryło bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę zebranych na korytarzu gości. Zmierzył wzrokiem prawniczkę oraz stojącego obok niej Szewskiego.

– Niech nikt się stąd nie rusza – mruknął. – Pilnujcie jedni drugich.

– Ale... – Werski podniósł rękę jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi.

– Powiedziałem coś niezrozumiałego?

Deryło owinął dłoń chusteczką i chwycił za skraj drzwi. Zatrzasnął je, co zakończyło problem zaciekawionych spojrzeń. Bez zamka wciąż jednak poruszał nimi przeciąg. Falowały, jakby trzymała je niewidzialna, drżąca ręka.

Przez chwilę komisarz patrzył na resztki zamka na podłodze. Jego metalowy szkielet nadal tkwił w drzwiach, natomiast klucz, sprężyny oraz rozmaite zapadki leżały na podłodze.

Komisarz odwrócił się i podszedł do okna. Odsunął firankę, po czym przyjrzał się klamce. Była ustawiona w pozycji rozszczelniającej. Druga połówka była nieruchoma.

– Powiesz mi, o co chodzi? – Haler wyciągnęła z kieszeni opakowanie draży. Wrzuciła do ust kilka naraz i zaczęła je intensywnie cmoktać. Najwyraźniej mdłości ponownie wracały.

– Okno jest zamknięte. Wchodząc do pokoju, musiałem wybić drzwi z zawiasów.

– No i?

– Był w nich klucz. – Deryło wskazał na podłogę. – Rozumiesz?

– Chcesz powiedzieć, że ta kobieta zamknęła się od środka?

– Ten, kto jej to zrobił, musiał jakoś wyjść. Odkąd wszedłem do pokoju, nie spuszczałem wejścia z oczu na dłużej niż kilka sekund. Przebiegłem korytarzem, zadzwoniłem na sto dwanaście, ale ciągle byłem obok. To niemożliwe. Chyba że Pollinou zabiła się sama.

– Odcięła sobie piersi, podwiesiła się do lampy, a potem połknęła garść szkła? – Haler sceptycznie pokręciła głową. – Niewykonalne.

– Chyba że...

– Właśnie.

Deryło zrozumiał sugestię Haler. Zacisnął pięści i naprężył mięśnie. Jednym susem doskoczył do łóżka. Schylił się i pod nie zajrzał.

– Jeżeli druga opcja oznaczała, że ten ktoś wciąż tu jest, to ewidentnie umie rozplątać się w powietrzu. Trzeciej opcji nie przewiduję.

W pokoju nie było żadnego miejsca, w którym można by się ukryć. Po kilku minutach bezowocnych oględzin Deryło doszedł do wniosku, że zabójca musiał mieć zapasowy klucz. Jakimś cudem wepchnął go w zamek i przekręcił, nie wypychając drugiego klucza. Teoria była naciągana, ale chwilowo musiało ich zadowolić.

Haler zrobiła kilkadziesiąt zdjęć łazienki. Początkowo starała się nie wchodzić do środka, ale w końcu zaczęła fotografować niemal sprzed twarzy zamordowanej. W pewnym momencie zerknęła na telefon i przełączyła się między aplikacjami. Sieć nadal była niedostępna. Schowała aparat do kieszeni, po czym przeszła między krwawymi rozbryzgami obok zwłok.

Po pierwszym zaskoczeniu już całkowicie wróciła do formy, a mdłości zniknęły. Mruczając coś do siebie, włożyła motocyklową rękawicę. Przejechała palcem po rozchyłonych wargach zamordowanej.

– Co ty robisz?! – Deryło wrzasnął za jej plecami. – Musimy poczekać na techników!

Haler przytknęła zakrwawiony palec do nosa i głęboko wciągnęła powietrze. Następnie oblizwała go koniuszkiem języka.

– Czyś ty...

Nim komisarz zdążył ją zrugać, zdjęła rękawiczkę i schowała ją do kieszeni.

– Widzisz tu kryminalistów? Nie liczyłabym na ich przybycie co najmniej do jutra. – Wymownie zerknęła w stronę okna. Odbijało się w nim wnętrze pokoju, ale jak na zawołanie wiatr niczym bicz zatrzęsł szybami. – Będziemy musieli poradzić sobie bez nich.

– Okej. Niech będzie. Ale co ma do tego lizanie krwi?

– Wyciekająca z ust krew może mieć posmak lub aromat trucizny albo narkotyków. Cyjanek potasu ma zapach gorzkich migdałów, pietruszki cuchnie padliną, strychnina jest piekielnie gorzka i tak dalej...

– Ona nie wygląda na ofiarę trucizny – mruknął Deryło.

– Pomyślałam, że mogła zostać odurzona. A potem w stanie półświadomości zachęcona do przełknięcia tego szkła. Kilka popularnych substancji odurzających również ma specyficzne właściwości, które da się wykryć właśnie we krwi.

– I?

Haler wzruszyła ramionami.

– Nic. Jej krew ma normalny zapach i smak.

– Mniemam. – Deryło głośno sapnął. – Pozostają nam dwie możliwości. Albo użyto czegoś niepozostawiającego śladu, albo ta kobieta przełknęła kawałki szkła bez znieczulenia. Zmuszona lub wystraszona.

Komisarz wciąż stał w progu łazienki. Starał się zebrać myśli i wymyślić wiarygodną historię. Żaden pomysł go nie przekonywał. Kolejne rozwiązania wydawały się coraz bardziej irracjonalne.

Tymczasem Haler zdawała się nabuzowana wyzwaniem, jakie podsuwał jej los. Ponownie wyciągnęła telefon i zaczęła ostrożnie stąpać między śladami krwi. Za plecami denatki było ich znacznie mniej. Zrobiła kilka kroków, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Powiodła wzrokiem po linie krępującej dłoni kobiety i szybko do niej podeszła. Wyciągnęła mankiety koszuli spod rękawów kurtki. Naciągnęła je z całej siły tak, że tkanina zatrzęszczała. Przez materiał chwyciła palec Pollinou. Powoli go odgięła. Stężenie pośmiertne jeszcze nie usztywniło mięśni. Świadczyło to, że zgon nastąpił nie później niż godzinę temu.

– Znalazłaś coś?

Deryło niezmiennie stał w progu. Uznał, że nie ma potrzeby, aby po raz kolejny zanieczyszczał miejsce zbrodni. Był pewny, że Haler niczego nie przegapi.

Obserwował, jak Tamara wyciąga coś z dłoni zamordowanej. Działała powoli i metodycznie.

Z szacunkiem nie tyle dla zmarłej, ile dla całego miejsca, w którym rozegrał się jej dramat.

Nagle się wyprostowała i zerknęła na trzymaną w ręce kartkę. Na jej twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego skupienia. Po chwili drgnęła i, uważając na krwawe rozbryzgi, ruszyła do Deryły. Wyciągnęła do niego ubrudzoną kartkę. Litery były na tyle duże, by komisarz odczytał je już z odległości kilku kroków.

– Cholera.

Podobnie jak Haler, chwycił kawałek papieru przez mankiet i jeszcze raz przebiegł wzrokiem po krótkiej wiadomości. Odwrócił kartkę na drugą stronę. Nie dostrzegł nic więcej, więc ruszył w stronę światła. Gdy zmrużył oczy, drzwi do pokoju się otworzyły i rąbnęły o ścianę.

– Musimy wiedzieć, co się tu dzieje! – Szewski bezpardonowo zrobił krok w głąb pokoju. Dopingowały go głosy dobiegające z korytarza. Rewera zaczęła bić mu brawo.

Szewski szedł jak nabuzowany. Zatrzymał się tuż przed Deryłą i niespodziewanie chwycił kartkę, którą ten ścisnął w dłoni. Nie zdołał jej wyrwać, ale z pewnością odczytał zapisany na niej komunikat.

Deryło błyskawicznie oprzytomniał. Jedną dłonią odłożył papier na łóżko, a drugą chwycił Szewskiego za marynarkę. Był wściekły. Rozsierdzony i wściekły. Cały spłoszował. Tym razem nie obchodził go, czy Haler będzie usiłowała go powstrzymać. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

– Ostrzegałem! – wycedził.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, przyłożył doktorantowi prawym sierpowym w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół i zacharczał. Wtedy Deryło puścił go i z całej siły pchnął na korytarz. Szewski nieudolnie starał się zachować równowagę. Zawadził o framugę, po czym runął u stóp reszty gości.

– Pozwę pana... – wycharczał. – Doigrał się... pan... – Obrócił się na plecy i, krztusząc się, pozwolił Werskiemu pomóc sobie wstać. – Wiecie, co oni znaleźli? – zwrócił się do zebranych. Jeszcze raz odkaslnął i zgiął się wpół. – To pieprzony obłąd.

Uwagę zebranych odciągnął odgłos kroków z głębi korytarza.

Przez ostatni kwadrans Deryło zdawał pospieszną relację Arturowi Millerowi. Z każdym jego słowem właściciel hotelu stawał się coraz bledszy. Wiedział, że podobne wypadki mogą doprowadzić do upadku każdy biznes. Wbrew obiegowej opinii niewielu turystów chce nocować w miejscu, w którym kogoś zamordowano. Amerykańskie atrakcje nie sprawdzały się w Europie. A już na pewno nie w Polsce czy na Słowacji.

Okazało się, że w Tatra Elegance nie ma obecnie żadnego specjalisty od serwisu. Skoro tak, to Deryło sam prowizorycznie zamontował zamek i zamknął drzwi pokoju Pollinou. Po jego manifestacji siły wobec Szewskiego reszta gości wyniosła się na drugi koniec korytarza. Przyciszonymi głosami wymieniali nieprzychylnie komentarze.

Deryło schował klucz i zerknął na Millera. Położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Jeszcze jedno – odezwał się ponuro. – Pewnie już wszyscy wiedzą, bo jeden z gości zdążył się zapoznać z wiadomością, którą znaleźliśmy przy ofierze...

– Wiadomością?

Komisarz wyciągnął kartkę schowaną do przezroczystej, foliowej koszulki. Haler wygrzebała kilka z jednej z szuflad w recepcji. Hotelarz drżącym głosem odczytał krótką wiadomość:

– „Wszyscy zginiecie. Bez wyjątku. Jeden po drugim”. – Podniósł wzrok i spojrzał na Deryłę. – To żart?

– Gdyby nie zwłoki w tamtym pokoju, też bym tak pomyślał.

– Boże...

Haler podeszła do rozmawiających mężczyźn. Usta znów miała wypchane drażami.

– Jest jakieś miejsce, w którym złapiemy zasięg? – zapytała, ciamkając.

Miller bezradnie rozłożył dłonie.

– Uroki tej okolicy. Cały świat mówi tu na szeptcie, a jednocześnie od całego świata jest się odciętym... – Wsparł się na kuli i ciężko sapnął. Nagle wyprostował palce. – Chociaż możemy spróbować w jednym miejscu. Tam jest drobna szansa...

Bez słowa natychmiast poprowadził policjantów ku klatce schodowej. Deryło zabronił komukolwiek wchodzić na korytarz prowadzący do pokoju Pollinou. Dodatkowo poradził gościom trzymać się razem. Nie spodziewał się, że w reakcji na te słowa cała gromadka ruszy za nimi.

Kilka minut później znaleźli się na niewielkim, przeszklonym poddaszu. Pomieszczenie wieńczyło klatkę schodową. W rogu stała aparatura obsługująca windę. Poza tym umieszczono tu lunetę, z której w pogodne dni za drobną opłatą można było obserwować niebo, oraz niewielką biblioteczkę. O szklany dach siekły krople deszczu. Porywy wiatru wciskały się w niewielki lufcik i świszczwały po pomieszczeniu. Było w nim wyraźnie chłodniej niż na niższych piętrach. Żeliwny kozioł był napełniony węglem, ale zagaszony.

– Idealne miejsce, by spędzić samotne święta – skwitował Deryło. – Raj dla wdów i sierot.

Co chwilę razem z Haler sprawdzali dostępność sieci. Przez moment telefon komisarza pokazał jedną kreskę, lecz kiedy Deryło wpisywał kod, by go odblokować, zasięg z powrotem zniknął.

Mimo to policjant spróbował wybrać numer alarmowy. Przy czwartej próbie komórka nie rozłączyła się od razu, jak wcześniej. Po chwili, ku swojej wielkiej radości, komisarz usłyszał odgłos nawiązywanego połączenia. Wystarczyły dwa sygnały.

– Dobry wieczór. Operator numeru sto dwanaście. Słucham? – Męski głos dobiegał jakby zza grubej ściany. Albo jakby był zdeformowany przez wodę. Przez całe hektolitry lejących się z nieba strumieni.

– Eryk Deryło, CBŚP, dzwoniłem... Halo? – Deryło uświadomił sobie, że traci połączenie. Wyciągnął szyję jak żuraw i odwrócił się do przeszklonej ściany. Pchnął szerzej lufcik.

– ...tra Elegance – dobiegł go głos operatora. – Przyjąłem zgłosz... Droga lądowa jest

nieprzejezdni... ęki wysłaliśmy śmigłowiec. Proszę cze...

Połączenie się zerwało. Deryło zerknął na ekran komórki i bezgłośnie zaklął.

– Mamy czekać – zwrócił się do zebranych.

– Aż zginie kolejna osoba? – zapytała sarkastycznie Rewera. – Tak jak napisał jakiś psychol?

– Nie wiem, jak służby wyobrażają sobie sprowadzenie tu ekipy śledczych, techników i sprzętu. Nie mam bladego pojęcia i nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Jestem tutaj całkowicie prywatnie. Nie mam swoich ludzi ani...

Deryło uznał, że dalsze wałkowanie tematu nie ma sensu. Co chwilę zerkał w stronę okna i nasłuchiwał. Wciąż jednak nie słyszał dźwięku nadlatującego helikoptera. Prawdę powiedziawszy, rzeczywiście nie wyobrażał sobie, kto miałby nim przybyć. Ekipa śledcza? A może chodziło o ewakuację gości hotelu? Nawałnica z każdą minutą przybierała na sile i napierała na zabytkowe mury budynku. Skoro, zgodnie z relacją Haler, droga była ledwie przejezdna już przed ponad godziną, teraz musiała zamienić się w strumień lub bagno.

Komisarza wciąż dręczyło, w jaki sposób zabójca zamknął drzwi. Jakim cudem mógł zniknąć, zostawiając klucz w zamku i jedynie rozszczelnione okno? Jak zdołał się ulotnić?

– Ile kompletów kluczy jest do każdego pokoju? – zapytał w końcu Millera.

Hotelarz zmrużył oczy i przeniósł ciężar ciała na kulę.

– Dwa – odparł po chwili. – Choć do niektórych pokoi są jeszcze stare zamki z jednym kluczem. To nie do końca przepisowe, ale jesteśmy w trak...

– Jaki był w drzwiach do pokoju Pollinou?

– Prawdę powiedziawszy, właśnie ten stary.

Deryło nerwowo przegładził włosy.

– Jest pan pewny, że nie było drugiego klucza?

– Na sto procent.

– I nikt nie mógł go dorobić?

– Nie. Chyba że wynajęliby wcześniej pokój i wybrał się do zakładu sto kilometrów stąd. Ale to i tak nie byłoby łatwe. – Artur Miller wciągnął głośno powietrze. Jego krótki, angielski wąsik tworzył ciemną kreskę pod szpiczastym nosem. Hotelarz był wyraźnie przejęty i jakiegokolwiek sugerowanie niedbałości ze strony hotelu traktował jako osobistą potwarz. – To porządne klucze hotelowe – dodał po chwili. – Zapewniają wyższy standard zabezpieczenia niż dziewięćdziesiąt procent kluczy współczesnych. Nie mówiąc już o tych gównianych kartach magnetycznych...

Deryło westchnął. To jeszcze bardziej komplikowało sytuację. Jego domysły trafiał szlag. Odwrócił się do stłoczonych przy oknie gości i zlustrował ich ukradkowym spojrzeniem. W przeciwieństwie do Haler nie miał daru odczytywania mowy ciała. Dostrzegał strach, gniew, irytację, ale żadna z tych emocji nie wydawała się podejrzana. Zauważył, że z rogu pomieszczenia jego podwładna również obserwuje zgromadzonych. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Haler zagryzła usta i wzruszyła ramionami.

Nic.

Zero podejrzeń.

Zero tropów.

Deryło zerknął na zegarek, ale nawet nie odczytał godziny. Odwrócił się do Millera.

– Coś panu powiem – szepnął, ukradkiem kiwając głową w stronę gości. – Ktoś z nich musi być mordercą. Chyba że morderca zbiegł do lasu, co w taką pogodę byłoby samobójstwem. Może też ukrywać się w hotelu. Pokoje odpadają, bo gdy tylko zjawią się tu śledczy, zostaną natychmiast przeszukane. Recepcja, kuchnia... – Deryło przełknął ślinę. Zbliżył się do hotelarza na odległość wyciągniętego ramienia i pochylił się, aby ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. – Powie mi pan, gdzie ten ktoś mógłby się ukrywać? Nawet jeżeli miałyby to narazić hotel na straty?

Artur Miller zacisnął usta. Przez chwilę wyglądał, jakby miał się rozplakać. Wreszcie mocniej chwycił kulę i wbił wzrok w podłogę.

– Coś panu pokażę.

Hotel Tatra Elegance miał łącznie osiemnaście pokoi. Obejście wszystkich i sprawdzenie, czy zamki w ich drzwiach nie zostały uszkodzone, zajęło im niespełna kwadrans. Miller poruszał się o kuli, ale robił to całkiem sprawnie.

Deryło nakłonił pozostałych gości, aby chwilowo udali się do głównego holu. Miał nadzieję, że na tej stosunkowo niewielkiej powierzchni będą pilnować się nawzajem. Nawet najbardziej rozzuchwalony psychopata nie odważyłby się zamordować kogoś, kto oddał się tylko na moment. Zresztą – ktokolwiek zniknąłby gościom z oczu, skierowałyby na siebie podejrzenia. Nic nie wskazywało na to, by zabójca Pollinou był desperatem lub idiotą. Deryło w jego działaniu dostrzegał coraz więcej elementów doskonale przemyślanego planu. W głowie kłębiły mu się kolejne pytania, ale wstrzymał się z zadawaniem ich Millerowi.

Hotelarz poprowadził jego i Haler przez niewielkie przejście za recepcją. Następnie minęli zaplecze oraz spory magazynek i znaleźli się na kolejnej klatce schodowej. Tym razem schody prowadziły jednak tylko w dół. Przejście było zablokowane opatrzoną tabliczką „Zakaz wstępu” barierką, którą mógłby przeskoczyć każdy dzieciak.

– Co tam jest? – zapytała Haler.

Miller wzruszył ramionami.

– Gdy kupiłem ten hotel, wszystko już było w takim stanie – wyjaśnił. – Ktoś mówił, że to wejście do dawnych piwnic na wino, ktoś inny, że schron bombowy z czasów wojny. Jakiś gość opowiadał nawet, że podczas wojny Niemcy kopali pod hotelem tunele. Chciał tu ściągnąć całą ekipę, ale go pogoniłem.

– I nigdy tam pan nie schodził?

– Tylko raz. Przeszedłem kilkadziesiąt metrów z latarką, bo oświetlenie tu nie działa. Uznałem, że szkoda zawracać sobie tym głowę. Jeżeli znajduje się tam Bursztynowa Komnata, i tak mam to gdzieś.

– Świetnie. – Deryło westchnął. – Zdaje się, że to miejsce w sam raz na to, aby przeczekać pierwsze poszukiwania.

– Psy natychmiast złapałyby trop – wtrąciła się Haler.

– Sama wiesz, ile jest sposobów, by je zmylić. Ktoś, kto morduje w ten sposób, raczej przewiduje pościg psów.

– Albo to, że nieprędko zostaną sprowadzone. – Miller ponuro zerknął w stronę okna.

Haler przesunęła metalową barierkę. Wyciągnęła z kieszeni telefon, po czym zapaliła latarkę. Omiotła światłem betonowe schody.

– Chodźmy. Rozejrzemy się.

Mężczyźni bez słowa ruszyli za nią. Przez kolejne dziesięć minut podążali zimnym, wilgotnym korytarzem. Jego środkiem ciągnął się kanał odpływowy, ale na razie był pusty. Najwyraźniej deszczówka nie zaczęła tu się jeszcze przesączać lub gdzieś istniała instalacja zbierająca pierwsze tysiące litrów.

Na korytarzu nie znaleźli żadnego miejsca, w którym można by się ukryć. Kilka bocznych piwniczek było całkowicie pustych. W jednej trafili na stary, zmurszały regał z pordzewiałymi puszkami konserw na połamanych półkach. Poza tym korytarz nie miał żadnych zakamarków ani rozgałęzień. Musiał biec tuż pod ziemią, bo od czasu do czasu przy poziomie stropu znajdowały się wąskie okienka. Niektóre z nich były zakryte, lecz przez pozostałe do środka wciskał się wiatr.

W pewnym momencie Deryło postanowił zadać pytanie, które męczyło go od początku wieczoru. Z jednej strony wołał to zostawić miejscowym śledczym, ale z drugiej... ciekawość zwyciężyła.

– Kim jest organizator tego chorego spędu? – zapytał, stając na środku korytarza. – Kto za to

wszystko zapłacił?

Dotknął dłoni Halera i obrócił ją tak, by światło latarki padało na dyrektora. Jego twarz wydawała się woskowo żółta. Wsparta na kuli sylwetka się przygarbiła, a na ustach pojawił się dziwny grymas. Mężczyzna zmrużył oczy. Lewą dłonią starał się je przysłonić.

– Możecie nie świecić mi w twarz?

Haler posłusznie opuściła latarkę, która teraz rzucała światło na wypolerowane buty Millera. Dyrektor głośno westchnął.

– I tak od tych odpowiedzi nie ucieknę, prawda?

– Obawiam się, że nie – zgodziła się z nim cierpko podkomisarz.

– No dobrze – skapitulował. – Tyle że to dość pokręcona historia...

– Ja stąd spadam. – Rewera pokręciła głową. W kącikach jej oczu skrzyły się łzy. – Jezu, czy wy rozumiecie? Ktoś został zamordowany parę pokoi dalej, a wy zachowujecie się, jakby nic się nie stało! To mógł być każdy z nas!

– W sensie: być zabójcą czy ofiarą? – dopytała lodowatym tonem Herc. W końcu puściły jej nerwy. Od kwadransa nieudolnie starała się uspokoić atmosferę. Dla dobra wszystkich, w tym również swojego. Przyjechała do hotelu taksówką, więc zdawała sobie sprawę, że nie ma jak z niego uciec. Chyba że z kimś, ale tego wołała nie ryzykować. Denerwowała ją histeria, w którą wpadła właścicielka salonów fryzjerskich.

– Jest pani stale opryskliwa – fuknęła Rewera.

– To panią dziwi? – wtrącił się Werski. – Przecież opryskliwość to cecha każdej papugi.

– Naprawdę chcecie mi dosrywać? Kiedy staram się po prostu zachować spokój?

– Mnie uspokoi tylko zmycie się stąd. – Rewera odrzuciła do tyłu pasemko włosów, po czym podeszła do okna. Deszcz walił w nie jak pociski w kulochwył. Kobieta zakłęła. – Nie zatrzyma mnie jakiś cholerny deszcz – parsknęła, chcąc dodać sobie animuszu, i ruszyła do głównego wejścia.

– A walizka? – rzucił za nią Szewski. – Nie zamierza się pani choćby spakować?

– Niech mi wyślą bagaż na koszt tego cholernego hotelu!

Rewera pchnęła drzwi, ale te ledwie się uchyliły. Wiatr z przeraźliwą siłą wciskał je we framugi. Kobieta napięła mięśnie i z trudem odepchnęła drzwi na tyle, by mogła się przez nie precyzyjnie. Do środka natychmiast zaczął wpadać deszcz. Na posadzce błyskawicznie utworzyła się brudna kałuża.

– Niech to cholera!

Rewera zrobiła krok na zewnątrz, ale gdyby nie trzymała się klamki, wiatr zaraz by ją przewrócił. Pochyliła głowę. Czowała, że jej fryzura powoli przypomina doklejone do głowy wodorosty. Mokre ubranie przykleiło się jej do ciała, a makijaż spłynął po policzkach. Przebiegł ją lodowaty dreszcz.

Coś z potwornym hukiem przewaliło się przez parking. Jakby porwany przez wiatr śmietnik lub kawał blachy. W całkowitej ciemności niczego nie było widać. Oświetlające podejście do hotelu latarnie zgasły. Tylko jedna, umieszczona nad niewielkim placem zabaw, zamrugała. Po chwili znów zapadł nieprzenikniony mrok.

Rewera cofnęła się do środka. Wiatr wyrwał jej drzwi z dłoni i je zatrzaskał. Gdyby ułamek sekundy wcześniej nie zabrała ręki, zmiażdżyłyby jej palce. Nigdy wcześniej nie widziała takiej zawieruchy. Pogoda przypominała huragan lub tajfun, a nie nadchodzącą złotą jesień.

Kobieta wróciła do kanapy i zrezygnowana na nią opadła. Nie zwracała uwagi na to, że spływająca z niej woda tworzy brudne zacieki. Ucieczka była niemożliwa. Nawet gdyby udało się jej dojść do kolejki linowej, to jej wagoniki musiały być zablokowane. Zresztą o wyjeździe autem z parkingu również nie mogło być mowy. W najlepszym razie ugrzęzłaby sto metrów dalej po wjechaniu na teoretycznie utwardzaną drogę, która w czasie takiej ulewy musiała zamienić się w trzęsawisko.

Rewera schowała twarz w dłoniach. Zaczęła histerycznie płakać. Jak spod ziemi wyrósł przy niej Tymon Werski i zarzucił na jej ramiona marynarkę. Pozostał w białym T-shircie, oczywiście z wielkim firmowym znaczkiem. Zapewne szykował się w nim do spania.

– Ta nawałnica za kilka godzin przejdzie – pocieszył ją. – Najpóźniej rano będziemy mogli stąd wyjechać. Musimy tylko poczekać.

Magdalena Rewera cała się trzęsła. Już raz przeżyła coś podobnego. Niebezpieczeństwo nie było może tak blisko jak wtedy, trzy lata temu, ale teraz było znacznie bardziej dosłowne.

Tamtego dnia po raz kolejny wybuchła awantura między nią a jej narzeczonym. Jak zwykle powody były nieistotne. Od słowa do słowa przemieniła się w pasmo wzajemnych oskarżeń, przekleństw oraz zapewnień o tym, że wszystko skończone. Rewera spakowała wówczas niewielką walizkę i zadzwoniła po taksówkę. Był środek nocy, ale wolała spędzić ją gdziekolwiek niż w jednym pomieszczeniu z Robertem, tym bardziej że wspólnie mieszkali w jego kawalerce. Nagle poczuła się w niej jak intruz.

– Co ty robisz? – Jej narzeczony chwycił walizkę. Pchnął ją na nią tak, że uderzyła ją w goleń.

– Puść mnie!

– Nigdzie nie pójdziesz o tej porze.

– Naprawdę? – Spojrzała mu prosto w oczy. – Bo co? Zabronisz mi?

– Żebyś wiedziała.

Robert chwycił walizkę i rozpiął jej zamek. Wysypał całą zawartość na podłogę. Następnie ciężkim krokiem przeszedł do przedpokoju. Zamknął drzwi, po czym schował klucz do kieszeni.

– Moja taksówka czeka...

– Mam ją w dupie.

Rewera sięgnęła po wibrujący w kieszeni telefon. Robert wyrwał go jej i z całej siły cisnął nim o ścianę. Nigdy wcześniej nie wpadł w taką furję. Jego niebieskie oczy były całe przekrwione, włosy zmierzwił, a na policzki wystąpiły rumieńce. Trząsł się z wściekłości.

– Zaraz zacznę krzyczeć! Mam wezwać pomocy?!

– Tylko spróbuj. – Robert chwycił ją za nadgarstki. Przycisnął ją do ściany. – Tylko spróbuj wrzasnąć, a poderżnę ci gardło.

Aby udowodnić, że jego słowa to nie czcza gadanina, wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Potrząsnął nim tuż przed jej twarzą.

– Wierzysz mi? – sapnął. – Całe życie powinnaś mi wierzyć. Wiesz, że nigdy cię nie oszukałem. Teraz też możesz być pewna, że jeśli mówię, że poderżnę ci gardło, to to zrobię.

– Nie znam cię – załkała. – Boże. Z kim ja żyłam?

– Znasz mnie zbyt dobrze. Tylko ty.

– Puść mnie. Proszę...

– Zamknij się!

Robert wymierzył jej policzek. Na tyle mocny, że w ustach poczuła smak krwi.

– Będziesz siedziała w tym pokoju, aż pozwolę ci wyjść. Rozumiesz?

– Rob... Uspokój się.

Kolejny policzek. Tym razem mocniejszy.

– Pytałem, czy rozumiesz?! Nie wyjdiesz z tego pierdolonego pokoju, dopóki ci nie pozwolę.

Jasne?

– Ale...

Pięść Robert uderzyła w ścianę tuż obok jej głowy. Widziała, że z rozciętych kłykci pociekła krew.

– Jasne – zapewniła, płacząc. – Rozumiem. Proszę cię. Uspokój się i usiądź.

Mężczyzna się roześmiał.

– Jestem całkowicie spokojny. Nie widzisz? Jeżeli położysz się grzecznie spać, zupełnie spokojnie położę się obok. Zaśniemy wtuleni w siebie, a rano zapomnimy o całej tej awanturze. Dobrze?

– Mhm.

- Proszę cię, odpowiadaj mi pełnymi słowami.
- Dobrze. Rano o wszystkim zapomnimy.
- Doskonale.

Kwadrans później położyli się do łóżka. Ona, oczywiście, nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie Robert zaczął pochrapywać, wywinęła się z jego uścisku. Zakradła się do krzesła, na którego oparcie rzucił spodnie. Po omacku odszukała klucze. Wściekła i upokorzona wymknęła się z mieszkania jedynie w koszuli nocnej i klapkach. W temperaturze nieprzekraczającej piętnastu stopni przeszła tak blisko trzy kilometry do swojej przyjaciółki. Nie zawiadomiła policji i nie pozwoliła tego zrobić nikomu, kto dowiedział się o sprawie. Zerwała wszelkie kontakty z Robertem i nigdy nie wróciła do jego mieszkania po rzeczy.

Przeniosła się do innego miasta, gdzie z dnia na dzień zaczęła całkiem nowe życie. Kilka miesięcy później otworzyła swój pierwszy salon fryzjerski. W ciągu trzech lat stworzyła całą ich sieć. Były to lokale prestiżowe, z eleganckim wystrojem i wysokimi cenami, z personelem szkolonym w Paryżu, Mediolanie i Barcelonie, z dyplomami uznania od klientów z całego świata. Jej nowe życie wydawało się bajką.

Do momentu, aż jakiś czas temu za szybą gabinetu zobaczyła Roberta. Nie mogła się pomylić. To z pewnością był on. Stał na chodniku i wpatrywał się w logo jej sieci. Uśmiechał się. Być może wiedział, że na niego patrzy. Przez ostatnie trzy lata przybrał na wadze, a jego włosy w kolorze słomy się przerzedziły. Mimo to nie miała żadnych wątpliwości. Robert znów pojawił się w jej życiu.

A teraz, kilka tygodni później, powróciła też trauma. Została uwięziona w cholernym hotelu z obcymi ludźmi. To był jakiś koszmar. Dała się w niego wplątać jak naiwne dziecko.

Objęła rękoma głowę i skuliła się, po czym wybuchła spazmatycznym płaczem.

Pełna skruchy relacja Artura Millera sprowadzała się do wyliczania jego problemów finansowych. Hotel okazał się inwestycją na skraju opłacalności, doprowadzenie go do jako takiego stanu kosztowało fortunę. Do tego ostatni sezon zimowy był niewypałem. Budżet hotelarza padł pod naporem sztucznego śniegu. Nieprzewidziany wypadek zaburzył jego płynność finansową i od pół roku Miller z trudem unikał egzekucji komorniczych. W każdej chwili lwią część wyposażenia hotelu mogła trafić na licytację. Poza tym Słowacy zdawali się krzywo patrzeć na polską inwestycję i piętrzyli biurokratyczne problemy. Do Tatra Elegance ustawiały się wręcz kolejki urzędników oraz kontrolerów. Smutni panowie z sanepidu pojawiali się niemal co tydzień. Do tego paru pismaków doszukiwało się przekrętów w międzynarodowej inwestycji. Liczyło na łatwy, chwytliwy temat. Zwietrzyło krew.

Ostatnie miesiące okazały się nieco lepsze i w tunelu niespłaconych długów oraz wezwań do zapłaty pojawiło się światełko. Sezon wiosenny można było uznać za niewielki sukces. Millerowi przynajmniej udało się pospłacać bieżące zobowiązania i część zaległych rat kredytu. Nie uciekł jeszcze spod topora wierzycieli, nabrał jednak oddechu.

Przedstawiona przez tajemniczego biznesmena oferta mogła być szansą na rozwiązanie reszty problemów. Anonimowy mężczyzna listownie zaproponował równowartość miesięcznego wynajmu wszystkich pokoi hotelowych w zamian za spełnienie kilku żądań. Jednym z nich było rozliczenie się bez oficjalnych przelewów. Zapłata gotówką miała nastąpić w dwóch ratach: pierwsza przed imprezą, jak nazywał całe przedsięwzięcie ów mężczyzna, a druga – jej ostatniego dnia. Miller miał nie przejmować się skarbówką ani jakimikolwiek księgowymi formalnościami.

Propozycja ta spadła mu jak z nieba. Mimo obaw po paru dniach namysłu hotelarz zgodził się na wszystkie żądania inwestora. Przełknął nawet ryzyko, że drugiej transzy zapłaty zwyczajnie nie otrzyma. Pierwsza i tak wynosiła więcej niż cały jego dług. Nie mógł marzyć o lepszym prezencie od losu.

Miller zapewniał, że nigdy nie widział człowieka, który przekazał mu walizkę pełną gotówki. Aby nie wzbudzić zainteresowania organów podatkowych biznesmen wykupił dług hotelarza. Dzięki temu zwolnił go z obowiązku dokonywania jakichkolwiek przelewów oraz wpłat.

– Wszystko załatwiliśmy przez telefon, który przesłał mi w paczce – ciągnął Miller. – Przedwczoraj po rozmowie i ostatnich wskazówkach kazał mi złamać kartę SIM i go wyrzucić.

– Zrobił to pan? – dopytał Deryło.

– Tak. Nie mogłem się już wycofać. W grę wchodziły przecież za duże i zbyt dla mnie ważne pieniądze.

Do rozmowy włączyła się milcząca dotąd Haler.

– Poznałby pan jego głos? Gdyby na przykład był wśród gości hotelu?

Hotelarz pokręcił głową.

– Nie. Za każdym razem miałem wrażenie, że używa jakiejś aparatury zniekształcającej. Brzmiał, jakby mówił z bardzo dużej odległości. Albo jakby znajdował się w pomieszczeniu, w którym niesie się echo.

– A listy, paczki, maile? Były podpisane?

– Tylko jeden. Choć od razu uznałem to za zwykły żart.

– Niechże pan mówi... – Deryło był już zirytowany. W dodatku od panującej w korytarzu wilgoci zaczynało go mdlić. Do nozdrzy powracał mu zapach krwi, którym przesiąknięty był pokój Pollinou.

– Podpisał się jako „Widz”.

– Widz? Przez „d” i „z”?

Hotelarz skinął głową.

– Zastanawiałem się, czy to skrót od jasnovidza, telewizza czy czego. Ale w końcu uznałem to

za niewarty rozważań żart...

– Wtedy dostał już pan pierwszą część gotówki?

– Tak.

Deryło i Haler jednocześnie na siebie zerknęli. W półmroku nie byli nawet pewni swoich wyrazów twarzy. Nagle Tamara przestąpiła z nogi na nogę. Podeszła do jednego z lufcików.

– Ciiii...

Deryło bardziej się domyślił, niż zauważył, że jego partnerka przyłożyła palec do ust.

– Słyszycie?

– Co?

Komisarz przymknął oczy i wsłuchał się w odgłosy nawałnicy. W podziemnym korytarzu słychać było zawroźnienie wiatru oraz szum deszczu. Gdzieś w oddali woda skapywała na posadzkę. Nie dało się z tego wyłowić nic innego.

Chociaż...

Przez szum zaczął się przebijać regularny łoskot. W pierwszej chwili Deryło wydało się, że to grzmot, ale dźwięk był zbyt przeciągły. Wyraźnie odróżniał się od innych. Trwał już od kilku sekund i wciąż się nasilał.

– Helikopter! Wreszcie!

Komisarz, nie bacząc na to, że to Haler ma latarkę, zawrócił w stronę wejścia do tunelu. Mógł ciągnąć się kilometrami. Deryło miał nadzieję, że za chwilę pojawią się ludzie, którzy zdołają przetrząsnąć każdy jego centymetr. Jednocześnie dręczyło go złe przeczucie.

Deryło i Haler wybiegli przed hotel. Deszcz uderzał ich w twarz, a wiatr zmuszał do pochylania się. Byli cali mokrzy. Studzienki kanalizacyjne wylały i betonowe podejście do budynku pokryły głębokie kałuże. Okolica zamieniła się w grzęzawisko.

– Widzisz go?! – Komisarz osłaniał oczy dłonią i wpatrywał się w niebo. Wciąż słyszał łoskot silnika, ale nigdzie nie dostrzegał helikoptera.

– Tam! Z tyłu!

Haler, przekrzykując wicher, wskazała nad hotel. Zza budynku wyleciał dwusilnikowy helikopter. Na tle czarnego nieba pulsowały zielone i białe światła. Piloci maszyny również walczyli z wiatrem. Przez chwilę starali się obrać kurs na parking, ale zobaczyli, że od hotelu dzieli go wyciąg linowy. Poza tym znaleźli się zbyt blisko skały. Po tym, jak śmigłowcem niebezpiecznie zabujało, zrobili nalot na szczyt góry.

– Znosi ich!

Deryło potruchtał w kierunku miejsca, w którym piloci starali się posadzić maszynę. Zamachał do nich rękoma. Nie wiedział, czy razem z nimi przybył zespół śledczych, czy ratowników. Miał wątpliwości, czy jego zgłoszenie zostało poprawnie zrozumiane.

Helikopter zawisł niespełna dziesięć metrów nad ziemią. Kolejne porywy wiatru nie pozwalały ustabilizować jego położenia. Bujały nim jak zawieszoną na sznurku zabawką. Nagle kadłub śmigłowca obrócił się niemal pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ryk silników na ułamek sekundy został zagłuszony przez świst wiatru. Deryło przestraszył się, że oba wysiadły.

– Zaraz się rozchrzanią! – Gestem nakazał, by Haler trzymała się z tyłu. – Cofnij się! Cofnij!

Z ulgą zobaczył, że piloci opanowali helikopter. Otarł wodę z twarzy. Maszyna z powrotem zawisała równolegle do ziemi. Piloci wzbili się nieco wyżej. Padające z hotelu światło rozświetliło przeszkloną kabinę. W krótkim rozbłysku Deryło dostrzegł, że siedzący po prawej stronie pilot kręci głową. Miał wrażenia, że ich spojrzenia się spotkały. Wyraźnie dostrzegł przepaszające machnięcie dłonią.

Helikopterem znów zabujało. Deryło pochylił się, osłaniając twarz przed niesionym przez wiatr żwirem. Z oddali dobiegł huk. Jakaś część hotelowej elewacji oderwała się i uderzyła o ziemię.

Gdy komisarz ponownie podniósł wzrok, spostrzegł, że helikopter wzbija się na wyższy pułap. Tym razem piloci nie zamierzali korygować położenia. Zarzucili próbę podchodzenia do lądowania i skierowali maszynę w stronę lasu. Pospieszenie wycofywali się do bazy. Kilka sekund później zielone światełko znikło, rozmyte w strugach deszczu. Wiatr całkowicie stłumił łoskot silników.

– Niech to szlag!

Deryło odwrócił się na pięcie. Podbiegł do Haler, objął ją ramieniem i rzucili się biegiem w stronę hotelu. Siekły ich strugi niesionego wiatrem deszczu. Nie zwracali jednak na to uwagi. Widzieli przyklejone do szyb twarze gości. Mieli im do przekazania naprawdę złą wiadomość.

Deryło strzepnął nasiąkniętą wodą marynarke. Był przemoczony aż do bielizny. Przy każdym kroku woda wylewała mu się z butów. Haler wyglądała niewiele lepiej. Wzdrygnęła się z zimna i zebrała w niedbały kucyk mokre włosy. Przynajmniej jej skórzana kurtka motocyklowa zdała test nieprzemakalności.

Wiadomość o tym, że na przybycie śledczych należy poczekać zapewne aż do rana, została przyjęta w niemal absolutnej ciszy. Okazało się, że nawałnica spowodowała więcej utrudnień. Zgodnie z żądaniem Widza kolacja została przygotowana przez firmę zewnętrzną. Miller dał wolne kucharzom oraz kelnerom. Pracownicy firmy cateringowej byli prawdopodobnie ostatnimi ludźmi, którym tego wieczoru udało się opuścić hotel. Jednocześnie całe zamieszanie związane z organizacją śniadania spadło na Dianę Smolar. Właściciel zobowiązał się osobiście jej w tym pomóc. W Tatra Elegance nie było żadnych innych członków personelu. Widz z rozmysłem to zaplanował, a pogoda nie mogła sprzyjać mu bardziej.

Wkrótce po dwudziestej pierwszej trzydziści zewnętrzny system zanotował awarię kolejki linowej. Wszyscy zostali odcięci od świata na amen. Tę ostatnią wiadomość Miller przekazał jedynie policjantom. Należało ją utrzymać w jak największej tajemnicy. Skoro to najprawdopodobniej zabójca uszkodził sprzęt, jego determinacja nie mogła budzić już żadnych wątpliwości. Prawdziwość gróźb również.

Dochodziła północ, gdy Deryło uznał, że dalsze tkwienie w holu nie ma sensu. Niemal godzina jałowych dysput nie przyniosła żadnych rezultatów. Nikt nie wydawał się bardziej podejrzany od innych. Ani komisarz, ani Haler nie dostrzegli niczego niezwykłego. Tracili czas.

Mimo emocji wszyscy zaczęli robić się senni. Trzy butelki wina, które osobiście przyniósł Miller, szybko zostały opróżnione. Goście najwyraźniej tylko czekali na znak Deryły, że bez rzucania na siebie podejrzeń mogą wreszcie wrócić do pokoi. W jednej chwili poderwali się z miejsc.

Komisarz zacisnął palce na sestercu.

– Polecam zamknąć się w pokojach i nie otwierać drzwi. Nikomu, nawet tym, których tu widzimy.

– Jeśli ktoś chce, drzwi może zastawić szafkami nocnymi – dodała Haler. – Wydają się lekkie, ale w razie czego narobią wystarczająco dużo hałasu.

– Na pewno to zrobimy – odburknęła Rewera.

– Zawsze bezpieczniej spać w parach... – Werski wypiął pierś i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. – O nie, nie miałem na myśli pana – dodał, gdy natrafił na spojrzenie Szewskiego. – Nie przesadzajmy. To nie szpital publiczny.

Lekarz wbił dłonie w kieszenie i niechętnie ruszył w stronę klatki schodowej.

– Dupek – rzuciła za nim Rewera.

– Proszę się nie przejmować. – Herc wzięła ją pod rękę i we dwie powłóczyły się ku windzie. – Gada tak tylko po to, żeby nie zesrać się ze strachu. Typowy bufon.

Antoni Galwer uklonił się i bez cienia uśmiechu życzył wszystkim dobrej nocy. Szewski przez chwilę gładził kozią bródkę. Obserwował, jak towarzystwo się rozchodzi. W pewnym momencie Deryło zdawało się, że doktorant chce do niego podejść. Przez jego twarz przemknął grymas wahania. Wreszcie pokręcił głową i bez słowa ruszył za resztą.

Gdy goście się rozeszli, zafrasowany Deryło spojrzął na Millera.

– O co chodzi? – Właściciel hotelu był całkowicie zrezygnowany. – Proszę odpocząć! – krzyknął do Diany Smolar. – Nie ma sensu, żeby tkwiła tu pani przez całą noc.

Recepcjonistka z ulgą wyłączyła komputer i pospiesznie zniknęła w pomieszczeniu dla personelu. W holu zapanowała cisza, przerywana tylko pojękiwaniami wiatru.

Haler domyśliła się, jaki temat chciał poruszyć komisarz.

– Powinniśmy zanieść ciało do chłodni – stwierdziła kategorycznie. – Na ścianie zewnętrznej widziałam ujście klimatyzatorów chłodniczych.

Miller wzdygnął się na samą myśl o przenoszeniu zwłok. Nie powiedział też, czy w Tatra Elegance istnieje oddzielne pomieszczenie chłodnicze. Jego mina zdradzała jednak, że Haler się nie myliła.

– Nie lepiej poczekać na kryminalistyków czy jak tam się ich nazywa? Jeżeli zabierzemy ciało, możemy zatrzeć ślady, a poza tym...

– Naoglądał się pan zbyt wielu seriali – przerwał mu Deryło. – Na zwłokach jest najwięcej materiału biologicznego, który możemy stracić, jeżeli nie wyhamujemy procesów gnilnych. Pół biedy, jeśli zanieczyścimy pokój. Dowalimy roboty technikom, ale oddziela nasze ślady. Jednak żaden, nawet najgenialniejszy patolog nie cofnie rozkładu.

Komisarz przemilczał fakt, że poza tym uwiecznili wszystko na blisko setce zdjęć. Do tego całkowicie ufał fotograficznej pamięci Tamary. Miał nadzieję, że miejscowi śledczy będą podzielali jego zdanie. Nie wyobrażał sobie jednak, by mogli zostawić w pokoju rozkładające się zwłoki. To byłoby barbarzyństwo.

Haler w pełni się z nim zgadzała. Uznała, że do transportu zamordowanej najlepiej będzie użyć przemysłowych worków foliowych. Dzięki nim jak najmniej ingerowali w ewentualne mikroślady.

Gdy znaleźli się przed pokojem Pollinou, Deryło nakazał hotelarzowi pozostać na zewnątrz.

– Damy sobie radę we dwoje – zawyrokował, otwierając drzwi. Z posępną miną przepuścił Haler w progu i wszedł za nią. Od razu skierowali się do łazienki. Mechanicznie, jakby ćwiczyli to setki razy, rozłożyli obok zwłok wielkie worki, które Miller znalazł w pomieszczeniu gospodarczym.

– Musimy ją odciąć. – Haler wskazała na przywiązany do plafonu sznur. Wyciągnęła z kieszeni niewielki scyzoryk i podeszła do ciała. Mdłości już całkowicie minęły. Po tym, jak wzięła na opuszek rękawicy krew zamordowanej, całkowicie oswoiła się z panującym w pomieszczeniu smrodem. Takie sztuczki zawsze pomagały. Podobnie jak draże.

Przed wejściem do pokoju zrzuciła kurtkę, teraz była w samej koszuli. Przez mankiet chwyciła nadgarstek zamordowanej. Podciągnęła go, by rozluźnić linę.

Nagle głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Patrz na to... – Przywołała gestem Deryło.

- WG?
- Albo WC...
- WC przynajmniej z czymś mi się kojarzy – mruknął Deryło.

Komisarz wpatrywał się w obrócony przez Halera nadgarstek ofiary. Nakreślono na nim dwie koślawe litery. Deryło podejrzewał, że jako atramentu użyto krwi. Wolał nie poruszać tego tematu, aby Haler zaraz nie wpadła na pomysł jej próbowania.

Doskonale wiedział, że niewielu zabójców stygmatyzuje ofiary. Czynią to tylko ci, którzy mają szczegółowo przemyślany plan zbrodni. Zazwyczaj nie kończą na jednej ofierze, a umieszczanie na zwłokach liter, cyfr lub innych śladów może mieć kilka powodów. Po pierwsze, stanowi swoistą numerację. Po drugie, podkreśla indywidualne podejście sprawcy do dokonywanych czynów. Po trzecie wreszcie, może być elementem gry rzuconej śledczym lub społeczeństwu. Bez względu na motywację mordercy odkrycie podobnych stygmatów zawsze jest złym znakiem. Wskazuje na to, że po dokonanej zbrodni emocje zbrodniarza nie opadały, a sama śmierć ofiary nie dała ujścia nagromadzonej w nim energii. Tacy sprawcy kolejnych zabójstw dokonywali najczęściej w krótkich odstępach czasu. Przynajmniej tyle mówiła teoria. Komisarz mógł jednak potwierdzić, że w tym wyjątkowym przypadku miała wiele wspólnego z praktyką. Dowodziła tego choćby sprawa Mistrza Gry.

Również Haler doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego przez chwilę twarze obojga przybrały podobny, posępny wyraz. Pierwszy otrząsnął się komisarz.

- Zrób temu zdjęcie.

Pochylił się, aby uważniej przyjrzeć się literom. Czerwone linie rwały się i rozlewały na niemal czarnych zakrzepach. Nie dostrzegł jednak śladu cięcia. Krew musiała pochodzić z okolic gardła ofiary. Na pewno litery nie zostały wycięte skalpelem lub innym ostrym narzędziem.

– Jest szansa, że napisał to ktoś leworęczny – stwierdziła Haler. Odsunęła się, aby jej telefon złapał jak najlepszą ostrość. – Nie można mieć stuprocentowej pewności, ale leworęczni mocniej akcentują pierwsze kreski. Chodzi o kąt używania pióra, ołówka, czymkolwiek by pisali.

- W tym przypadku mógł to być po prostu palec.

Nie zwróciła uwagi na wtargnięcie Deryły. Zrobiła kilka zdjęć i schowała telefon. Przymknęła oczy. Rozgryzła drażę, po czym, wciąż z nią w ustach, nagle się wyprostowała.

– Szewski – wyszeptwała. – Zdaje się, że nie ma tu żadnych leworęcznych osób, ale on jako malarz... Kojarzę go z jakiegoś wernisażu z czasów, gdy jeszcze mieszkałam w Krakowie.

Haler rzadko nawiązywała do tego okresu. Komisarz wiedział tylko tyle, że w burzliwych okolicznościach zakończyła swój związek i przeniosła się do Lublina. Ot tak. Z dnia na dzień.

– Ale to zbyt luźne podejrzenia, aby cokolwiek zrobić – szeptała Tamara, jakby chciała w ten sposób uporządkować myśli. – Właściwie każdy może udawać leworęcznego. To tylko kwestia ćwiczeń. Nie trzeba żadnych specjalnych zdolności. Poza tym...

Drgnęła, gdy Deryło położył dłoń na jej ramieniu.

- Zabierzmy ciało – szepnął. – Na razie po prostu zabierzmy to ciało.

Skinęła głową.

Kilka minut później złożyli owinięte w worki zwłoki na podłodze chłodni. Było to spore pomieszczenie z dwoma regałami na mięsa oraz rzędem gablot przypominających przeszklone lodówki i zamrażarki. Nad drzwiczkami każdej z nich zamontowany został elektroniczny termometr. Żaden nie wskazywał więcej niż osiem stopni. W samej chłodni nie było cieplej. Przemoczeni Deryło i Haler zaczęli się trząść z zimna. Wysilek włożony w przeniesienie niezbyt ciężkiej Pollinou rozgrzał ich tylko na chwilę.

Komisarz poprawił owijający ciało worek. Przez chwilę wyglądał, jakby się wahał, czy na

pewno powinni je tu zostawiać. Wreszcie zagryzł usta i skinął głową w stronę wyjścia. Miller czekał na zewnątrz.

– Proszę zamknąć chłodnię i oddać mi klucz – nakazał Deryło.

Hotelarz bez słowa protestu zasunął zasuwę i wpisał elektroniczny kod. Chłodnia wyglądała na jedno z najlepiej strzeżonych pomieszczeń w budynku. Użyte tu instalacje na pewno nie mało kosztowały. Wydawały się przy tym całkowicie zbędne. Być może stanowiły jedynie reakcję na ofensywę słowackiego sanepidu.

Miller odwrócił się i oddał komisarzowi klucz.

– Mam nadzieję, że zabiorą te zwłoki szybciej, niż skończą się zapasy jedzenia. – Uśmiechnął się ponuro, znów z trudem powstrzymując płacz. – Przepraszam, wygaduję głupoty...

Deryło zatrzymał się przed pokojem Haler. Szedł bosy, a buty trzymał w dłoni. Miał mokre i poobcierane stopy.

– Wiesz, że dostałaś ostatni wolny pokój? – zagadnął. – Człowiek, który wykupił na kilka dni hotel, pozwolił, by poza pokojami dla jego gości zarezerwowano tu tylko dwa pokoje.

Haler jedynie wzruszyła ramionami. Wciąż nie przetrwała swojej decyzji o przyjechaniu tutaj za Deryłą. Zadziałała impulsywnie. Gdy w jego rzeczach przez przypadek odkryła kartkę przypominającą odręcznie napisany testament, wpadła w panikę. Wiedząc o przeszłości komisarza, a przede wszystkim – obserwując go przez ostatnie miesiące, nie mogła postąpić inaczej. Z jednej strony Deryło nie był potencjalnym samobójcą. Z drugiej, z relacji jego współpracowników dowiedziała się, jak bardzo się zmienił. Poza tym nigdy nie spotkała bardziej złożonej osobowości. Cztery klasyczne typy temperamentu przenikały się w nim z zaskakującą burzliwością. Z perspektywy analizy psychologicznej to wcale nie było dobre.

Odsunęła od siebie te myśli. To wszystko zdawało się teraz nieistotne. Poza tym wiedziała, że to, co się wydarzyło, odciągnie uwagę Deryły od jego własnych problemów. Praca lub pozór pracy były dla niego zbawienne. Drobne śledztwa, które prowadzili w ostatnim czasie, nie potrafiły go należycie zaabsorbować. Choć zapewniał, że właśnie na tym mu zależy, gasł z każdym dniem. Czuł się niepotrzebny. A teraz...

Coś przyszło jej do głowy. Otworzyła drzwi i zatrzymała się w progu.

– Rozumiem, że wszyscy zaczęli szukać tej kobiety po tym, jak usłyszano jej krzyk?

Deryło mechanicznie przytaknął. Chciał jak najszybciej wziąć prysznic i się przebrać. Wiedział, że olśnienie Haler nie zwiastuje niczego dobrego. Mimo to spojrział na nią uważnie.

– Ile czasu minęło między krzykiem a momentem, gdy dotarliście pod jej pokój? – dopytywała policjantka.

– Nie więcej niż kwadrans. Może dziesięć minut.

– Aha... To w sumie niewiele.

Deryło przeczesał palcami wciąż mokre włosy. Przesząpił z nogi na nogę.

– Chodzi ci o to, że sprawca zdążył ją zabić, odciąć jej piersi, wypisać litery na nadgarstku i prysnąć? Kolejność tych czynności można układać niemal dowolnie...

– Wcale nie. – Haler zmrużyła oczy. – Przecież Pollinou nie mogłaby krzyknąć z przełykiem pełnym szkła.

– To i tak niewiele zmienia. Mogła krzyknąć na moment przed tym, jak zmusił ją do jego przełknięcia. Albo nawet w trakcie. Bronić się... Wyrwać. Mogła krzyknąć, gdy odcinał jej piersi, a litery mieć już namazane. Wtedy cała reszta zabrałaby mu jedynie chwilę.

– A mimo to zabójca rozplątał się w powietrzu.

– Nieprawdopodobne, co? To wciąż mnie najbardziej zastanawia. Ale nadal nie mam żadnych koncepcji. Zero, nic, null...

Haler pokręciła głową.

– Ja też nie. Tyle że przecież... – westchnęła. – Musi być jakieś banalne wytłumaczenie.

– Oby. Naprawdę kurewsko bym tego chciał.

Na chwilę zapadła cisza. Deryło przełożył buty do drugiej dłoni i oparł się o framugę. Spojrział policjantce prosto w oczy. Była od niego niższa o dobre dwadzieścia centymetrów, mimo to zadziornie odwzajemniła spojrzenie.

– Dlaczego właściwie tu przyjechałaś? – zapytał.

Haler powoli przeniosła wzrok gdzieś za jego plecy.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. Nie zamierzała mu wszystkiego tłumaczyć. – Kiedy się dowiedziałam, że wyjeżdżasz, choć jedynie na parę dni, poczułam cholerną samotność. W Lublinie

poza tobą nie mam nikogo. – Przymknęła drzwi i obserwowała Deryłę tylko przez wąską szparę. – Nie chcę gadać, że jesteś dla mnie jak ojciec. Po prostu uznałam, że przyda mi się parę dni urlopu. Jeżeli schrzaniłam, to przepraszam. To był pieprzony impuls. Ale chyba nawet gdybym chciała, to teraz nie wyjadę.

Deryło uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. Wyprostował się i ruszył w stronę klatki schodowej.

– Chodźmy spać – mruknął. – Zamknij porządnie drzwi, Tamaro. I proszę cię, śpij czujnie.

Deryło zostawił klucz w drzwiach. Zamek do jego pokoju był nieco innego typu niż ten do pokoju Pollinou, ale również miał swoje lata. Przy użyciu nowoczesnych metod można było niemal bezgłośnie zdemontować całą jego konstrukcję. Wystarczył specjalny zestaw narzędzi z magnesem. Niepotrzebny był nawet wytrych lub dorobiony klucz.

Mimo to rozkręcenie go wymagało czasu. Jego złożenie z powrotem również. Nawet najbardziej doświadczony włamywacz nie mógłby tego zrobić szybciej niż w kilka minut. To wydawało się zbyt ryzykowne.

Komisarz rozebrał się i wszedł pod prysznic. Strumienie gorącej wody biczowały jego ciało z siłą dorównującą ulewie, tyle że w przeciwieństwie do niej parzyły mu skórę i hamowały dreszcze. Przynosiły ulgę.

Deryło przepłukał usta wodą i splunął. Zrobił to kilka razy, lecz wciąż czuł krwisty posmak na podniebieniu. To musiała być kwestia podświadomej identyfikacji z ofiarą. Raz po raz komisarz mimowolnie wyobrażał sobie, co czuje osoba przełykająca kawałki szkła. Kawałki, które rozcinają ścianki przełyku, ścięgna oraz kości, a potem wychodzą przez gardło. Towarzyszący temu ból musiał być porażający. Tym bardziej że część szkła mogła spłynąć niżej, aż do żołądka, po drodze uszkadzając kolejne organy. Siekając je na kawałki.

Deryło odchrząknął. Obrócił się tak, by strumień wody uderzał go prosto w twarz. Zastanawiał się, czy nie popełnił tego wieczoru błędu. Czy nie powinien w którejś z sytuacji zachować się inaczej. W końcu uświadomił sobie, że roztrząsa wszystko z perspektywy prowadzącego śledztwo. Z perspektywy tego, kto ma do dyspozycji sztab ludzi, laboratoria, ekspertyzy patologiczne i kryminalistyczne.

W Tatra Elegance był zwykłym cywilem. Człowiekiem mającym do dyspozycji jedynie własne problemy i doświadczenie. Oraz Halera.

Jej przyjazd sprawił mu przyjemność, ale też wzbudził jego irytację. Umiał to przyznać przed samym sobą, choć w życiu nie wypowiedziałby tego na głos. Doceniał troskę i chęć pomocy ze strony podwładnej, ale nie cierpiał wtrącania się w swoje sprawy. Nienawidził, gdy ktoś chciał wpłynąć na jego decyzję, jakakolwiek by była.

Poza tym przyjazd tu stanowił dla niego intymne, niemal mistyczne wydarzenie. W tym momencie zostało zbrukane nie tylko przez Halera, lecz przede wszystkim przez potworny przypadek. Jakie było statystyczne prawdopodobieństwo, że dojdzie do zabójstwa w odciętym od świata hotelu? Jakie było prawdopodobieństwo, że znajdzie się w nim akurat on?

A może nie był to tylko zbieg okoliczności?

Deryło zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik. Wytarł się nim, trąc z całej siły skórę.

A może to nie był zbieg okoliczności?

Pytanie raz po raz przetaczało mu się przez myśli. Wypaczało je i pobudzało kolejne. Budziło obawy.

Deryło przeczesał palcami włosy. Przeszedł do pokoju. Przez moment zastanawiał się, czy nie włączyć telewizora, uznał jednak, że ten będzie go jedynie denerwował.

Usiadł na łóżku i spojrzął na zdjęcie żony oraz córki. Przyjrzał się ich bladym, ale pełnym ekscytacji twarzom. Przypomniał sobie wielką konstrukcję rollercoastera. Była widoczna już z autostrady, a krzyki jadących niosły się daleko poza park rozrywki.

Adrenalina zaczęła opadać i komisarz poczuł potworne zmęczenie. Przed jego oczami przewinęły się twarze hotelowych gości. Przez chwilę analizował ich zachowania i słowa, ale nie przypominał sobie nic wartego uwagi. Zabójca mógł być kimś z zewnątrz. Mógł uciec do podziemnego tunelu. Mógł bawić się z nimi w chowanego.

Deryło obrócił się na bok i zgasił światło. Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy nawałnicy.

Gwizd wiatru mieszał się z bębnieniem o szyby miliona deszczowych palców.

Komisarz żałował, że nie wziął z auta bourbona. W alkoholu dobre było to, że po kilku szklaneczkach, nawet jeżeli Deryło miał koszmary, rano nigdy o nich nie pamiętał.

Ogarnęła go senność. A potem rzeczywiście nadeszły koszmary.

JAKIŚ CZAS TEMU

– Pani grę cechuje wyjątkowa ekspresja, myślę, że wszyscy się co do tego zgadzamy. Ale to wcale nie jest dobre. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nadmierna ekspresja to często sztuczność. Aktorstwo to sztuka, ale nie sztuczność. Granica jest bardzo cienka, lecz po drugiej stronie gry jest parodia. My nie jesteśmy szkołą dla stand-uperów. Ani dla pajaców z kabaretu.

Dwaj mężczyźni pokiwali głowami, potwierdzając w ten sposób, że zgadzają się ze słowami blisko sześćdziesięcioletniej przewodniczącej komisji egzaminacyjnej. W przeciwieństwie do niej byli ubrani zupełnie nieformalnie. Jeden nosił luźną koszulę w kratę i jeansy, a drugi – wełniany sweter do sztruksowych spodni. Mieli czterdzieści kilka lat, choć wydawali się starsi. Obaj nie wyglądali na zainteresowanych występem egzaminowanej. Minęła już siedemnasta, a na dworze zapadała ciemność.

– To nadawało się do kabaretu. Bez dwóch zdań. – Mężczyzna w swetrze odwrócił się do przewodniczącej. Wyraźnie oczekiwał jej aprobaty. Kiedy lekko się uśmiechnęła, dumny wyprostował się na krześle.

– Kiedyś podobną manierę mieli aktorzy kina niemego – odezwał się drugi mężczyzna.

– Dokładnie to miałam na myśli – przytaknęła sześćdziesięciolatka. – Ale widzimy w pani potencjał, więc damy pani jeszcze szansę. Zgadzacie się ze mną?

– Czemu nie? I tak przesłuchanie idzie sprawnie.

Trzy minuty później egzaminowana zmięła kartkę z zadaniem. Przez chwilę stała nieruchomo, wreszcie z pogardą wyrzuciła ją do kosza. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– To absurdalne – wyszeptała.

Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, ale nagle jakby się rozmyśliła. Zawróciła i w kilku susach znalazła się przy biurku komisji. Nim którykolwiek z jej członków zdążył się poruszyć, chwyciła leżący na nim nóż do papieru. W ułamku sekundy dopadła do mężczyzny w kraciastej koszuli. Przytknęła koniec ostrza do jego gardła. Na tyle mocno, by skóra się naprężyła, ale nie została rozcięta.

– Myślicie, że jesteście lepsi? – Drugą dłonią kobieta złapała swoją ofiarę za włosy. – Umiecie modulować głos lepiej niż ja? Jesteście bardziej rozciągnięci? Macie lepszą dykcję? A gównno!

Obróciła nóż. Ostrze rozcięło skórę i z rany wypłynęła kropla krwi, którą zaraz otarła dłonią. W tym samym momencie przewodnicząca komisji zerwała się z krzesła. Niemalże wpadła na drugiego mężczyznę.

– Siadać! Do kurwy nędzy, siadać albo przedziurawię mu gardło na wylot. No, bardzo dobrze. Teraz się skupiliście. Bardzo ładnie.

Członkowie komisji stracili niedawny animusz. Twarz mężczyzny w koszuli przybrała odcień niedojrzałego pomidora. Jego czoło zrosił pot. Starał się wywinąć z chwytu kobiety, lecz tylko jeszcze mocniej chwyciła go za włosy.

– Nie polepszysz swojej sytuacji, jeżeli będziesz się szarpał – syknęła. – Odetnę ci łeb, choćbym miała tym gównem piłować. Rozumiesz?

– W porządku, w porządku...

– Czego pani chce? – Przewodnicząca położyła dłonie na blacie biurka. – Proszę odłożyć ten nóż i...

– Morda w kubel! Jeszcze jedno słowo i zwariuję. Odpowiadacie tylko na moje pytania, jasne?

– Tak.

– Jasne? – Kobieta zwróciła się do mężczyzny w swetrze.

– Mhm. Jasne.

– Dlaczego chcieliście wsadzić na moje miejsce tamtego dzieciaka? To syn jakiegoś kmiota z teatru?

– O kim pani mówi?

Kobieta puściła włosy mężczyzny i z całej siły rąbnęła dłonią o oparcie krzesła.

– To nie jest odpowiedź. Odpowiadacie „tak” lub „nie”! – Z jej ust pryskała ślina. Odsunęła nóż od gardła członka komisji. Z rany wypłynęła krew, którą ponownie otarła palcem. Oblizła go. – „Tak” lub „nie”!

– Nie. – Przewodnicząca pokręciła głową. – Nie mam pojęcia o...

– Cisza. Zła odpowiedź!

– Ale...

– Zła odpowiedź!

Kobieta ponownie chwyciła mężczyznę w koszuli za włosy. Odciągnęła mu głowę do tyłu i zajrzała mu głęboko w oczy, po czym zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. Z pogardą splunęła na podłogę i dotknęła dłonią jego czoła. Było zimne i mokre od potu. Oślizgłe. Nozdrza mężczyzny rozwarły się i wypłynął z nich śluz. Jego usta drżały.

– Wiedziałam, że tak będzie – wycodziła kobieta. – Za każdym razem jest dokładnie tak samo.

– Proszę, spokojnie... Niech pani...

– Zła odpowiedź!

Kobieta ścisnęła nóż do papieru i wycelowała go w szyję egzaminatora. Z całej siły się zamachnęła. Jej twarz była blada, a mięśnie napięte. W oczach błyszczały łzy.

– To koniec.

Chromowane ostrze o milimetry minęło tchawicę. Kobieta rozluźniła uchwyt i wypuściła nóż. Podparłszy się o blat, przeskoczyła na drugą stronę biurka, po czym się ukloniła. Na jej twarzy zagościł pełen wyczekiwania uśmiech.

– I jak? – zapytała zaniepokojona. – To chyba nie było kabaretowe?

Mężczyzna w swetrze błyskawicznie dopadł do leżącego na podłodze noża. Chwycił go i położył przed sobą na biurku.

– Ochrona! – wrzasnął. – Ochrona! – Odwrócił się do egzaminowanej i odciągnął ściągacz swetra od szyi. – Pani jest nieobliczalna – wycodził. – Proszę stąd natychmiast wyjść!

– Ale...

– Natychmiast! Zanim wezwiemy policję! Niech pani stąd spieprza...

Anna Herc przekreśliła zamek i dwukrotnie nacisnęła klamkę. Następnie zablokowała drzwi szafką nocną. Była to raczej licha barykada, ale liczyły się pozory działania. Poza tym nie sądziła, by ktokolwiek odważył się wyważyć drzwi z framugi. Narobiłby przy tym mnóstwo hałasu i stracił sporo czasu. A przede wszystkim pozbawiłby się elementu zaskoczenia.

To właśnie ten ostatni był, zdaniem Herc, siłą napędową świata. Zaskoczenie przeciwnika procesowego dawało przewagę strategiczną i psychologiczną. Zaskoczenie mężczyzny zwracało jego uwagę bardziej niż mocny makijaż.

Zaskoczenie...

Herc przerwała ten potok myśli i położyła na łóżku wyniesiony z jadalni nóż. Był to kilkunastocentymetrowy nóż do krojenia pieczywa. Miał duże ząbki i brakowało mu ostrego szpikulca, ale nie znalazła nic lepszego. Noże z zastawy stołowej były całkowicie tępe. Herc zastanawiała się nad użyciem do obrony widelca, lecz w końcu uznała to za idiotyczny pomysł. Po ciemku nie mogła znaleźć nic więcej. Nie chciała dłużej buszować po jadalni, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Wymknęła się jedynie na minutę pod pretekstem udania się do toalety. I to wtedy, gdy Deryło oraz Haler wyszli na zewnątrz. Dłuższe myślowanie mogło być ryzykowne, tym bardziej że Herc nie miała pojęcia, dokąd prowadzi większość pozamykanych drzwi. Nóż do pieczywa musiał jej wystarczyć. Zawsze to więcej niż nic.

Obróciła sztuciec w dłoni i włożyła go pod jedną z dwóch grubych poduszek. Rozebrała się, rozczesała włosy, po czym w samej halce położyła się na łóżku. Wiedziała, że nie zaśnie. Buzowało w niej zbyt wiele emocji. Pocięszała Rewerę, lecz sama była niewiele mniej zdenerwowana. Lata pracy nauczyły ją kontrolować głos oraz mimikę, ale bronienie zabójcy a dostanie pogróżek w zostawionej przy zwłokach wiadomości to nie było to samo.

Zamknęła oczy i starała się uspokoić chaotyczny strumień myśli. Policzyła do trzech. Rytmicznie spowolniła oddech. Mimo to nie potrafiła przestać analizować własnej przeszłości. Jakby to ona mogła się okazać kluczem do wszystkiego, co się wydarzyło przez ostatnie godziny. Jakby to przez nią znalazła się w tym hotelu, wytypowana przez jakiegoś szaleńca.

Poza antykwariuszem w swojej karierze prowadziła sprawę tylko jednego wielokrotnego mordercy. Do tego trudno było go nazwać seryjnym. Ledwie pamiętała rysy tamtego mężczyzny, który zadźgał dwie siostry zakonne, spotkane podczas przechadzki w parku. Podczas procesu twierdził, że w ich twarzach dostrzegł demony. Pech Herc chciał, że jako adwokata z urzędu przydzielono mu właśnie ją. Pech podwójny, bo biegli uznali, że w trakcie popełnienia czynu był w pełni poczytalny. Został skazany na dożywocie z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po dwudziestu pięciu latach. Tym razem sąd wyższej instancji w pełni się zgodził z argumentacją poprzednika. Kasacja została oddalona. Kiedy to było?

Herc wydawało się, jakby tamtą sprawę prowadziła całe wieki temu. Natłok pracy i mrowie klientów wypaczały poczucie czasu. W rzeczywistości mogło minąć co najwyżej siedem lub osiem lat.

Dwóch innych zabójców, których broniła, dostało niższe wyroki. Właściwie zabójcami byli tylko w oczach opinii publicznej. Dzięki jej argumentacji jeden został skazany za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, a drugi za rozbój. Bez wnikania w argumentację prawniczą i ocenę moralną Herc traktowała te sprawy jako jedne ze swoich największych zawodowych sukcesów. Taka była jej rola.

Mimowolnie zastanowiła się, czy ci klienci jeszcze przebywają w zakładzie karnym. Ten pierwszy z pewnością tak, ale o drugim nie miała pojęcia. Po ogłoszeniu wyroku ich drogi się rozeszły. Mężczyzna nie rozumiał, że gra toczyła się nie o sześć czy osiem lat, na które został skazany, a o jego całe lub prawie całe życie. Obwinił ją o błędy w trakcie obrony. Sądził, że nie poświęciła mu wystarczająco wiele czasu.

Dupek.

Mimo wszystko nikt nie wzbudził w niej tak mieszanych uczuć jak antykwariusz. Często we wspomnieniach nachodził ją wyraz jego twarzy, gdy pytał o możliwą wysokość odszkodowania. Wtedy żona i córka już się dla niego nie liczyły. Nie miał łez w oczach. Kierowała nim jedynie myśl o forsie, którą może zgarnąć od państwa. Reszta była przeszłością. A może również pretekstem?

Herc drgnęła. Miała wrażenie, że za drzwiami słyszy jakiś szmer. Otworzyła oczy i zerwała się z łóżka. Na palcach przeszła do małego przedpokoju. Pilnie nasłuchiwała.

Szmer się powtórzył. Jeszcze bliżej drzwi. Jakby ktoś oparł się o nie od drugiej strony.

Na plecach poczuła lodowaty dreszcz. Na sztywnych nogach wróciła do łóżka i wyciągnęła spod poduszki nóż. Kucnęła, chcąc zerknąć pod drzwiami, ale między nimi a podłogą nie było żadnej szpary. Albo światło na korytarzu zostało zgaszone.

Herc zastygła w bezruchu, z dudniącym sercem i ze zjeżonymi włosami na karku. Z całej siły zaciskała dłoń na ręczce noża tak, że rozboleły ją palce. Nasłuchiwała. Z zewnątrz jednak nie dobiegł już żaden dźwięk. W końcu odważyła się poruszyć i zerknęła na zegarek.

Minęła minuta, potem pięć minut, wreszcie kwadrans.

Nadal nic.

Gdy kilka godzin później się obudziła, nie była pewna, czy to wszystko jej się po prostu nie przyśniło.

Diana Smolar obudziła się przed budzikiem. Pokój dla personelu wyposażony był w łóżko, niewielką szafkę oraz stół. Przylegała do niego mała łazienka. Prostokątne, wąskie okno znajdowało się pod samym sufitem. Nie zakrywała go żadna roleta i do środka wpadało mdłe światło.

Kobieta zamrugła. Przetarła oczy i przeciągnęła się. Spała w ubraniu, zrzuciła jedynie służbową marynarkę. Poprzedniego wieczora uświadomiła sobie, że nie zabrała rzeczy na przebranie. Nie spodziewała się tak długiej zmiany. Wzięła więc prysznic, umyła włosy i włożyła z powrotem strój recepcjonistki. Brzydziła się spać nago w łóżku, z którego każdej nocy korzystał kto inny.

Zegarek w jej komórce pokazywał piątą dwadzieścia dwie. Za osiem minut miał zadzwonić jej budzik, a za półtorej godziny musiała skończyć przygotowywanie śniadania. Wszystko się kompletnie popieprzyło, lecz musiała być punktualna. Przestrzeganie zasad bez względu na sytuację – to kolejne z przykazań ludzi sukcesu.

Diana usiadła na łóżku i zerknęła w stronę okna. Szyba była mokra, a przez szczelinę przeciskał się wiatr. Od wczoraj pogoda się nie poprawiła. O transporcie świeżego pieczywa mogła zapomnieć. Czekają ją przyspieszone rozmrażanie i odświeżanie tego, co zostało zgromadzone na kuchennym zapleczu. Poza chłodnią hotel miał wydzieloną komórkę z produktami niezbędnymi do przygotowywania śniadań. Było to duże ułatwienie, gdyż większość gości nie decydowała się na wykupienie obiadów oraz kolacji. Te serwowano à la carte. Natomiast pierwszy posiłek wszyscy mieli w cenie pokoju. Składały się na niego pieczywo, nieco nabiału, skromny wybór dżemów, miódów oraz przywożonych w hermetycznych opakowaniach wędlin. Przy pełnym obłożeniu hotelu jedzenia musiało starczyć dla maksymalnie trzydziestu kilku gości. I tak co kilka dni marnowało się kilkadziesiąt kilogramów żywności, nie wspominając o tej, którą goście zostawiali na talerzach. Jakby w cenie pokoju dano im prawo do marnotrawstwa. Prawo do całkowitego lekceważenia pracy innych.

Minimalizując straty jedzenia, można było sporo zaoszczędzić. To była jedna z najważniejszych obserwacji, które poczyniła Smolar.

Pospiesznie umyła się, odświeżyła i przejrzała w zawieszonym nad umywalką lustrze. Miała podkrążone, przekrwione oczy, ale spodziewała się, że niemal bezsenna noc odbije się na jej twarzy bardziej. Po niejednej imprezie wyglądała znacznie gorzej. Poza tym odkąd na studiach zaczęła dorabiać jako kelnerka i hostessa, przyzwyczała się do zarwanych nocy. Wiedziała też, że tego dnia nie ona jedyna będzie niewyspana. Jakże to zresztą miało znaczenie?

Kilka minut później szybkim krokiem szła do recepcji. W porannym świetle okolica hotelu przypominała pobojowisko. Wszędzie wały się śmieci z kontenerów, gałęzie i kawałki blachy, którą musiało zerwać z dachu. Kilkanaście drzew na skraju lasu w dolinie zostało powalonych. Opierały się na innych lub leżały wywrócone, z korzeniami sterczącymi ponad ziemią. Trawnik zamienił się w jedną wielką kałużę. Prowadzącą do parkingu ścieżką płynął błotnisty potok.

Ulewa nieco zelżała, lecz wiatr wciąż przyginał rosnące pojedynczo drzewa niemal do ziemi. Las falował, jakby targała nim niewidzialna siła.

Tuż po szóstej Smolar przetransportowała z zaplecza wózek z pieczywem oraz inne produkty. Kilka dni wcześniej pomagała przy tej robocie kucharzom, więc przynajmniej miała pojęcie, co jest jej potrzebne. Poruszała się przy tym czujnie i szybko.

Zgodnie z obietnicą wkrótce po niej w kuchni pojawił się Artur Miller. On również był niewyspany i czuć było od niego kwaśną woń alkoholu. Musiał w nocy wypić kilka głębszych. Miał na sobie czystą niebieską koszulkę polo oraz tweedową marynarkę z modnymi przetarciami na łokciach. Mimo to nie wyglądał świeżo. Nie ogolił się, a jego angielski wąsik wystawał ponad czarny mech zarostu.

Rozmowa się im nie kleiła, ale przynajmniej zdołali przygotować prowizoryczne śniadanie. Nieco problemów nastręczyło im uruchomienie automatów z kawą oraz sokami. Punkt siódma

wszystko było jednak gotowe. Niedługo później pojawili się pierwsi goście.

Gdyby nie panująca w jadalni cisza, wszystko byłoby tak jak każdego innego poranka. Pobrząkiwały talerze, szczękały sztucce, rzeźił ekspres do kawy. Mimo to niemal nikt nie rozmawiał. Prawie wszyscy siedzieli przy stolikach samotnie i nieufnie przypatrywali się sobie nawzajem.

– Mogło być gorzej – zawyrokował Miller. Zatrzymał się przy Dianie z talerzem pełnym zmiętych chusteczek i napoczętych dżemów.

Recepcjonistka westchnęła.

– Rankiem ludzie mają lepsze nastroje.

Kwadrans po siódmej w sali pojawiła się Tamara Haler. Miała na sobie obciste jeansy oraz koszulę w granatowo-białe pasy. Przez chwilę przypatrywała się jeżdżącemu, wreszcie zdecydowała się usiąść pod oknem. Stoliki w tamtej części sali były puste, jakby goście obawiali się, że wiatr wepchnie szyby do środka. Tamara nie była głodna, ale zrobiła sobie podwójny tost z dżemem.

Chwilę później przysiadł się do niej Deryło. Jego krótkie włosy były nastroszone, a policzki – różowe. Dzień rozpoczął od filiżanki podwójnego espresso.

– Jak noc? – zapytał Haler.

– Staralam się sobie to wszystko poukładać. – Podkomisarz rozejrzała się i zniżyła głos. – Przez parę godzin co chwilę próbowałam połączyć się z internetem albo wydziałem.

– Domyślam się, że bez skutku?

– Tak, ale przyszło mi coś do głowy. Coś, co mogliśmy sprawdzić już wczoraj, a potem męczyło mnie... – Haler urwała. Zmrużyła oczy i pochyliła głowę.

– Co ty...

Przytknęła palec do ust, uciszając Deryłę. Dopiero po chwili zrozumiał, że ukradkiem przysłuchuje się rozmowie właściciela hotelu oraz recepcjonistki.

– Chyba jeszcze nie wszyscy dotarli na śniadanie... – dobiegł go głos Millera.

– Na pewno nie. – Smolar pomagała mu przenieść tacę filiżanek. – Niektórzy pewnie jeszcze śpią.

– Albo nie żyją – wtrąciła siedząca obok Rewera. Ostentacyjnie rzuciła sztućce na talerz i wstała od stolika. – Chyba nie mam apetytu. Dziękuję.

Jak na zawołanie ruszył za nią Szymon Szewski. Ramię w ramię stanęli naprzeciw Millera.

– To pańska wina! – Rewera wskazała na niego kościstym palcem. – Czy w tym gównianym hotelu nie ma procedur ewakuacji? A co by się stało, gdybyście mieli tu rodzącą kobietę? Albo gdyby ktoś dostał zawału?

Miller cofnął się o krok. Ukradkiem zerknął na recepcjonistkę i dał znać, aby odeszła. Wolał nie ryzykować stłuczenia porcelanowej zastawy.

– Procedury są – odezwał się niepewnie. – Tylko zawiodły.

– Są, tylko zawiodły! – prychnęła Rewera. – No to wspaniale. Naprawdę mnie pan pocieszył. Dzięki temu jestem cholernie spokojna.

– To przez zmiany klimatu. Nikt nie mógł się spodziewać tutaj kilkudniowego huraganu. Ale na razie wszystko mamy pod kontrolą.

– Naprawdę? To niech mi pan załatwi transport na najbliższe lotnisko!

– Niestety, w tym momencie...

Rewera wymierzyła właścicielowi hotelu siarczysty policzek. Mężczyzna sapnął i bezradnie uniósł dłonie. Cofnął się, rozmasowując szczękę. Kobieta zamachnęła się raz jeszcze. Tym razem złożyła dłoń w pięść, lecz nim zdążyła wymierzyć cios, Deryło chwycił ją za przedramię.

– Dość – rzucił ostro. – Niech się pani uspokoi. To nic nie da.

– Bo co? Zamknie mnie pan?

– Jeżeli będę musiał, na pewno coś wymyślę.

– Lepiej niech pan wymyśli, jak ściągnąć tu swoich kumpli.

Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem. Mimo to komisarz nie spuścił wzroku. Stanął naprzeciw niej i lekko się pochylił. Przypominał gotowego do szarży byka.

– Niech pani nie sprawdza mojej cierpliwości – wycodził.

Gdy zrezygnowana Rewera wypuściła powietrze i spuściła wzrok, Deryło odwrócił się do Szewskiego. Po wczorajszej konfrontacji doktorant nie zamierzał wdawać się z nim w dyskusję. Wbił spojrzenie w swoje buty i zaczął mierzwić brodę.

Deryło sięgnął po leżącą na stoliku obok łyżeczkę i zabrzączał nią w jedną z filiżanek. Nie musiał tego robić, bo wszyscy już od dawna na niego patrzyli.

– Proponuję, abyśmy wszyscy po śniadaniu udali się do głównego holu. Tuż obok znajduje się ogólnodostępna łazienka. Za kilka godzin powinniśmy połączyć się z policją. Do tego czasu dobrze by było, abyśmy wszyscy znajdowali się w jednym miejscu. Dla naszego wspólnego bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa... – Nerwowo chichocząc, Rewera powlokła się w stronę drzwi wejściowych.

Po chwili dołączyli do niej Szewski oraz Galwer.

Deryło wsadził dłonie do kieszeni i ścisnął srebrny sester.

– Mówiłaś, że czegoś wczoraj nie zrobiliśmy... – zwrócił się do Haler.

Ona zaś jednym haustem dopiła kawę i odstawiła filiżankę na stół. Odwróciła się do wciąż zdębiałego hotelarza.

– Chciałabym coś sprawdzić. I będzie mi pan do tego potrzebny.

Deryło pchnął drzwi do pokoju Pollinou. Ze środka natychmiast dobieł się intensywny zapach krwi. Haler odruchowo sięgnęła po drażę.

– Czego szukamy? – zapytał komisarz.

Po raz kolejny sprawdzał, czy jego komórka ma zasięg. Niezmiennie wyświetlał się komunikat o braku sieci. Teraz jednak było to bez znaczenia. Nie mogli nic zrobić, dopóki nie poprawi się pogoda. Policyjny helikopter nie był w stanie osiąść przy tak mocnym wietrze, a przeprawa od strony ładu najwyraźniej również okazała się niewykonalna. Nawet gdyby naprawiono kolejkę linową, nikt nie odważyłby się do niej wsiąść w trakcie takiej wichury.

Haler zatrzymała się w progu pokoju. Zwróciła się wprost do Artura Millera.

– Jest pan typem menadżera, który dogląda wszystkiego osobiście – stwierdziła, zakładając za ucho niesforny kosmyk włosów. – Zgadza się?

Hotelarz wzruszył ramionami.

– Staram się mieć wszystko pod kontrolą. Jak widać, nie zawsze mi to wychodzi.

– Chodzi mi o coś całkiem innego. O pamięć, nie o biznesplan.

Deryło spojrzał na nią spode łba. Mogła sobie odpuścić rozbudowane inwokacje i przejść do rzeczy. Miał już ją pospieszyć, gdy Haler się przesunęła, odsłaniając przed Millerem widok na pokój.

– Niech się pan zastanowi – poprosiła nad wyraz uprzejmie – czy czegoś tu nie brakuje.

– W sensie czy coś nie zostało ukradzione?

– Na przykład.

Miller przygryzł wargę. Potarł dłonią podbródek i pochylił się, opierając się na kuli. Przez dobrych kilka sekund rozglądał się po widocznej części pokoju. Dwa razy jego wzrok zatrzymywał się w jakichś punktach, lecz po chwili wędrował dalej.

– Wszystko wydaje się w porządku – odezwał się wreszcie. – Czy mogę wejść?

Haler pokręciła głową.

– Niech się pan najpierw maksymalnie skupi. Z miejsca, w którym pan stoi, widzi pan prawie cały pokój.

– Nie widzę łazienki.

– Ją zostawmy na koniec.

– Ale... – Miller zamrugnął i naciągnął skórę przy prawym oku. Oparł się barkiem o framugę. – Nie dostrzegam niczego nadzwyczajnego. Zgodnie z moim poleceniem przy czajniku ustawiono tacę z herbatami oraz kawą. Butelka wina pochodzi z naszych zapasów, sam składałem zamówienie. Poza hurtownią nie dostanie się jej nigdzie indziej.

– Właśnie. – Deryło pstryknął palcami. – Może pańską uwagę zwróci coś, czego tu nie powinno być. Coś z tych wszystkich rzeczy...

Hotelarz bez słowa lustrował rozrzucone po pokoju ubrania, kartki papieru i kosmetyki. Deryło starał się podążać za jego spojrzeniem. Bałagan mógł być śladem walki Pollinou z napastnikiem lub przejawem jej nieuporządkowania. Artystyczne dusze często wyrażały się w panującym wokół chaosie. Poza tym gdyby aktorka się broniła, zapewne krzyczałaby znacznie dłużej. Pojedynczy wrzask świadczył o tym, że została zaskoczona i błyskawicznie obezwładniona.

– Nie widzę niczego niezwykłego. – Artur Miller bezradnie westchnął. – Poza całym tym bajzłem wszystko jest, jak należy. Nie zginął nawet długopis...

Deryło wymienił z Haler ponure spojrzenia. Niczego nie uzyskali. Powinni wrócić do holu i czekać na przyjazd miejscowych śledczych. Bez wsparcia techniki nie mogli zrobić nic więcej. Komisarz założył dłonie na piersi. Zgadzał się z filozofem, który stwierdził, że każde działanie jest tylko zagłuszaniem wyrzutów sumienia. A może sam to wymyślił?

– Nie ma sensu, żeby oglądał pan łazienkę – stwierdził. – Możemy zanieczyścić ślady,

a wszystko w niej jest identyczne jak w mojej. Już to sprawdziłem.

– Skoro tak... – Haler cmoknęła. – Możemy stąd spadać.

Deryło przełożył klucz i opuszkami palców chwycił za skraj drzwi. Kątem oka dostrzegł, że Miller ze zmarszczonym czołem wpatruje się w przeciwległą ścianę pokoju.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Tego nie powinno tu być...

Hotelarz podparł się łokciem na kuli i wyciągnął dłoń przed siebie.

Deryło zaczerpnął powietrza. Zaciekawiony popatrzył w tym samym kierunku. Lustro o nieregularnym kształcie na ścianie, szafka z dwiema półkami po lewej stronie i szufladami po prawej. Na szafce telewizor, czajnik, taca, do tego notes oraz kartka z numerami telefonów. Wsunęte pod blat krzesło, obok śmietnik...

Nie, hotelarz patrzył wyżej.

– Czego nie powinno tam być? – zapytała Haler. Oblizła usta i nim Miller odpowiedział, energicznie pokręciła głową. – Tego drugiego lustra?

– Właśnie...

Deryło w pierwszym momencie nie miał pojęcia, o jakim lustrze mowa. Widział jedynie to zawieszone nad szafką. Dopiero po chwili zrozumiał, że patrzy nie na jedno, a na dwa lustra. Przez to, że zostały połączone, jednolita tafla miała nieregularny kształt.

Tym razem komisarz był przygotowany. Wyjął z kieszeni worki foliowe i pospiesznie owiązał nimi buty. Na dłonie nasunął bawełniane skarpetki. Omijając ślady krwi oraz rozrzuconą bieliznę Pollinou przeszedł przez pokój. Zatrzymał się przy szafce. Nachylił się i spróbował zajrzeć pod lustro. Tafla większego po lewej stronie nieco odstawała, dlatego uznał, że zostało zawieszone na niewielkim haczyku. Drugie, kwadratowe, o boku mierzącym maksymalnie piętnaście centymetrów, przylegało dokładnie do ściany. Deryło się wyprostował i chwycił je delikatnie czubkami palców.

Pociągnął.

Lustro się poruszyło, ale nie odeszło od ściany. Musiała je trzymać dwustronna taśma klejąca lub klej.

Deryło przesunął się tak, by nie zasłaniać sobie światła. Dokładnie obejrzał szlifowane krawędzie, ale nie dostrzegł nic ciekawego.

– Chuchnij na nie! – krzyknęła Haler.

– Co takiego?

– Chuchnij. Z bliska, tylko spróbuj go nie opluć...

– Po jaką...

Komisarz urwał w pół słowa. Zrozumiał, do czego zmierzała Haler. Przysunął się do lustra i delikatnie wypuścił powietrze. Taflę pokryła mgiełka. Po chwili w narożniku Deryło dostrzegł rozmazany odcisk palca. Był na tyle niewyraźny, że z pewnością nie nadawał się na dowód ani do identyfikacji. Jeżeli w ogóle dałoby się go zdjąć, porównanie go z odciskiem daktyloskopijnym nie mogłoby wykazać zgodności większej niż kilkadziesiąt procent.

– Niestety...

Nagle jego uwagę przykuły znacznie mniej wyraźne linie na środku lustra. Wyglądały jak zacieki lub bardzo płytkie zarysowania. Komisarz odetchnął.

– Znowu te litery – obwieścił ponuro. – WG.

– Znowu? – Miller drgnął w progę. Z trudem powstrzymywał się przed wejściem do pokoju. – O czym wy mówicie?

Haler nie zwróciła na niego uwagi. Zniecierpliwiona odrzuciła do tyłu włosy. Jej wzrok powędrował gdzieś w górę i w lewo. Przymknęła oczy.

– Odbijała się i była swoim odbiciem... – wyszeptała.

– O czym pani mówi?

Deryło chciał wyjaśnić hotelarzowi, że nie ma najmniejszego sensu odzywać się do Haler, gdy ta kontempluje, ale jego uwagę przykuło mrugające światło w łazience. Najwyraźniej wczoraj go nie wyłączyli. Żarówki zgasły, rozjaśniły się i znowu zgasły. W tym samym rytmie zapulsowało czerwone podświetlenie włączników światła.

– Niech to szlag. – Hotelarz również to zauważył. – Wiatr musiał uszkodzić linię energetyczną.

Jedziemy na naszym zabytkowym generatorze...

– Jeszcze przed chwilą szczerze bym wątpił, że tu w ogóle jest coś takiego.

– Jest, tyle że nie mam pojęcia, jak długo pociągnie. Mamy ranek, a on już szwankuje. Dajcie mi chwilę...

Deryło ponownie spojrzał na Halera. Najwyraźniej nie martwiła się ewentualnym brakiem prądu. Wciąż cicho do siebie szeptała. Tymczasem hotelarz bez słowa ruszył w stronę korytarza. Po chwili zniknął za rogiem, a jego kroki rozbrzmiały odbijając się od marmurowej posadzki. Deryło w skupieniu obserwował Tamarę.

Nagle szmer jej głosu zagłuszył upiorny krzyk.

– Morderca! To pieprzony morderca!

Tym razem nikt nie miał problemu ze zlokalizowaniem, skąd krzyk dobiega. Magdalena Rewera wrzeszczała, jakby ją obdzierano ze skóry. Raz po raz. Histerycznie, a przede wszystkim głośniejszy od syren alarmowych.

Deryło i Haler dzieliło od niej zaledwie kilkadziesiąt metrów zakrzywionego pod kątem prostym korytarza. Rewera stała przed drzwiami niewielkiego pokoju w zachodnim skrzydle hotelu. W dłoniach ścisnęła książkę. Miała szeroko otwarte oczy, z trudem łapała powietrze.

Komisarz dostrzegł wbiegających po schodach Szewskiego i Herc. Tuż za nimi kuśtykał Antoni Galwer.

– Co pani tu robi? – wydyszał staruszek, gdy tylko stanął na szczycie schodów. – Co pani, do cholery...

– Odnajduję pieprzonych świrów!

Deryło zatrzymał się przy niej jako pierwszy. Położył jej rękę na ramieniu i zerknął na okładkę książki. Kobieta zasłaniała ją drżącą dłonią. Obecność komisarza wyraźnie jednak ją uspokoiła. Zaczęła oddychać głęboko, jakby przez ostatnie minuty zapomniała, że jest jej potrzebne powietrze.

Haler zerknęła do środka pokoju. Panował w nim niemal doskonały porządek, ale szuflady szafki były wysunięte. Pod oknem stała elegancka skórzana walizka. Poza nią nie dostrzegła niemal żadnych osobistych przedmiotów.

– To pański pokój? – zwróciła się do Galwera.

Staruszek skinął głową. Skonsternowany wpatrywał się w kurczowo ścisnąną przez Rewerę książkę. Deryło delikatnie przesunął jej dłoń. Kolorowa, podniszczona okładka przedstawiała linoskoczka balansującego nad tytułem.

Libido Mefistofelesa – przeczytał. Pod spodem widniało imię i nazwisko autora.

Aleksy Michałkin.

Skinął głową na Haler, by również się temu przyjrzała. Cofnęła się i z daleka zerknęła na okładkę.

– To właśnie ta sztuka – odezwała się, wbijając czujne spojrzenie w Galwera.

– Ona mi to podrzuciła! – Mężczyzna był gotów zaklinać się na wszelkie świętości. – Skąd w ogóle miała pani klucz? To włamanie!

– Pożyczyłam sobie w trakcie śniadania – wycedziła Rewera. – Prawie wszyscy pozajmowali stoliki, rzucając na nie klucze. A ja nie zamierzałam siedzieć beczynn timer. – Tryumfalnie splótła dłonie i zerknęła na Deryłę. – Aresztuje go pan?

– Niby dlaczego? – Deryło zamiast w starcu utkwiał wzrok w Rewerze. Uniósł brew i odchrząknął.

– Przecież...

– Skąd pani wiedziała o sztuce Aleksego Michałkina? – zapytał ostro. – A raczej o tym, co ma ona wspólnego ze śmiercią pani Pollinou?

Rewera się zmieszała. Na jej upudrowanych policzkach pojawiły się rumieńce. Patrzyła na zmianę to na Haler, to na Deryłę.

– Podśluchiwałam – wydukała. – Waszą rozmowę w jej łazience było słychać piętro niżej. Musiałam się tylko wspiać po sedesie i wyciągnąć do szybu. Wszyscy ją słyszeliśmy...

Galwer stanął w progu pokoju i zajrzał do środka. Złożył dłonie jak do modlitwy, po czym przytknął je do podbródka.

– Chciała mi ją podrzucić – powtórzył oskarżycielsko. – Nie czytam cholernych dramatów, mam dość sprawozdań do nadrobienia. Poza tym...

– Siedź pan cicho – wtrącił się Szewski. – Siedź pan, do diabła, cicho! Aresztujcie go!

– Boże... – Galwer pokręcił z rezygnacją głową. Na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech.

Pochylił się i wsunął dłonie do kieszeni. – Byłbym chyba pierwszym w historii mordercą z osiemdziesiątką na karku...

– Niech pani coś zrobi! – Rewera zwróciła się błagalnie do Haler. Najwyraźniej liczyła na kobiecą solidarność.

Deryło uniósł dłoń, dając znać, że panuje nad sytuacją.

– Jediną osobą, która na pewno popełniła przestępstwo, jest pani. – Wskazał na Rewerę. – Włamała się pani do cudzego pokoju. Poza tym czy pani całkowicie zwariowała? A gdyby rzeczywiście jakiś psychopata tam na panią czekał?

– Ale...

Komisarz nie dał wejść sobie w słowo.

– Pana Galwera widziałem wczoraj chwilę przed powrotem do pokoju. Z całym szacunkiem, ale nie wygląda na sprintera.

Starzec uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Odsapnął z wyraźną ulgą.

– Nikt nie zostanie teraz aresztowany – zawyrokował Deryło. – Nawet gdyby ktoś z was był mordercą, reszta będzie miała na niego oko. Mówiłem, żebyście trzymali się razem, a tymczasem znajduje się jakaś pieprzona domorosła detektyw...

Komisarz dopiero się rozkręcał, ale coś przykuło jego uwagę. Minął Rewerę i stanął w drzwiach do pokoju. W zadumie przytknął palec do ust.

Deryło rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył Artura Millera. Najwyraźniej hotelarz nie usłyszał odgłosów zamieszania na piętrze. Być może wciąż pomagał recepcjonistce przy porządkach po śniadaniu. Komisarzowi przemknęło przez myśl, że przed obiadem będą musieli dostać się do chłodni. Aby wyciągnąć z lodówki mięso, trzeba będzie przesunąć zwłoki.

Mimowolnie się wzdrygnął. Chociaż podczas śniadania poza podwójnym espresso wepchnął w siebie jedynie niewielkiego croissanta, nie miał apetytu. A właśnie odebrał go sobie na kolejne kilka godzin.

Razem z Haler szedł korytarzem. Trzymał głowę zadartą i obserwował przebieg szybu wentylacyjnego. Gdy doszli do klatki schodowej, wypukłość przewodu znikła im z oczu. Szyb musiał zostać całkowicie schowany w ścianie albo w tej części budynku po prostu go nie było. W projektach artdecowskich architektów wszystko było możliwe.

Przeszli kolejne kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się przy pokoju Pollinou.

– Ta babka powiedziała, że słyszała wszystko piętro niżej. – Deryło przekręcił klucz i pchnął drzwi. – To powinno działać na odwrót. Cug powinien nieść słowa do góry, nie do dołu...

– Twierdzisz, że to wymyśliła? – Haler nie była przekonana.

– Nie wiem. Po prostu głośno myślę.

– Ona nie wygląda na zabójcę.

– Czy jakkolwiek zabójca wygląda na zabójcę? No może poza kibolami, którzy wbijają ci nóż pod żebra za zły znaczek na koszulce. Poza tym to nie jest zwykłe zabójstwo.

– Tak, wiem. – Haler szybko odzyskała animusz. – Zorganizowany plan, wiadomość od sprawcy, upozowanie trupa... Nie musisz mi o tym mówić. Po prostu nie wierzę, że ta kobieta mogłaby tak doskonale grać...

– Właśnie. – Deryło cicho klasnął. – Grać. Czy przypadkiem to wszystko nie sprowadza się do odgrywania sceny? Jakbyśmy byli aktorami. Marionetkami w czyichś rękach.

Zgodnie z prośbą komisarza Haler została w pokoju Pollinou. Od kilku minut czekała, aż Deryło da jej znak. Miał zapukać w rurę, krzyczeć lub walić w sufit. Wtedy miała postarać się mu odpowiedzieć. Był to najprostszy sposób, by sprawdzić, czy Rewera mogła podsłuchać ich rozmowę i dowiedzieć się o sposobie upozowania zwłok.

Po blisko dziesięciu minutach tępego patrzenia w smugi zakrzepłej krwi na łazienkowej posadzce Haler zaczęła się niepokoić. Deryło powinien być już piętro niżej, nawet gdyby miał kłopoty ze znalezieniem właściwego pokoju lub łazienki.

Tamara zastanowiła się, czy komisarz poradziłby sobie z silnym, młodym przeciwnikiem. Gdyby była nim Rewera, z pewnością nie miałby żadnych kłopotów. Z większością mężczyzn też chyba nie, ale... Mimo potężnej postury Deryłę coraz częściej dopadały zawroty głowy i duszności. Bez dwóch zdań nie był w najlepszej formie. I bez dwóch zdań to również nie poprawiało mu humoru. Nie trzeba było skończyć studiów psychologicznych, by dostrzec w nim typowego mężczyznę, który chce sam poradzić sobie ze wszystkimi problemami. I który prędzej da się poćwiartować niż otwarcie przyzna się do słabości. Mimo to z mimiki, ruchów i zachowania Deryły można było czytać jak z otwartej księgi.

Haler wytężyła słuch. Wydało się jej, że słyszy jakiś trzask. A potem jęk.

Jęk stał się cichszy, a nagle ponownie się wzmógł. To wiatr szalał w szybach wentylacyjnych i gniótł ich zardzewiałą blachę.

– Uwaga!

Haler aż podskoczyła. Krzyk Deryły poniósł się echem po całym pomieszczeniu, jakby ten stał tuż obok.

– Słyszysz mnie? – zapytała mniej więcej tak głośno jak poprzedniej nocy.

– Słyszę – odparł cierpko Deryło. – To ten cholerny wiatr. Niesie głos w jedną i w drugą.

– W takim razie naszą podejrzaną możesz chwilowo skreślić...

– Zdaje się, że...

Tym razem powiew wiatru stłumił słowa komisarza. Zamienił je w postrzępiony jęk. Chwilę później Haler usłyszała, że Deryło ciężko kaszle.

– W porządku? – zawołała.

Odpowiedziało jej niesione wiatrem rżenie.

– Eryk?

Nic. Nadal kaszel.

Pospiesznie ruszyła do wyjścia. Starannie, choć szybko, zamknęła drzwi i popędziła w stronę schodów. Przeskakując po kilka stopni, zbiegła na niższe piętro. Minęła starą, zakurzoną jukę, po czym skierowała się przez dwuskrzydłowe drzwi w prawo. W korytarzu paliły się plafony. Co jakiś czas mrugały jak lampy w filmowych zakładach karnych, gdzie wykonywano karę śmierci na krześle elektrycznym.

Z daleka usłyszała suchy kaszel. Za kolejnym załomem dostrzegła Deryłę. Komisarz, skulony i cały czerwony na twarzy, szedł w jej stronę.

– Jezu, Eryk, wystraszyłeś mnie!

– Chcesz mnie wku... rzyć, mó... wiać mi... imieniu?

Kolejne sylaby rozdzielały wybuchy kaszlu. Wreszcie komisarz odchrząknął i się wyprostował. Przyspieszył kroku.

– Dokąd idziesz? – zapytała Haler.

Deryło jeszcze raz odkaszlnął.

– Widzisz migające światło? – Wskazał na kinkiety. – Miller wspominał o zapasowym generatorze. Dobrze, żebyśmy go znaleźli i porządnie zamknęli, na wypadek, gdyby trzeba tu spędzić

kolejną noc.

– Pewnie jest w części magazynowej.

– Właśnie tam zamierzałem pójść.

Deryło jeszcze kilka razy odkaszlnął, ale duszności powoli minęły. Kolor jego twarzy wrócił do normy, a krok stał się pewniejszy. Mimo to Haler szła tuż obok niego, gotowa w każdej chwili go podtrzymać. Komisarz, świadomy jej zaniepokojenia, udawał, że nic się nie stało. Od miesięcy bagatelizował te napady.

– Bez prądu nie będzie ciepłej wody, jedzenia i światła – wyliczył pospiesznie. – Mam nadzieję, że ten generator powstał nieco później niż hotel.

– Mówisz o końcu dwudziestego wieku? Czy zależy ci na konstrukcji nieopalanego węglem?

– Wiesz, że nie jestem ekologiczny. Oddam z siebie wszystko dopiero po śmierci... Choć może świat nie będzie musiał na to czekać już zbyt długo. – Uśmiechnął się ponuro.

Przebiegli hol i skierowali się ku zapleczu. Przy głównych drzwiach stała mecenas Herc. Bez słowa spoglądała na tonący w strugach deszczu krajobraz. Nawet nie zwróciła na nich uwagi.

Za kontuarem recepcji nie było nikogo. Nigdzie nie dostrzegli też właściciela hotelu. Pewnie nadal pracował wraz z Dianą w kuchni.

Deryło pchnął drzwi z tabliczką informującą, że prowadzą do przejścia tylko dla personelu, i zanurzył się w ciemnym korytarzu. Stłumione światło wpadało przez niewielkie, zmatowiałe szyby pod sufitem. Po chwili stanęli przed drzwiami do kolejnego pomieszczenia. Już zeszłego wieczoru Deryło zwrócił uwagę na pęki kabli ciągnących się w tamtą stronę. Grube, izolowane gumą wiązki podwieszono tuż pod stropem.

– Bingo – mruknął komisarz, gdy wszedł do środka. – Mamy go.

W niewielkim, kwadratowym magazynku stała pomalowana na niebiesko metalowa szafka. Była poobdzierana i zardzewiała. Za zamkniętymi na kluczyk drzwiczkami wisiały liczniki. Konstrukcja generatora wydawała się solidna, a jego ściany łączyły z ramą duże nity. Po prawej stronie znajdowała się odkryta czerwona dźwignia. Zza gęstej metalowej kratki wentylacyjnej dobiegał regularny warkot wirnika.

Komisarz dotknął kłódki. Opukał konstrukcję i odruchowo przetarł dłonią szybę. W półmroku liczniki były ledwie widoczne. Zerknął na niewielkie okienko. Było brudne i pełne zacieków. Spływało po nim naniesione przez wicher błoto. Miało ciemny, brązowy kolor, choć...

Deryło chwycił za klamkę i otworzył okno. W dziennym świetle ściekające z deszczem smugi miały odcień krwi.

Świeżej krwi.

Deryło pędził korytarzem ile sił w nogach, mimo to Haler wyprzedziła go o kilkanaście metrów. Komisarz znów czuł zaciskającą się na jego gardle duszność. Odkaslnął, ale nie zwolnił. Starał się uspokoić oddech.

Przed oczyma wciąż widział spływającą po szybie krew. Biorąc pod uwagę, że mieszała się z deszczem, nie potrafił nawet w przybliżeniu oszacować jej ilości.

Dużo.

Na pewno było jej dużo.

Bez specjalistycznej pomocy medycznej uratowanie ofiary krwotoku graniczyło z niemożliwością. Poza tym tyle krwi... Już utrata półtora litra wiązała się z dużym niebezpieczeństwem. Deryło wyrzucił tę myśl z głowy. Skupił się na działaniu. Dysząc, wbiegł po schodach i skręcił w prowadzący w prawo korytarz. Haler była już w jego połowie.

– To ten?! – krzyknęła, zatrzymując się przed jednym z pokoi.

Komisarz zaczerpnął tchu i wyjrzał przez okno. Kąt, pod jakim widział latarnie, wydawał się odmienny od tego z pomieszczenia, w którym znajdował się generator. Niewiele, ale jednak zauważalnie.

– Następny – zdecydował, truchając w stronę Haler. – Raczej następny.

Podkomisarz z całej siły nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

– Cholera. Niech to szlag!

– Odsuń się!

Deryło z pełnym impetem uderzył w nie barkiem. Drzwi jedynie delikatnie drgnęły. Komisarz ponowił natarcie – z takim samym rezultatem.

– Szlag!

Trzecie uderzenie wywołało sporo hałasu, ale nie przyniosło żadnego efektu. Konstrukcja drzwi była solidniejsza od tych prowadzących do pokoju Pollinou.

Deryło starał się nie zwracać uwagi na palący ból prawego obojczyka. Jeszcze raz odsunął się o kilka kroków od drzwi, gotowy podjąć kolejną próbę ich wyważenia. Nabrał powietrza.

– Czekaj!

Haler schyliła się i obejrzała zamek. Wyciągnęła z kieszeni niewielki scyzoryk. Przez chwilę majstrowała między jego ostrzami, wreszcie wyciągnęła pilnik. Wsunęła go w otwór na klucz i delikatnie przekręciła.

– To nic nie da... – Deryło naprężył mięśnie. Niecierpliwie poruszył głową. – Odsuń się.

– Mówię, czekaj!

Haler jeszcze raz obróciła scyzorykiem. Zamek nie ustąpił, ale minimalnie zmienił pozycję. Policjantka się wyprostowała.

– Tłumaczyłem ci, że to nic nie da. Tracimy czas!

Haler nie zwracała uwagi na jego słowa. Odchyliła się i kopnęła podeszwą buta w scyzoryk. Ostrze pilnika wbiło się w zamek. Rozległ się zgrzyt. Przy drugim kopnięciu mechanizm rozsypał się i wypadł na drugą stronę.

Nacisnęła klamkę. Ułamek sekundy później o podłogę brzęknął metalowy języczek. Drzwi się otworzyły. Deryło z Haler natychmiast wpadli do środka.

– Sukinsyn! – zaklął komisarz. – Pieprzony sukinsyn!

Tymon Werski leżał na boku tuż przy uchylonych drzwiach balkonowych. Do środka wpadał deszcz. Na podłodze utworzyły się kałuże, a pościel można było wyzymać. Wiatr chybotał wiszącym na krótkim sznurze żyrandolem. W pokoju było lodowato zimno.

Mężczyzna miał głowę opartą o szybę i spazmatycznie przebierał nogami. Podeszwy jego butów ocierały się o kabel lampki nocnej, nieprzyjemnie zgrzytając.

Deryło od razu zobaczył zbierającą się wokół Werskiego plamę krwi. Nieregularną i spływającą wraz z deszczówką na balkon. To z niego rozwodniona krew skapywała na okno piętro niżej.

Lekarz usiłował się odwrócić, ale nie miał na to dość siły. Z jego gardła dobywał się charkot. Podeszwy butów raz po raz biły o kabel.

Komisarz dopadł do niego i z zadziwiającą lekkością obrócił go na plecy. Podtrzymał mu głowę. Sekundę później Haler rozcięła jego markowy, nasiąknięty krwią podkoszulek.

– Ja chrzanię!

Krwi było tak wiele, że w pierwszej chwili nie mogli odnaleźć rany. Dopiero gdy Deryło otarł brzuch Werskiego, dostrzegli nacięcie tuż pod pępkiem. Pojedynczy cios został zadany z doskonałą precyzją. Wypływająca krew była lekko spieniona i miała intensywnie czerwony kolor.

Haler obeszła lekarza. Zwinęła rozdartą koszulkę i z całej siły ucisnęła nią ranę. Już po kilku sekundach pomiędzy jej drżącymi palcami zaczęła spływać krew. Werski zakaszał. Rozwarł powieki i wbił spojrzenie w komisarza. Starał się coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle.

– Co takiego? – Deryło nachylił się, przytykając ucho niemal do jego ust. Nagle poderwał się i rozejrzał po pokoju. – Apteczka, apteczka... – powtarzał, rozglądając się wokół. – W jego bagażu jest chyba apteczka.

Sportowa torba (oczywiście, z markowym logo) leżała pod łóżkiem. Deryło jednym ruchem otworzył jej zamek. Rzeczywiście pomiędzy buteleczkami perfum i złożonymi w kostkę koszulkami znalazł podręczną apteczkę. Kątem oka zerknął na Werskiego. Haler wciąż oburącz uciskała jego ranę. Miała całe dłonie we krwi, a jej twarz zaczerwieniła się z wysiłku.

– Hej, człowieku! – wrzasnęła nerwowo. – Nie odpływaj! Staraj się na mnie patrzeć. Tu jestem, tu... Pobudka!

Deryło nie mógł otworzyć apteczki. Wreszcie z całej siły cisnął nią o podłogę. Plastikowe wieczko odskoczyło i uderzyło o szafkę nocną. Po pokoju rozsypały się bandaże, plastry i listki tabletek. Dwie strzykawki potoczyły się w stronę balkonu.

Komisarz chwycił bandaż uciskowy, po czym dopadł do leżącego. Haler wciąż do niego mówiła. Deryło zarejestrował jedynie, że jej słowa nie mają żadnego sensu. Miały tylko przyciągnąć uwagę lekarza.

– Ocknij się, sukinsynu! – Komisarz chwycił go za ramię i potrząsnął.

Werski ledwie rozwarł powieki. Jego oczy obróciły się ku górze, było widać jedynie ich białka. Twarz lekarza miała kolor prześcieradła, a jego dłonie spazmatycznie się zacisnęły.

Deryło rozwinął bandaż i pospiesznie przełożył go za plecami Werskiego. Poślizgnął się w kałuże krwi. W pewnym momencie dostrzegł, że palce leżącego drżą. Jego twarz się rozluźniła, a dobiegający z ust gulgot ustał.

– Szlag!

Komisarz rzucił bandaż i ucisnął klatkę piersiową lekarza. Raz, drugi, trzeci. Dotknął jego szyi, ale nie wyczuł pulsu. Z rany przestała wyciekać krew. Haler rąbnęła pięścią o podłogę.

– To nie ma sensu. – Wierzchem dłoni otarła usta. – Przy takim krwotoku nic nie mogliśmy zrobić. Tymi opatrunkami ledwie zatamowalibyśmy skaleczenie...

– Niech to cholera.

Deryło podniósł się, ciężko sapiąc. Przeczesał dłonią włosy i zerknął na drzwi wejściowe.

W niewielkiej szparze dostrzegł twarze Szewskiego oraz Herc. Pewnie cała reszta gości kłębiła się tuż za nimi.

Ale nie to zaniepokoiło go najbardziej.

WCZEŚNIEJ

– Oglądaj uważnie. Nie zamykaj oczu. Nie udawaj, że przysypiasz. Przerabialiśmy to już wiele razy. W przeciwnym razie wiesz, co się stanie.

Chłopiec skinął głową. Wiedział. Wiedział aż zbyt dobrze. Jeżeli łamał zasady, spotykała go jedna z kar. Każda była bolesna i upokarzająca. Skutecznie zniechęcały go do jakiegokolwiek nieposłuszeństwa. A jednak jeszcze niedawno się buntował.

Kobieta włożyła kasetę do odtwarzacza i uruchomiła telewizor. Ekran przez chwilę nagrzewał się, wreszcie pojawił się kolorowy, ale słabej jakości obraz. Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu bez okien. Na podłodze nie było żadnego parkietu ani płytek. Wprost na szorstkiej, zimnej wylewce rozłożono brudny oliwkowy dywan. Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka. Dawała intensywne żółte światło.

Głównymi sprzętami w pomieszczeniu były metalowe łóżko oraz szafka, na której ustawiono telewizor i odtwarzacz. Przy łóżku stał opróżniony nocnik, a obok talerz z umyтыми plastikowymi sztućcami.

Kobieta wzięła pilot i uruchomiła nagranie. Film był mniej więcej w połowie. Chłopiec znał go niemal na pamięć.

Jesień ludzkości była trójaktowym dramatem, którego fabułę kobieta zawsze określała jako „motywującą”. Motywującą do działania. Motywującą do życia. Motywującą do ryzyka. Tyle miał z tego wynieść chłopiec.

Teraz siedział cicho i posłusznie wpatrywał się w ekran.

– Po co ci mężczyźni? – pytał przystojny brunet kształtną blondynkę, która nago przeglądała się w lustrze. – Po co ci mężczyźni, cholerna szmato?!

– Nie wiem – wyszeptła blondynka do własnego odbicia.

– Po co ci mężczyźni? Odpowiadaj! Po co ci mężczyźni?

– Naprawdę nie wiem.

– Znajdź chociaż jeden argument. Chociaż jeden pieprzony argument. Możesz ich zastąpić na milion sposobów.

– A ciebie?

Brunet zaśmiał się sarkastycznie. Oboje aktorzy grali bardzo teatralnie i bardzo sztucznie. Gdyby chłopiec miał porównanie, wiedziałby, że to jedne z ich najgorszych ról. Mimo to siedząca obok niego kobieta spijała każde słowo z ich ust.

– Mnie nie możesz zastąpić – wyszeptał brunet. – A wiesz dlaczego?

Blondynka pokręciła głową.

– Nie możesz mnie zastąpić, bo jestem tobą. Jestem twoim wyobrażeniem idealnego mężczyzny. Takim, który powie ci, co masz zrobić.

– Ale ja sama...

– Nie. Ty niczego nie wiesz.

Siedząca obok chłopca kobieta nagle się poderwała. Zatrzymała obraz i wściekle spojrzała na kilkulatka.

– Dlaczego to robisz?

Chłopiec natychmiast skulił się w rogu łóżka. Podwinął nogi i objął je posiniaczonymi rączkami.

– Oglądam. Ja tylko oglądam.

– O nie, nie. Doskonale widziałam.

Kobieta wyciągnęła dłoń i wskazała palcem podłogę.

– Proszę, ja tylko...

Palec kobiety zadrżał i chłopiec pospiesznie zwał się z łóżka. Usiadł na klęczkach na podłodze. Złożył dłonie jak do modlitwy. Otworzył usta.

– Nie na dywanie – nakazała, a chłopiec posłusznie przesunął się na wylewkę.

Kobieta wyciągnęła z kieszeni bluzki metalowy pilnik do paznokci. Chwyciła chłopca za podbródek i uniosła go.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś oglądał uważnie? Mrugając, gubisz istotne sceny. Mrugając, tracisz sens!

Chłopiec nie próbował się tłumaczyć. Z jego oczu zaczęły płynąć wielkie łzy. Mimo to posłusznie klęczał z otwartymi szeroko ustami.

Kobieta zacisnęła palce na pilniku i przyłożyła go do górnej jedyńki chłopca. Ząb obok był spiłowany niemal do połowy. Kolejny nieco mniej. Na dole nadpiłowane były trójka i czwórka.

Pilnik otarł się o powierzchnię zęba. Zgrzytnął. Kobieta poruszała nim raz w jedną, raz w drugą stronę. Kruszące się szkliwo unosiło się niczym drobiny pyłu. W powietrzu dało się wyczuć zapach piłowanej kości. Zapach gabinetu dentystycznego, którego chłopiec nigdy nie poznał.

Malec zacisnął oczy i zaczął łkać. Dławił się własnymi smarkami, a mimo to kobieta nie przestawała piłować. Z każdym jej ruchem ząb chłopca skracał się o ułamek milimetra. Czowała, że delikatnie się chybocze. Od miazgi dzieliło ją już naprawdę niewiele. Niedługo ten cholerny gnojek miał po raz kolejny poczuć, że z nią nie ma żartów. Że posłuszeństwo to nie cnota, ale cholerny obowiązek. Oddanie matce i wykonywanie jej poleceń powinny być sankcjonowane prawem.

– W końcu się nauczysz – wycodziła kobieta. – W końcu wbijesz sobie do tego pustego łba, że masz być uważny!

Fragment szkliwa ukruszył się i przylepił do języka malca. Pod naciskiem pilnika ząb nagle pękł wzdłuż, aż do samego dziąsła. Chłopiec szarpnął się do tyłu i przeraźliwie pisnął. Z jego ust wypłynęła zmieszana ze śliną krew. Zaczął kaszleć. Nagle wypluł na dywan prawie centymetrowy kawałek zęba.

Kobieta podeszła do niego i chwyciła go za podbródek. Zajrzała mu do ust. Druga część złamanego zęba wciąż sterczała mu z dziąsła. Przyszywana matka pstryknęła w nią pomalowanym paznokciem. Ukruszony ząb poruszył się, ale nie wypadł.

Pstryknęła raz jeszcze. Tym razem ząb przekrzywił się w stronę gardła chłopca. Przypominał oblany krwią bielusięńki haczyk.

Czwarte pstryknięcie wywołało na twarzy chłopca grymas bezgranicznego bólu. Jego oczy rozwarły się szeroko, z nosa wyciekł śluz, a skóra momentalnie pobladła. Malec zakołysał się i nieprzytomny runął na ziemię.

Kobieta schyliła się i schowała do kieszeni jego ułamany ząb.

– Muszę cię wszystkiego nauczyć, nim stracisz mleczaki – odezwała się beznamiętnym tonem.

– Dobry aktor musi mieć piękne zęby.

Deryło wściekłym krokiem ruszył w stronę drzwi. Otworzył je na oścież i zmierzył wzrokiem tłoczących się na korytarzu gości. Szewski i Rewera od razu się cofnęli. Herc stała tuż za nimi z dłońmi na biodrach. Nieco dalej komisarz dostrzegł Antoniego Galwera. Mężczyzna wydawał się zadyszany, a jego twarz – zarumieniona.

– Czy wszyscy byliście na dole? – Deryło zmierzył wzrokiem Szewskiego, a potem Rewerę.

– Tak... – potwierdziła Herc.

– Co: „tak”? Może któreś niedawno wybrało się do cholernego kibla?

– Naprawdę, wszyscy byliśmy razem...

Haler stanęła obok Deryły. Starła się obetrzeć krew z dłoni.

– W takim razie lepiej, abyście wszyscy wrócili do holu – stwierdziła. – I nie ruszali się stamtąd, dopóki nie pojawi się wsparcie. Albo grupa ewakuacyjna.

– Boże... – Rewera zerknęła nad ramieniem komisarza i wybuchła płaczem. – Ile krwi!

– Niech ją pan zabierze – zwrócił się Deryło do Szewskiego. – Chyba że znowu macie zamiar tracić czas, oskarżając się nawzajem. To dobra rozrywka, co? Ma pan satysfakcję?!

Komisarz postąpił w kierunku doktoranta i wściekle uderzył pięścią w rozwartą dłoń. Wszystkie emocje miał ochotę rozładować na jego twarzy. Gdyby nie stracił czasu na poranne użeranie się z nim i z Rewerą, może zapanowałby nad całym towarzystwem. Może nie pozwoliłby lekarzowi wrócić do pokoju.

– To jakiś pieprzony duch...

Słowa Rewery tylko podniosły Deryle ciśnienie. Miał ochotę wytargać ją za bujną czuprynę, a następnie wyrzucić przez okno. Nigdy nie spotkał takiej histeryczki. Wyrafinowanej i egotycznej, która zdołała omotać sobie Szewskiego wokół palca. Wszystkie histeryczki potrzebowały widowni.

– Jak on to robi? Mój Boże...

Deryle zaczęło szumieć w głowie. Głęboko nabrał powietrza i zamrugał. Dopiero teraz dostrzegł, że Rewera wskazuje leżący na podłodze zamek. Z jednej strony tkwił w nim pilnik, a z drugiej klucz.

Zabójca po raz kolejny dostał się do zamkniętego pokoju.

Rzeczywiście.

Jak duch.

– Mógł wejść przez balkon. – Haler podeszła do drzwi balkonowych i wyjrzała na zewnątrz. Aby deszcz nie zmył wszystkich śladów, kilka minut wcześniej zamknęła je na uszczelkę.

Koncepcja natychmiast wydała się jej absurdalna. Pokój był, co prawda, jedynie na pierwszym piętrze, ale balkon nie łączył się z żadnym innym. Od najbliższego okna kolejnego pokoju dzieliły go co najmniej cztery metry. Nie było też żadnych kolumn, po których można by się wspiać wyżej lub zejść na parter. Poza tym od poziomu gruntu dzieliło go dobrych kilka metrów. W sam raz, by skacząc, solidnie się poturbować, a z pewnością zostawić mnóstwo śladów, których Haler nigdzie nie widziała. Przede wszystkim jednak należałoby się wymknąć przez maksymalnie ośmiocentymetrową szczelinę powstałą po uchyleniu drzwi. Mechanizm blokujący nie pozwalał na szersze rozwarście.

– W tym błocie zostałyby chociaż odciski podeszew... – odezwała się, widząc, że Deryło również wpatruje się w ziemię. – A bardziej prawdopodobne, że gość pogubiłby buty.

Komisarz jedynie cicho westchnął. Kompulsywnie zaciskał i rozluźniał dłonie. Wreszcie odwrócił się do Haler.

– Krew jak cień – mruknął. – Mówi ci to coś?

– Krew jak cień?

– Ewentualnie krew jak cierń.

Haler przygryzła wargę. Przymknęła na moment oczy, a kiedy znów je otworzyła, lśniły z ekscytacji.

– Czy...

Komisarz skinął głową.

– Tak. Ten lekarz bełkotał to w kółko, nim wspomniał o apteczce...

– „Krew jak cierń, za cierniem cierń, przepływa przez moje ciało” – wyrecytowała Haler. – To fragment *Rozkoszy mas* Michałkina. Jego najbardziej znanego dramatu.

Deryło obrócił się na pięcie.

– To bez sensu – mruknął. – To totalny absurd.

– Powinniśmy przeszukać hotel. Od piwnic po dach. Każdy milimetr. Wtedy na pewno znaleźlibyśmy tego psychopatę. Mój Boże. Dobry Boże...

Zawodzenie Rewery znów przywołało duszności Deryły. Zaczął się intensywnie pocić, a przed oczami zamigotały mu mroczki.

– Musimy go znaleźć, nim pozabija nas wszystkich.

Głos właścicielki zakładów fryzjerskich przyprawiał go o mdłości. Piskliwy ton wżynał się w jego mózg.

– Przeszukajmy każdy pokój, aż...

Deryło uderzył pięścią w ścianę.

– Nie będzie żadnych przeszukiwań! – wrzasnął. – Co mielibyśmy przeszukiwać? Teren dokoła? Piwnice?

– Gdybyśmy poszli wszyscy razem...

– Nie. Niech pani usiądzie na dupie i przestanie mącić.

Rewera wybuchła histerycznym płaczem. Zaczęła nerwowo ocierać łzy. Przytknęła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać wymioty. Jej szloch przyprawiał komisarza o dreszcze. Nasuwał najgorsze, najbardziej ponure wspomnienia. Nie wiedział dlaczego. Nie wiedział, co ten płacz miał z nimi wspólnego, ale obrazy przeszłości zaczęły brutalnie bombardować mu mózg.

Zatoczył się i w ostatniej chwili podparł o ścianę. Haler złapała go pod bok. Duszność oplotła klatkę piersiową komisarza, a jego nogi zadrżały.

Deryło zgiął się wpół i przytknął palce do skroni.

Psychicznie cierpienie paraliżowało jego ciało. Wszystkie wypierane przez ostatnie godziny

myśli powróciły z podwójną siłą. Gdyby nie Haler, komisarz runąłby bezwładnie na podłogę.

Chwila, w której prowadzony przez jego żonę samochód zderzył się z tirem, była jak ziarnko piasku, które wpada do buta. Ni z tego, ni z owego ożywała w jego pamięci i dręczyła sumienie. Uwieriała i przyprawiała o szaleństwo.

Roztrząsanie sprawy na milion sposobów w niczym nie pomagało. Deryło teoretycznie rozumiał, że nie może się obwiniać, a jednocześnie podświadomie obarczał się pełną odpowiedzialnością za ten wypadek. Mógł wtedy odejść od łóżka brata i pojechać z nimi. Mógł zatrzymać Ewę i Wiktorię przy sobie. Mógł nie dać żonie kluczyków.

Mógł, mógł, mógł...

Winę, której Deryło nie zdołał wziąć na siebie, przerzucił na brata. Od tamtego dnia już nigdy go nie odwiedził. Dla komisarza Roman stał się ucieleśnieniem jego osobistej tragedii. Wszystkiego, co stracił.

Deryło wciąż słyszał huk zderzenia i jęk gnącej się karoserii. We wspomnieniach pisk opon mieszał się z syrenami karettek, wrzaskami strażaków oraz śwędem spalenizny. Upiorne odgłosy wibrowały i wżynały mu się w umysł. Sprawiały mu fizyczny ból. Przyprawiały o zawroty głowy i duszności. Choć starał się je oswoić, wciąż rozbudzały traumę. Wspomnienia były niczym rana, którą nieświadomie rozdrapywał. Mimo że tego nie chciał, powracały i przytłaczały go w niespodziewanych momentach.

Nie potrafił już przywoływać tych wspomnień, które chciał. Ilekroć starał się wspomnieć żonę, zamiast jej czułego uśmiechu widział napuchniętą, obandażowaną twarz, blade, zapadnięte usta, poranione policzki i skryte za naprężonymi powiekami oczy. Zamiast jej kojącego głosu słyszał charkot i kakofonię aparatury medycznej.

Ewa zmarła trzy dni po wypadku. Kierowca tira zbiegł z miejsca zdarzenia i nigdy nie został złapany. Wkrótce się okazało, że pojazd skradziono. Seria niezwykłych zbiegów okoliczności rozbudziła w zrozpaczonym Deryle demony. Zaczął podejrzewać wszystko i wszystkich. Zaczął doszukiwać się spisku.

Na domiar złego, o ile w ogóle mogło być gorzej, do wypadku doszło tuż po tym, jak komisarz rozwiązał sprawę Cztery Iksa, seryjnego zabójcy, który miał na koncie kilkanaście ofiar i który starał się wciągnąć Deryłę w swoją perwersyjną rozgrywkę.

Policjant zaczął podejrzewać, że Iks miał współnika. Pomocnika lub mściciela, który uderzył w to, co było mu najbliższe. Obsesyjne poszukiwanie motywu oraz logiki pozwoliło mu przeżyć najgorsze dni żałoby. Zanurzył się w pracy, przejrzał jeszcze raz całą dokumentację prowadzonego śledztwa i doszedł do wniosku, że nie może wykluczyć żadnego scenariusza.

Nie mógł spać, jeść ani pić. Owładnęła nim obsesja zapewnienia bezpieczeństwa córce. Wiktoria wyszła z wypadku ze złamaną ręką oraz z potłuczeniami. Była w szoku, lecz z pomocą psychologiczną radziła sobie z nim lepiej niż Deryło.

Gdy dzień przed pogrzebem żony komisarz zaczął się starać, by Wiktorię objęto programem ochrony świadków, rozpętała się pierwsza burza. Nigdy nie potrafił jej do niczego przekonać. Miał wrażenie, że córka od lat robiła wszystko, aby pokazać, jak bardzo jest samodzielna. Wbrew jego woli wyjechała na studia do Mediolanu. Wbrew jego woli całymi dniami nie dawała znaku życia.

Była taka sama jak on. I gdy dowiedziała się o programie ochrony świadków, nieomal wyszła z siebie. Jakikolwiek działania ojca przeprowadzane za swoimi plecami traktowała jako zdradę. Szczególnie w tamtym czasie.

Kiedy się zorientowała, że Deryło podczas pogrzebu żony planuje upozorować również jej pogrzeb, wpadła we wściekłość. Nie przemawiały do niej żadne jego tłumaczenia. Nie reagowała na jego prośby, groźby ani wywody, które zawierały mnóstwo logicznych sprzeczności. Cztery Iks został złapany. Nie mógł mieć nic wspólnego z tą sprawą.

Ale...

Deryło wciąż dopuszczał istnienie współników. Wierzył nawet, że Iks stworzył coś na kształt sekty, złożonej z fanów jego zbrodniczej działalności. Teraz czas osłabił tę wiarę, ale brak dowodów przeciw dla komisarza stanowił dowód za.

Deryło w tajemnicy przed córką zmienił godzinę i miejsce pogrzebu Ewy. Zgodnie z jego życzeniem wzniesiono podwójny nagrobek, a do ziemi trafiły dwie trumny. Tylko kilka osób z wydziału kryminalnego wiedziało, że jedna z nich jest pusta. Nie miał o tym pojęcia nawet właściciel zakładu pogrzebowego. Mimo to Deryło kazał zrobić zdjęcia wszystkim gościom, którzy pojawili się podczas uroczystości. Przez kolejne tygodnie obsesyjnie przeglądał blisko pół tysiąca fotografii. Ujęto na nich pięćdziesiąt siedem osób. Ośmiu z nich komisarz nie umiał zidentyfikować. Wiadomość o pogrzebie wyciekła jednak do prasy, więc mogli się zjawić na nim przypadkowi ludzie, chcący oddać cześć rodzinie bohaterskiego gliniarza, który dorwał Cztery Iksa. W gazetach pojawiło się kilka lakonicznych relacji. W jednym z dzienników ktoś zamieścił zwięzłe wyrazy współczucia. Deryło za wszelką cenę starał się dowiedzieć kto, ale po zmarnowanych dwóch tygodniach zorientował się, że to sprawka pracowników jego wydziału.

W dniu pogrzebu Weronika zniknęła. Wysłała mu krótki esemes, w którym sarkastycznie dawała do zrozumienia, że nie padła ofiarą porwania. Deryło czuł, że po raz kolejny jego córka wzięła sprawy w swoje ręce. Szanował jej wybór. Zastanawiał się nawet, czy rozmyślnie nie zrobił wszystkiego, by właśnie do tego doprowadzić. By wyjechała z poczuciem, że robi to na przekór jemu.

Miał przed oczami jej twarz, gdy całował ją noc przed pogrzebem żony. Weronika zasnęła w ich salonie po solidnej porcji tabletek uspokajających i paru lampkach wina. Nakrył ją, a potem zawiniętą w koc przeniósł do pokoju, z którego nigdy nie wyniósł jej rzeczy. Nawet jeżeli studiowała w Mediolanie, jej prawdziwy dom zawsze był przy nim i Ewie.

Kolejne sceny przelatywały przed oczami Deryły jak w kalejdoskopie. Nagle poczuł, że ktoś nim potrząsa. Intensywnie zamrugał i zobaczył zafrasoną twarz Halera.

– Eryk, do licha, co z tobą?! – wrzeszczała Tamara, szarpiąc go za ramię.

Deryło zamrugał raz jeszcze.

Znów był na miejscu zbrodni.

– Jakim cudem te drzwi znowu były zamknięte od środka?

Deryło z trudem się wyprostował. Duszność powoli mijała, a jego myśli stawały się klarowniejsze. Ból głowy przestał przywoływać mdłości.

– Chyba nie tym się przed chwilą martwiłeś, tatuśku. – Haler westchnęła. Od miesięcy patrzyła na to, co się działo z komisarzem, ale nie umiała mu pomóc. A teraz nie pora na poruszanie tego tematu.

Upewniła się, że Deryło utrzyma równowagę, i wywinęła się spod jego ramienia. Tym razem miała gdzieś przemieszanie śladów własnych i sprawcy. Musieli coś zrobić, by do przyjazdu techników hotel nie zamienił się w cmentarz. Dwa morderstwa popełnione pod nosem śledczych... To wyglądało jak słaby żart.

– Żebyśmy o czymś nie zapomnieli...

Haler kucnęła przy ciele Werskiego. Rozstawiła szeroko nogi, by nie rozmazać kałuży krwi. Krew na jej rękach obeschła i zamieniła się w nieregularne maziaje. Można by dostrzec w nich ukryte sensory jak w plamach Rorschacha. Poprawiła mankiety koszuli i chwyciła spoconą dłoń lekarza. Obróciła ją. Poza kroplami krwi na wewnętrznej stronie nadgarstka niczego nie znalazła. Na drugim podobnie.

– Może go spłoszyliśmy, nim zdążył skończyć?

Podniosła głowę, spoglądając Deryło w oczy. Komisarz z powrotem nabrał kolorów i animuszu. Nerwowo mlasnął, po czym rozejrzał się po pokoju.

– Nie, to niemożliwe. – Haler oglądała przedramiona Werskiego. – Sprawca miał dość czasu. Zanim się zjawiliśmy, on musiał tu leżeć dziesięć, może piętnaście minut. Poza tym... Cholera.

Deryło zerknął nad jej ramieniem. Haler odchyliła głowę Werskiego i odsłoniła jego kark. Tuż pod linią włosów nakreślone zostały dwie litery.

KT.

Patrząc na kolor oraz fakturę linii, Deryło nie miał wątpliwości, że jako atramentu znowu użyto krwi. Haler najwyraźniej nie była co do tego przekonana, bo pochyliła się i niemal przytknęła nos do karku Werskiego. Nagle się wyprostowała, po czym delikatnie położyła jego głowę na podłodze. Odrzuciła do tyłu włosy.

– I co ty na to? – Zerknęła na komisarza. – Jakies pomysły?

– Skoro znów są te litery...

Haler natychmiast rozejrzała się po pomieszczeniu.

– No tak. Lustro!

Dostrzegli je niemal równocześnie. Tym razem nie zostało przymocowane do ściany. Małe, przenośne lustro leżało na szafce nocnej obok sportowego zegarka Werskiego. Było nieco mniejsze niż lustro znalezione w pokoju Pollinou i zostało przymocowane do plastikowej ramy.

Deryło podniósł je i obejrzał pod światło.

Chuchnął.

Jego oddech pozostawił nierówne ślady, ale tym razem komisarz nie dostrzegł liter ani w ogóle niczego nadzwyczajnego. Mimo to tafla szkła wydawała mu się dziwnie umocowana. Klej był nałożony nierówno i wyglądał na świeży.

– Masz zapalniczkę? – zwrócił się do Haler.

Ta pospiesznie obszukała kieszenie. Po chwili skrzywiła się i pokręciła głową.

– Może ma ją ktoś z nich...

Deryło, ściskając lustro, ruszył ku drzwiom.

– Kazałeś iść wszystkim do holu.

– Serio?

– Mhm.

– I myślisz, że ktoś posłuchał?

Deryło gwałtownie otworzył drzwi. Goście hotelu stali kilka metrów dalej. Komisarz nie miał wątpliwości, że przez dziurę w miejscu zamka starali się podsłuchać każde słowo jego rozmowy z Haler. Nie zdziwiło go, że najbliżej stała Rewera.

– Czy ktoś ma zapalniczkę? – zdobył się na spokojny ton.

Nikt nie zareagował. Po chwili Herc postąpiła ku niemu. Poprawiła okulary i nabrała powietrza.

– Panie komisarzu, wszyscy chcielibyśmy...

Deryło odwrócił się na pięcie i wierzchem dłoni pchnął drzwi. Gdyby miały zamek, zatrzasnęłyby się tuż przed nosem pani adwokat.

– Musimy sobie poradzić bez zapalniczki – oznajmił.

Uniósł lusterko i cisnął nim o podłogę. Szkło rozprysnęło się na dziesiątki kawałków. Z plastikowej ramy wypadło jednak coś jeszcze. Niewielki, podłużny przedmiot.

– Kto wziął ze sobą laptop?

Deryło uważnie wodził spojrzeniem po twarzach zebranych. Rewera natychmiast spuściła wzrok. Herc założyła dłonie na piersi, ale się nie odezwała. Galwer oraz Szewski udali, że nie słyszeli pytania komisarza. Stali kilka metrów od siebie, obaj wyprostowani i gotowi do dalszych wzajemnych przytyków.

– Kto z was ma, do cholery, laptop? Nikt? Naprawdę? – fuknął Deryło. Przygryzł wargę i obrócił w dłoni pendrive. Wiedział, że to podziała. Rzeczywiście nagle skupił na sobie uwagę zebranych.

– Czy to... – Rewera spodziewała się, że komisarz za nią dokończy, ale po chwili ciszy odezwała się ponownie: – Znaleźliście to w rzeczach tego lekarza? Czy podrzucił mu go zabójca?

Komisarz westchnął.

– Ma pani laptop?

– Ja nie, ale...

– Podejrzewam, że przedpotopowy komputer z recepcji nie ma wejścia na pendrive'y. Nie wiem, co jest na tym dysku, ale lepiej, żebym to sprawdził. I to jak najszybciej.

– Ja naprawdę nie wzięłam laptopa. Korzystam z komórki.

Deryło nerwowo pokręcił głową. Nagle za jego plecami rozległ się huk. Błyskawicznie się obrócił i odruchowo sięgnął ku kaburze. Jego dłoń przeczesła powietrze.

– Spokojnie... – Haler wyciągnęła się, aby zamknąć lufcik okna. – To tylko wiatr. Okno zeskoczyło z haczyka.

Nacisnęła klamkę. Kątem oka dostrzegła, że Szewski stara się zajrzeć do pokoju Werskiego. Przeciąg uchylił pozbawione zamka drzwi. Natychmiast je przymknęła. Wsunęła pod nie zmięte opakowanie draży i upewniła się, że teraz się nie poruszą. Zabójca i tak nie miał już potrzeby tu wracać. Zrobił, co chciał. Zostawił dość śladów oraz swoje przesłanie.

– Jeżeli ktoś je poruszy choćby o milimetr, będę o tym wiedziała – ostrzegła. Odwróciła się do zebranych i westchnęła. – Naprawdę nikt nie ma cholernego laptopa?

Podchwyciła spojrzenie Galwera. Mężczyzna włożył dłonie do kieszeni i skinął głową.

– Ja mam – odezwał się, jakby w końcu powziął decyzję. – Proszę zaczekać. Zaraz przyniosę.

– O nie, nie... Pójdę z nim – wycedził Szewski. – Jeżeli nie wrócę, będziecie wiedzieć, kto jest tym popieprzonym świrem.

– A ten dalej swoje – westchnęła Herc.

Deryło ruszył w stronę klatki schodowej.

– Pójdziemy wszyscy – zdecydował. – Swoją drogą, czy komuś mówią coś litery WG oraz KT?

Po raz kolejny odpowiedziała mu cisza. W sumie nawet go to nie zdziwiło.

Kilka minut później znaleźli się w pokoju Galwera. Nie było w nim śladów po przeszukaniu Rewery. Odnaleziona przez nią książka leżała na wierzchu, ale nikt nie powrócił do tego tematu. Najwyraźniej wszyscy zrozumieli albo przynajmniej starali się zrozumieć, że ktoś próbuje nimi manipulować. Choć Szewski nadal czujnie obserwował starszego mężczyznę.

Antoni Galwer wyciągnął z szafy niewielką skórzaną teczkę. Rozpiął ją i położył na szafce tablet. Ukradkiem wpisał hasło.

– Ten sprzęt powinien wystarczyć – mruknął. – O ile na pendrivie nie ma jakiejś nowej gry z niebotycznymi wymaganiami. Nie znam się na tym...

Uśmiechnął się i odsunął, robiąc miejsce Deryle oraz Haler. Komisarz obrócił w dłoni pendrive. Wymownie spojrzął na tłoczących się z tyłu gości.

– Chyba nie muszę tłumaczyć, że to nie jest darmowy pokaz.

Tym razem Herc wysunęła się na czoło grupy. Odgarnęła za ucho kosmyk włosów i przybrała surową minę.

– Jeżeli ten psychopata zostawił nam kolejną wiadomość, chcemy to wiedzieć – oznajmiła. – Niech pan zrozumie.

– Już powiedziałem. To nie jest cholerny darmowy pokaz.

– Mamy takie prawo.

– Pani mecenas najlepiej powinna wiedzieć, że gównno macie. A już na pewno nie prawo oglądania materiału dowodowego.

– Zapomina pan, że nie prowadzi śledztwa.

– Tylko formalnie.

Deryło był gotów siłą usunąć Herc i całą resztę z pokoju. Wciąż bolała go głowa. Nie miał cierpliwości prowadzić jałowych dyskusji. W ostatniej chwili, zanim zdążył wybuchnąć, pomiędzy nim a Herc stanęła Haler.

– Niech obejrzą. – Wzruszyła ramionami. – Skoro naprawdę tego chcą, to co za różnica. I tak wszyscy siedzimy w tym gównie. Są dorośli.

Deryło pogardliwie fuknął. Bez słowa odwrócił się i wsunął pendrive do laptopa. W folderze pojawiły się plik wideo oraz wiadomość tekstowa.

– Dobrze – westchnął. – Macie, czego chcecie.

Skinął głową, by Haler uruchomiła nagranie.

Kątem oka odnotował, że podłączony do prądu budzik zamrugał. Godzina została wyzerowana. Stary generator tracił siły.

Wideo najprawdopodobniej zostało nakręcone telefonem komórkowym. Jakość była niezła, ale momentami obraz się rozmywał. Aparat potrzebował też czasu, by zareagować, gdy nagrywający kierował obiektyw w stronę światła.

Przez kilka pierwszych sekund widać było fragment pokoju Pollinou. Lustro, szafkę oraz kosz na śmieci. Aktorka stała plecami do kręcącego i spoglądała w lustro. Najwyraźniej nie spodziewała się, że ktoś jest tuż za jej plecami.

Nastąpiło cięcie.

Po kilku sekundach wyciemnienia ekran tabletu znów się rozjaśnił. Tym razem obiektyw kamery był skierowany wprost na twarz Pollinou. Z jej oczu ciekły łzy. Rozmywały makijaż i spływały po podbródku.

Nagranie nie miało dźwięku, lecz bez problemu można było sobie wyobrazić, jak kobieta stara się krzyczeć. W usta miała wsunięty jakiś materiał. Być może jedną ze swoich bluzek. Materiał wżynał się w kąciki jej warg, ocierając je niemal do krwi.

Pollinou miała wyciągnięte do przodu ręce, ale nie było widać jej dłoni. Nagrywający od czasu do czasu obchodził sznur, którym zapewne spętał również jej nogi. Był to ten sam sznur, który morderca następnie wykorzystał, by ułożyć jej ciało jak do modlitwy.

Przed obiektywem coś błysnęło. Po sekundzie lub dwóch aparat dopasował ustawienia i skupił ostrość na lśniącej żyletce. Nagrywający przypiął telefon do jakiegoś uchwyty na wysokości swojej klatki piersiowej. Widać było obie jego ręce. Jakąkolwiek identyfikację utrudniały luźny czarny materiał oraz skórzane rękawiczki.

Haler z konsternacją odnotowała, że nagrywający nie jest leworęczny. Owszem, od czasu do czasu posiłkował się lewą dłonią, lecz większość czynności wykonywał prawą. W najlepszym razie można go było określić jako oburęcznego. Takie osoby często powodowały komplikacje w toku śledztw. Niejednokrotnie po zbadaniu napisanych przez nie wiadomości, zadanych ran lub zweryfikowaniu setek innych śladów dochodzono do błędnego wniosku, że sprawców było kilku. W tym przypadku nagrywający rozwiewał jakiegokolwiek wątpliwości. Działał sam. Z lodowatą precyzją i wyrafinowaniem.

Obraz wyostrzył się na nagim torsie Pollinou. Morderca z całej siły chwycił jej prawą pierś. Ta błyskawicznie nabiegła krwią, a sutek się wypuklił.

– Naprawdę chcecie to oglądać? – Deryło przecesał włosy i zerknął na stojących za nim Rewerę oraz Szewskiego. Herc znajdowała się nieco dalej, ale również spoglądała na ekran monitora. Galwer bez słowa patrzył w okno.

Deryło parsknął i z powrotem przeniósł wzrok na ekran tabletu. Nie miał czasu się z nimi użerać.

Nagrywający precyzyjnie naciął skórę na piersi aktorki. Prowadził cięcie tuż obok swych palców. Popłynęła z niego strużka krwi. Po chwili zaczęła spływać coraz obficie i szybciej. Pollinou szarpała się, ale sznur dawał jej tylko minimalną swobodę ruchów. Wżynał się w jej płaski, umięśniony brzuch.

Morderca chwycił za skraj rany i szarpnął. Kawalek skóry oderwał się od przyczepów, po czym zasłonił brodawkę sutkową aktorki.

Kilka ruchów żyletki wystarczyło, by przebić się przez zbrylony żółty tłuszcz. Nagrywający rozgarnął jego zwały palcami. Wbijał je w niego jak w kawał obrabianego, przerośniętego kurczaka. Działał szybko i sprawnie.

Kolejne cięcia błyskawicznie rozkrawały mięśnie. Pollinou wciąż była przytomna. Drżała i starała się poruszać na boki. Sznur rozdarł skórę na jej brzuchu. Ani Deryło, ani Haler nie zwrócili wcześniej uwagi na te rany. Teraz bez słowa wpatrywali się w ekran. Wyglądali choćby

najdrobniejszego szczegółu, który mógłby naprowadzić ich na trop sprawcy. Albo który pozwoliłby im cokolwiek zrozumieć.

Morderca nagle się cofnął. Obszedł Pollinou i stanął za jej plecami. Ułamek sekundy później na podłogę trysnęła krew. Strumień świeżej jasnoczerwonej krwi.

– Zaraz... – Haler zastopowała nagranie.

Starła się uporządkować kolejne wydarzenia. Nie wiedziała, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale nie dopuszczała wokół siebie chaosu. Skoro zaczęła oglądać ten chory film, musiała zrozumieć każdy jego szczegół. Przetrwać go, by stał się kolejnym elementem jej poglądu na całą sprawę.

Zerknęła na Deryłę. Komisarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Dobrze myślisz – odezwał się, ciężko oddychając. W jego oczach było widać wściekłość. – Ta aktorka właśnie połknęła szkło, które miała wepchnięte za knebel. Zabójca dał jej tylko potencjalny wybór. Śmierć w najgorszych męczarniach albo samobójstwo. Niewiele mniej bolesne niż amputacja piersi na żywcą...

Wideo kończyło się kilka sekund po tym, jak Deryło po raz pierwszy je zastopował. Nagrywający zadbał, by w ostatnich ujęciach zachowana została dobra ostrość. Pod niewielkim kątem, stojąc z boku Pollinou, zrobił zbliżenie na jej gardło. Z powrotem musiał wziąć telefon do rąk i podglądać obraz. Delektował się chwilą. Kadr był niemalże nieruchomy, jakby kamerę umieszczono na doskonale stabilnym statywie.

Komisarz przewinął ostatnie pół minuty. Zauważył, że Rewera oraz Szewski wycofali się w głąb pokoju. Nagranie nagle przestało ich fascynować. On był blady jak ściana, a ona, mimo makijażu, przybrała kolor dojrzałego pomidora. Odkaslnęła. Deryło był pewny, że zaraz zwymiotuje. Chyłkiem wyszła na korytarz i znikła za ścianą.

– Zadowolony? – Komisarz zwrócił się do Szewskiego. – Mam nadzieję, że ten film zaspokoił pańską ciekawość.

Herc zerkała na ekran z dobrych kilku metrów. Galwer nadal stał przy oknie i nie odezwał się nawet słowem.

Deryło ponownie uruchomił nagranie. Kawałek szkła wypłynął wraz z krwią z rozciętego przetyku Pollinou. Na chwilę przywarł do jej skóry, wreszcie odkleił się i spadł poza kadr, na jej kolana. Kolejne kawałki wypadały wraz z fragmentami ścięgien, chrząstki oraz tkanki mięsnej. Mieszały się z treścią żołądkową, która podeszła do gardła umierającej kobiety.

Nagle Pollinou pochyliła się i cały kadr wypełniła jej twarz. Półotwarte oczy straciły blask. Wciąż jednak płynęły z nich łzy. Nagrywający jednym ruchem wyrwał z jej ust knebel. Wargi kobiety rozwarły się i zastygły w bezruchu. Wypłynęły nimi spieniona, zmieszana z krwią ślina oraz żółć. Nagranie się skończyło.

Szewski i Herc również wyszli z pokoju. Deryło słyszał, że rozmawiają na korytarzu przyciszonymi głosami. Po chwili dołączył do nich Antoni Galwer.

– Zdaje się, że nikt nie jest ciekaw wiadomości tekstowej – mruknął Deryło. – Nie podobał się wam seans?! – wrzasnął w stronę drzwi. – Naprawdę?! Przecież tak cholernie chcieliście to oglądać!

Oparł obie ręce na skraju szafki i powoli wypuścił powietrze. Przymknął oczy, starając się wyrzucić z podświadomości widziane przed chwilą obrazy. Skoncentrował uwagę na ciemności przed oczami. Uspokoił oddech. Była to metoda, której praktykowanie zalecano funkcjonariuszom mającym kontakt z makabrycznie okaleczonymi ofiarami wypadków lub katastrof. Skupienie uwagi na czymkolwiek innym, choćby na czerni zamkniętych powiek, pozwalało uniknąć koszmarów.

Podobno.

Deryło wiedział, że przede wszystkim uspokaja teraz własne sumienie. Robił to, żeby nie móc oskarżyć się o kolejną bezsenność. Żeby nie mieć argumentu dla dalszego samoobwiniania.

Haler włożyła do ust kolejną drażę i natychmiast ją rozgryzła. Najechała kursorem na ikonę pliku tekstowego.

– Włączyć?

Komisarz otworzył oczy. Ponownie nabrał powietrza i wzruszył potężnymi ramionami.

– A co może być tam gorszego? Zobaczmy to i dorwijmy w końcu tego sukinsyna.

Na ekranie tabletu wyświetliła się klepsydra. Kilkukrotnie się obróciła, nim uruchomił się właściwy program. Deryło zauważył, że budzik, który wskazywał przed chwilą 00.08, ponownie się zrestartował. Generator prądu coraz bardziej szwankował. Do zachodu słońca mieli jeszcze dobrych parę godzin, ale komisarza nachodziły coraz posepniejsze myśli. Wiatr ani na moment nie odpuszczał. Szyby trzeszczały w starych ramach. Krople ulewnego deszczu łomotały o parapet. Niebo było szarobrazowe, w pokoju panował półmrok. Mimo że ledwie minęło południe, dobrze byłoby włączyć światło.

Ekran tabletu mrugnął i na białym polu tekstowym wyświetliło się kilka linijek zapisanych

małymi literami. Haler pospiesznie powiększyła tekst. Wiedziała, że Deryło miał coraz słabszy wzrok, ale nie dał się przekonać do wizyty u okulisty.

Teraz oboje nachylili się nad tabletem.

Ten film mógłby trafić na ekrany kin, prawda? Nigdy niskobudżetowa produkcja nie zarobiła takich pieniędzy, jakie tkwią w tych paru minutach. I to nakręconych niemal za bezcen. Życie Pollinou nie było wiele warte. Ale nominację do Oscara miała w kieszeni. Choć prędkiej należała się jej Tony Award. To wszystko, moi drodzy. Już chyba nie macie wątpliwości, że wszyscy zginiecie? Zdaje się, że właśnie usłyszeliście agonalny krzyk aktoreczki. Muszę stąd zniknąć.

Wasz Widz

Deryło odsunął się od szafki i przeszedł koło łóżka. Po chwili zawrócił jak zwierzę zamknięte w klatce.

– Czym jest Tony Award?

Haler sprawdziła, czy na pendrivie nie ma żadnych ukrytych plików, i odwróciła się do komisarza.

– Prawidłowa nazwa to Antoinette Perry Award for Excellence in Theatre – wyjaśniła ze wzrokiem wbitym w sufit. – Od 1946 albo 1948 roku laureatów typuje grono... – Przerwała i westchnęła. – Przepraszam. To po prostu teatralny odpowiednik Oscarów.

Deryło z wdzięcznością skinął głową.

– W takim razie nie widzę tu ani żadnego szyfru, ani wskazówki, a zwykłą, podłą satysfakcję tego gnoja z tego, co zrobił. Pieprzone przechwałki. Chełpi się tym, ale nie daje żadnego prowadzącego do siebie tropu.

– Widz. – Haler zastukała palcem w ekran. – To jedyne, co o nim wiemy. Chce, żeby nazywać go Widzem. W jakiś sposób pozwala to go nam zidentyfikować. Skoro sam się tak postrzega, w tym słowie musi się znajdować więcej treści, niż się nam zdaje.

Deryło zakpił.

– Nie poznałem nikogo o takim imieniu.

– No popatrz...

Haler wyjęła pendrive i schowała go do kieszeni.

– Jakież pomysły?

Komisarz ciężkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Musimy zająć się ciałem Werskiego. Wolę, żeby nie leżało w niezamkniętym pokoju.

– W tym hotelu zamki wydają się przeszkodą tylko dla nas – zauważyła ponuro Haler.

Deryło kilkakrotnie próbował nawiązać połączenie z numerem alarmowym. Po wyjściu z pokoju Galwera wjechał nawet na przeszkloną górę klatki schodowej, ale jego telefon uparcie pokazywał komunikat o braku sieci. Nie zmieniło się to choćby na ułamek sekundy. Komórka, którą dała mu Haler, również irytowała czerwoną ikoną przypominającą maszt antenowy.

– Niech to szlag. Cholerne gówno.

Komisarz pospiesznie zbiegł po schodach. Już z daleka usłyszał dobiegający z holu gwar rozmów. Większość gości musiała posłuchać jego rady i się tam przenieść.

Haler stała przy drzwiach do pokoju Werskiego. Rozmawiała z Arturem Millerem. Hotelarz był błądy i zdawał się całym ciężarem opierać się na kuli. Na widok Deryły nerwowo przeczesał palcami włosy i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To szaleństwo, totalne szaleństwo – powtórzył kilka razy, wreszcie, bez jakiegokolwiek pauzy, zmienił temat. – Powiedziałem, żeby panna Smolar trzymała się gości. Państwo mi wybaczą, ale bez kucharzy nie będę mógł wydać obiadu. Poza tym boję się, że uruchomienie kuchni wykończyłoby generator prądu.

Deryło lekceważąco machnął dłonią.

– Nie sądzę, żeby ktoś był głodny.

– Wystawię suchy prowiant, słodczyce i wszystko, co wytrzyma temperaturę pokojową. Pieprzę sanepid.

– Trzeba końca świata, żeby ludzie zaczęli myśleć logicznie.

– Słucham?

Deryło nie odpowiedział.

– Będziemy potrzebować worków – zwrócił się do Haler. – Tych, co wczoraj.

Podkomisarz skinęła głową w stronę pokoju. Dopiero po chwili Deryło zauważył foliową rolę leżącą tuż przy wejściu.

– Zawsze przygotowana.

– Z jakiegoś powodu się dogadujemy. – Haler uśmiechnęła się wymownie, po czym zerknęła na hotelarza. – Niech pan tu zostanie.

Podniosła rolę i weszła do pokoju. Nagle się zatrzymała. Zmrużyła oczy i gwałtownie odwróciła się do Deryły.

– Ktoś ruszał ciało – odezwała się ostro.

Komisarz niemal na nią wpadł.

– Co takiego?

– Opakowanie draży, którym zablokowałam drzwi, było lekko przesunięte, ale uznałam, że to przez przeciąg. Kiedy wychodziliśmy, ciało leżało jednak nieco bliżej balkonu. Ktoś je przesunął.

– Jesteś pewna? Ja nie widzę różnicy.

– Na sto procent.

Deryło rozejrzał się po pokoju. Nie odnotował żadnych zmian, ale nie miał tak fotograficznej pamięci jak Haler.

– Poza tym wszystko jak wcześniej. – Policjantka jakby czytała mu w myślach. – Nieruszone.

– Po jaką cholere ktoś miałby przesuwać akurat ciało?

Deryło wziął od Haler rolę folii i rozwinął ją na podłodze.

– Lepiej zanieśmy go do chłodni.

Kucnął przy zwłokach i zerknął na oblepiony krwią brzuch Werskiego. Starał się oddychać szybko, ale płytko. Haler zatrzymała się tuż obok. Schyliła się, by chwycić lekarza za dłonie.

– Czekaj. – Deryło złapał ją za rękę. – Najpierw zdjęcia. Ciągle wierzę, że będziemy mogli przekazać tę sprawę tutejszym.

Deryło szedł z przodu. Wziął na siebie większość ciężaru ciała Werskiego, trzymając folię nieco wyżej niż Haler. Lekarz ważył pewnie ze dwa razy więcej niż Pollinou. Mimo to nie zaryzykowali skorzystania z windy. Awaryjny generator prądu nie był wystarczającą gwarancją tego, że bezpiecznie zjadą piętro niżej.

W głowie komisarza kłębiły się domysły. Starał się poskładać całość w logiczną historię, ale nie umiał. Wciąż brakowało mu jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Śladu racjonalności, która zespoliłaby poszczególne elementy. Przez kwadrans centymetr po centymetrze opukiwali z Haler pokój Werskiego. Nie znaleźli żadnej drogi, którą mógłby uciec zabójca. Żadnych ukrytych drzwi, zejścia do piwnicy lub szybu wentylacyjnego, do którego zmieściłby się dorosły człowiek. Ucieczka z pokoju była po prostu niemożliwa. Chyba że sprawca potrafił skurczyć się do kilku centymetrów i przecisnąć przez szparę. Następnie musiałyby wykorzystać specjalistyczny sprzęt wspinaczkowy i opuścić się na ziemię z balkonu. Tyle że później w jakiś cudowny sposób musiałyby jeszcze zatrzeć swoje ślady w grząskim błocie.

Przez całą drogę, całkowicie pochłonięci myślami, nie zamienili z Haler nawet słowa. Gdy wreszcie dotarli do chłodni, policjantka ledwie trzymała się na nogach. Naprężone mięśnie ramion ją paliły. Z trudem powstrzymywała się, by po prostu nie rzucić worka na ziemię. Poczwała ulgę, gdy wreszcie delikatnie ułożyli go na podłodze. Tymczasem Deryło zaczął przeczesać kieszenie w poszukiwaniu klucza. Odnalazł go obok srebrnego sesterca.

– Cholera... – syknął, patrząc na elektroniczny zamek. – Zapomniałem o tym ustrojstwie. Trzeba ściągnąć Millera.

Hotelarz zniknął im z oczu od razu po tym, gdy zapewnili go, że nie będą potrzebować pomocy przy przenoszeniu zwłok. Jakby tylko na to czekał. Bąknął coś o zorganizowaniu prowiantu i z wyrazem ulgi na twarzy pokuśtykał ku klatce schodowej.

Haler minęła komisarza i wpisała czterocyfrowy kod. Przekręciła klucz, a drzwi odskoczyły.

– Jesteś pieprzoną autystką – mruknął Deryło. – Tylko ciągle nie wybadałem, czego ci brakuje.

– Aktualnie? Świętego spokoju.

Poruszyła głową, rozluźniając mięśnie karku. Ponownie nachyliła się nad workiem i zaczęła, aż Deryło uniesie ciało. Starali się przez cały czas przenosić je, trzymając za folię. Mimo że przyczyna śmierci wydawała się jasna, woleli nie przysparzać patologom dodatkowej roboty.

Ostrożnie przeszli przez próg i zaczęli, aż automatycznie zapali się światło. Kilka jarzeniówek zamrugało. Wreszcie rozbłysły, ale znacznie słabiej niż poprzedniego wieczoru. Pracując, wydawały z siebie monotonne rżenie.

Gdy opuścili ciało, Haler zerknęła na folię zakrywającą zwłoki Pollinou. Mimowolnie się wzdrygnęła. W pomieszczeniu było około dziesięciu stopni, ale taka temperatura nie mogła powstrzymać procesów gnilnych. Niestety, żadna z zamrażarek nie była wystarczająco duża, aby zmieścić lekarza. Być może udałoby się wepchnąć do którejś z nich Pollinou, ale i to było wątpliwe. Poza tym mogłoby wypaczyć późniejszy obraz obrażeń, które odniosła. A Haler, podobnie jak Deryło, wciąż się łudziła, że wichura lada moment ustanie i do hotelu przybędzie ekipa miejscowych śledczych.

– W to dwudziesta trzecia litera alfabetu łacińskiego – odezwała się, wciąż patrząc na zawinięte w folię zwłoki. – Dorzucając polskie znaki, dwudziesta ósma. G jest odpowiednio siódma lub dziesiąta.

Deryło zmarszczył brwi.

– Do czego zmierzasz?

– Mielibyśmy dwudziestą trzecią zero siedem. Idąc tym tropem, KT oznaczałoby jedenastą dwadzieścia.

– I?

Haler przeciągle cmoknęła.

– Nie wiem. Po prostu głośno myślę.

Deryło przygryzł wargę. Przez chwilę analizował słowa Tamary. W końcu odchylił mankiet koszuli i zerknął na cyferblat Tissota.

– Z dużym uproszczeniem, odejmując po trzy godziny, mielibyśmy ich daty zgonów.

– Trzy godziny. – Haler przymknęła oczy. – To strefa czasowa Gruzji, Azerbejdżanu i rosyjskich obwodów samarskiego oraz Udmurcji. Zdaje się, że też Seszeli oraz Reunionu.

– Chyba kompletnie zbaczamy z tropu... Zaraz zaczniemy czytać ich horoskopy.

Haler westchnęła. Kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia. Gdy znaleźli się na korytarzu, nagle zastygła w bezruchu. Deryło zamknął drzwi, po czym uważnie się jej przyjrzał.

– No, dalej. Ziemia do Haler, odbiór.

– Nie, nic. – Włożyła dłonie do kieszeni. – Pomyślałam o tym, że Szymon Szewski jest autorem cyklu obrazów zatytułowanych godzinami.

– Mów dalej.

– Ale chwilę potem uświadomiłam sobie, że Rewera wypuściła serię kosmetyków do włosów. Miały nazwy od dat rocznych. Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, dwa tysiące czternasty, tysiąc czterysta dziewięćdziesiąty drugi... Nie mając żadnych twardych danych, można dowolnie manipulować zmiennymi.

Deryło wyjrzał przez okno. Górski krajobraz był przysłonięty strugami deszczu. Wiatr z ogromną siłą targał koronę leżącego przy parkingu drzewa. Przesuwał je jak rzuconą do ogromnej kałuży zabawkę. Wagoniki kolejki przed pełnym obrotem blokował jedynie system zabezpieczający.

Zapalone w głębi korytarza światło zamrugowało i zgasło. Komisarz obrócił między palcami sesterce. Jak na żądanie, lampy znów się zapaliły.

Ciężkim krokiem powlókł się w stronę klatki schodowej.

– Ta wiadomość... – odezwał się, mijając dużą jukę. – Przypomnij mi zdanie o krzyku i aktoreczce. Jak ono brzmiało?

– „Zdaje się, że właśnie usłyszeliście agonalny krzyk aktoreczki” – zacytowała Haler. – Dokładnie tak.

Komisarz zmarszczył czoło i zwolnił kroku.

– Przecież to było niewykonalne.

– Chodzi ci o sekwencję czasową?

– Abstrahując od tego, że Pollinou miała usta wypchane szkłem, sprawca założył jej też knebel, a wszystko aż do jej śmierci nagrał. Na filmiku nie zarejestrowano momentu, kiedy mogła krzyknąć.

– To fakt. – Haler była wyraźnie niepokieszona, że sama nie zwróciła na to uwagi. – Do czego zmierzasz?

– Zabójca chciał nas po prostu tam zwabić. Mógł odtworzyć jej krzyk z któregoś z filmów. Albo tylko go naśladować. W końcu nikt nie był pewny, kto i gdzie krzyczał. Te ściany są wystarczająco grube, by zniekształcić dźwięki.

Haler nerwowo cmoknęła.

– Ciągle ma fart – westchnęła. – Ale nie można mu też odmówić, że jest sprawnym organizatorem.

– Właśnie. Takich planów nie tworzą zwykli psychopaci, którzy uznali, że sprawdzą, jak to jest zamordować człowieka.

– Myślisz, że...

Deryło zeskoczył z ostatnich stopni i energicznie pchnął drzwi oddzielające klatkę schodową od holu.

– Jest jeden sposób, aby się tego dowiedzieć – stwierdził ponuro. – Musimy przycisnąć wszystkich gości. I liczyć, że któryś z nich się złamie. Jestem pewny, że ktoś z nich wie dużo więcej niż my.

Diana Smolar położyła na wózek kolejne opakowanie suszonych pomidorów. Już znajdowało się na nim kilkanaście paczek rozmaitych słodczy, słoje z warzywami w różnych sosach, stosik konserw oraz całe pieczywo, które pozostało ze śniadania. Kobieta znalazła również wielkie opakowanie anchois oraz dwa wiaderka zalanych olejem sardeli.

Kółka obciążonego wózka zapiszczały. Smolar pochyliła się i z całej siły naparła na metalową rączkę. Uważała, aby nie uderzyć o żadną z szafek. Sterty wrzuconych na wózek produktów i tak groziły rozsypaniem się.

Ostrożnie ominęła stół, nad którym wisiał potężny wyciąg elektryczny. Po jego obu stronach zwieszały się regały z półkami na oleje oraz oliwy. Na blacie stołu ustawiono stojaki na noże. Obok nich leżały lśniący tasak z hartowanej stali, kilka tłuczków do mięsa oraz rozmaite prasy. Normalnie uwijałoby się przy nich dwóch lub trzech kucharzy. Mając na względzie wielkość hotelu, stanowiło to zbędny wydatek i koszt, którego Miller mógł z łatwością uniknąć. Korzystanie z usług firm cateringowych było dobrym wyjściem. Smolar wpadła na kilka pomysłów, którymi chciała się podzielić z właścicielem. Miała różne koncepcje uczynienia z Tatra Elegance dochodowego biznesu, nawet wzięwszy pod uwagę ostatnie wydarzenia. W końcu plan marketingowy można było oprzeć na największych tragediach.

Zatrzymała wózek przed ciężkimi metalowymi drzwiami. Jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu, zastanawiając się, czy o niczym nie zapomniała. Jeżeli chciała coś osiągnąć, nie mogła popełniać błędów. Musiała panować nad sobą w każdej sytuacji.

Na studia poszła, bo nie miała na siebie lepszego pomysłu. Zawsze energiczna, żywiołowa, z milionem koncepcji na minutę, nie potrafiła się zdecydować, czego chce. Nie umiała wyznaczać sobie granic ani celów. Jeżeli bawiła się ze znajomymi, to do białego rana. Jeśli uprawiała seks, to każdym milimetrem swojego ciała.

Wiedziała jednak, że chce coś osiągnąć. Była pewna, że chce być kimś, choć nie bardzo wiedziała, co znaczy „być kimś”. Medycyna wydawała się jej za bardzo statyczna. Szklany sufit wyznaczały liczba pacjentów i limity systemu. Prawo było zbyt nudne. Zarządzanie wydawało się pustym słowem, ale stanowiło dla niej synonim władzy i możliwości. Wychowana samotnie przez przedwcześnie owdowiałego ojca, miała wpojoną potrzebę posiadania jednego i drugiego. Chcąc spełnić jego ambicje, zaryzykowała. Teraz musiała mu udowodnić, że czesne za studia na prywatnej, anglojęzycznej uczelni nie poszło na marne.

Musiała się wykazać za wszelką cenę. Jak dotąd przez całe życie tylko brała, a od siebie dawała niewiele. Miała tego świadomość. Z zimnym wyrachowaniem wykorzystywała miłość ojca. Mimo to również bardzo go kochała.

Pamiętała chwilę, kiedy oznajmiła mu, na jakie studia chce się zapisać. Zobaczyła, że ma wątpliwości. Uznawał to za fanaberię. Oczywiście, nie miał pojęcia, że ta iskra wątpliwości wryje się w jej umysł. Jedyne wrodzona przekora nie pozwalała Dianie zastanowić się nad innym wyborem. Wahania ojca równały się ugruntowaniu jej stanowiska.

Na szczęście już po pierwszym semestrze wiedziała, że to był dobry wybór. Jako umysł ścisły radziła sobie doskonale. Jednoczesne prowadzenie bloga pozwalało dać upust artystycznej części jej duszy. Na prywatnej uczelni zawierała dobre znajomości, a propozycję stażu w hotelu uznała za wspaniałą okazję do ich rozwinięcia. Choć Artur Miller w ostatnim czasie miał złą passę, to nadal był znanym inwestorem i człowiekiem z licznymi znajomościami.

Nagle Smolar zdała sobie sprawę, że na blacie szafki zostawiła duże opakowanie wafli ryżowych. Zablokowała kółka wózka i wróciła po nie. Kiedy jednak mijała stół, coś zwróciło jej uwagę. W pierwszym momencie nie była pewna co, lecz gdy chwyciła wafle, przebiegł ją zimny dreszcz. Zrozumiała, co było nie tak.

Tasak, w którego lśniącym ostrzu przed chwilą się przeglądała, zniknął.

Serce podeszło Dianie do gardła. Kątem oka dostrzegła cień odbijający się w metalowych drzwiach szafki. Poruszył się tuż za nią.

Nim zdążyła się odwrócić, ktoś chwycił ją od tyłu za szyję. Drugą dłonią przyłożył jej do nosa chusteczkę. Światła zamrugwały, a po chwili zapadła ciemność.

Absolutna, pochłaniająca ją ciemność.

Deryło z daleka słyszał histeryczne krzyki Rewery. Ktoś starał się ją uspokajać, ale na wszystkie racjonalne uwagi kobieta reagowała tak samo – wrzaskiem i miotanymi na prawo i lewo obelgami. Obrywało się Millerowi, nieobecnej obsłudze hotelu, reszcie gości oraz oczywiście komisarzowi i Haler.

Rewera najwyraźniej odzyskała animusz. Być może podziałało tak na nią zwrócone śniadanie, a może fakt, że w grupie czuła się bezpieczniej. Na widok Deryły poderwała się z kanapy i zlekceważyła kolejne tłumaczenia Szewskiego.

– Co on napisał?! – zapytała łamiącym się głosem. – Co było w tej pieprzonej wiadomości tekstowej?

Komisarz nie dał się wyprowadzić z równowagi. Postanowił, że za wszelką cenę będzie cierpliwy. Tylko nie dając się porwać emocjom, mógł coś zdziałać. Jeżeli goście dostrzegliby jego wątpliwości i rozkojarzenie, zamknęliby się w sobie. Musiał podejść ich siłą autorytetu. Autorytetu, który właśnie starała się zakwestionować Rewera.

– Co on, do kurwy nędzy, napisał?! –

– Mniej więcej to samo, co ostatnim razem – odpowiedział spokojnie Deryło. Stał pośrodku holu i się wyprostował. Założył ręce za plecy.

– Czyli że...

Rewera uważnie przyjrzała się komisarzowi. W końcu uznała, że ta odpowiedź ją satysfakcjonuje. Nie potrzebowała niczego więcej. Najwidoczniej miała jednak za mało animuszu, by po raz kolejny wysłuchać, że ktoś zamierza ją zabić. A właściwie: zabić ich wszystkich. W jednej chwili uszło z niej ciśnienie i wybuchła płaczem. Cichym, rozpaczliwym płaczem przerażonego dziecka. Zasłoniła twarz dłońmi i kucnęła. Drżała na całym ciele.

Deryło podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Delikatnie pogładził ją po kościstym obojczyku.

– Niech pani nie płacze – odezwał się ciepło. – Obiecuję, że wszyscy wyjdziemy stąd żywi. Pani, ja, cała reszta.

– Gdzie...

– Słucham?

Rewera odsłoniła twarz i otarła łzy. Wciąż łkała.

– Gdzie on się ukrywa? – jęknęła żałośnie. – Zbierzmy się i znajźmy go. Nie czekajmy, aż nas pozabija. Proszę. Nie siedźmy beczynnienie...

– Nie. To niemożliwe. W hotelu jest zbyt wiele zaułków. Niepotrzebnie stracilibyśmy czas. Niech mi pani uwierzy, że to totalnie bez sensu.

– I nie wiecie, kto to w ogóle może być? Żaden pieprzony psychol nie uciekł ostatnio z więzienia albo wariatkowa?

Deryło pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ale? Widzę, że nie mówi pan wszystkiego...

– Wiem, jak możemy się o nim czegokolwiek dowiedzieć. Swoją drogą, gdzie jest właściciel hotelu i ta recepcjonistka?

Nikt mu nie odpowiedział. Komisarz uznał, że nie warto na nich czekać. Poza tym znał już historię z perspektywy Millera. Nie wydawało mu się, by hotelarz w czymkolwiek go okłamał. Pozostawała recepcjonistka, która nie wyglądała na szczególnie sprawną fizycznie. Choć pozory mogły mylić. Akurat to Deryło doskonale wiedział z doświadczenia.

– No dobrze. – Haler stanęła obok niego i wyciągnęła dłoń do Rewery. – Niech pani usiądzie na kanapie. Niech wszyscy usiądą i się skupią.

Rewera przez chwilę się wahała. Wreszcie chwyciła jej rękę, podciągnęła się i ruszyła do kącika wypoczynkowego. Usiadła obok Szewskiego. W drugim rogu kanapy siedziała Herc. Galwer skulił się w pojedynczym czerwonym fotelu. Wyprostował dłonie i strzelił palcami.

– Co chcecie wiedzieć? – odezwał się zmęczonym głosem.

Haler i Deryło stanęli naprzeciw kanap. Przez chwilę uwaga obojga skupiła się na przetaczającym się przez hotelowe podwórze kubie na śmieci. Wiatr mიაł nim, jakby kubek wykonano z papieru. Jedynie głucho, metaliczne dudnienie przeczyło temu wrażeniu.

W końcu Haler przeniosła wzrok na zebranych gości.

– Proszę pomyśleć, co was łączy – odparła. – Dlaczego zostaliście tu zaproszeni? Dlaczego akurat wy?

Nikt nie podjął tematu. Deryło przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął.

– Czy ktoś z was w ogóle pamięta treść zaproszenia?

Znowu odpowiedziała im cisza. Komisarz zwrócił się wprost do Herc.

– Pani mecenas na pewno ma dobrą pamięć. – Od razu zganił się za lizusowski ton, ale prawniczka zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Pustym wzrokiem patrzyła gdzieś w głąb holu. – Pani mecenas?

Herc drgnęła. Złożyła dłonie na kolanach i się wyprostowała.

– To było zwykłe zaproszenie, pobyt sponsorowany, niby jakaś kampania marketingowa – zreferowała. – Dzwoniłam do hotelu upewnić się, czy to nie jakaś podpucha. Właściciel osobiście zapewnił mnie, że nie. Przed zabukowaniem biletu chciałam dostać to od niego na piśmie. W końcu niewielu Polaków organizuje wyjazdy sponsorowane na Słowację...

– I zgodziła się pani wszystko rzucić i tu przyjechać?

Pytanie wyraźnie się jej nie spodobało. Zmieszała się i poprawiła okulary. Haler zauważyła, że prawniczka nieświadomie oblizwała wargi. Mogło to być objawem zdenerwowania, ale też przygotowywania się do kłamstwa.

– Czemu nie? – odpowiedziała wreszcie pytaniem. – Każdemu należy się odpoczynek.

– Ot tak? Bez żadnych podejrzeń?

– Nie pomyślałam, że listy może wysyłać pochrzaniony świr.

– Czyli w jednej chwili zmieniła pani swoje plany i wykupiła bilet?

– Uznałam, że jeżeli nie skorzystam teraz, taka szansa może się już nie powtórzyć. To dziwne?

Poza tym zasponsorowany urlop to miły prezent.

– Pani uznała tak samo? – Haler zwróciła się do Rewery. Następnie odwróciła się w stronę Galwera. – Pan też? Naprawdę? Mam uwierzyć, że sześć osób rzuca wszystko i jedzie do hotelu na totalnym zadupiu? Mamy dwa trupy, a wy dalej będziecie zgrywać naiwniaków? Panie doktorancie, artysto?

Szewski schował twarz w dłoniach. Nabrał głęboko powietrza i opuścił ręce. Zabębnił palcami o skraj kanapy. Powiódł wzrokiem po zebranych, po czym znów głośno westchnął. Sprawiał wrażenie bardzo zmieszanego.

– Okej, okej. – Uniósł pojednawczo dłonie. – Chyba musimy się do czegoś przyznać. Obstawiam, że nie jestem wyjątkiem.

Przez umysł komisarza przetoczył się walec domysłów. Pobudziło je pytanie Halera o powód zaproszenia gości do hotelu. Deryło uświadomił sobie, że też w jakiś sposób został tu zaproszony. Nie bezpośrednio przez właściciela, ale jednak. Mógł stanowić element gry tak samo jak każdy z obecnych.

Znów poczuł nadchodzącą falę duszności. Panika ogarniała go niczym chmura, w którą z rozmysłem wjeżdżał. Każda kolejna myśl stanowiła cios zadawany obuchem siekiery w jego łydki. Z trudem powstrzymywał się przed tym, by usiąść. Z kamiennym wyrazem twarzy udawał, że przysłuchuje się odpowiedziom Herc.

A tak naprawdę odtwarzał w myślach słowa, które usłyszał kilka tygodni temu. „Tato, nie wytrzymam tego dłużej”. Następnie z ust Wiktorii padła nazwa hotelu, w którym się teraz znajdował, oraz data. Po tych słowach jego córka się rozłączyła. Nie zdążył nawet zareagować. Nie zdążył jej o nic zapytać ani choćby potwierdzić przybycia. Uznał, że była pewna, że rzuci wszystko i przyjedzie. Oczywiście, nie myliła się.

Po tamtym telefonie Deryło po raz pierwszy od miesiąca poczuł się szczęśliwy. Wkrótce nadzieja, że Wiki chce ponownie nawiązać z nim kontakt, zaczęła mieszać się z wątpliwościami. Dlaczego jako miejsce spotkania wybrała hotel położony na całkowitym odludziu? Do tego nawet nie w Polsce, a już po słowackiej stronie Tatr? Przypuszczał, że w ten sposób chce uczynić zadość jego przewrażliwieniu na punkcie bezpieczeństwa. Nie mogła wiedzieć, że z każdym tygodniem komisarz tracił przekonanie, że wypadek i śmierć Ewy miały związek z Cztery Iksem lub innym seryjnym zabójcą. Zaczynał dopuszczać możliwość, że wszystko było jedynie pechowym zbiegiem okoliczności.

Wtedy pojawiło się drugie pytanie. Dlaczego Wikтория dzwoniła z niezarejestrowanego, zagranicznego prepaida. Oczywiście, aby to sprawdzić, musiał się sporo napocić, ale dopiął swego. Uznał, że uszanowanie jej prywatności w momencie, gdy sama chce z nim nawiązać kontakt, jest już nieistotne. Tak, był zaborczym ojcem i wciąż się obwiniał z tego powodu. Ale potrafił się do tego przyznać. Usprawiedliwieniem było, że Wiki była najbliższą mu na świecie osobą. Albo nawet – jedyną bliską.

Teraz jego umysł w zawrotnym tempie produkował kolejne teorie. Jeśli to wcale nie była Wikтория? Jeżeli zadzwonił do niego ktoś, kto potrafił doskonale naśladować jej głos? Albo jeśli to, co usłyszał, było jedynie sfabrykowanym elektronicznie komunikatem? To bez wątpienia było wykonalne.

Teoria, że został tu zwabiony, była całkiem sensowna. Statystycznie znacznie bardziej prawdopodobna niż przypadkowy przyjazd gliniarza do hotelu, w którym grasuje seryjny zabójca. Zarazem potworne zbiegi okoliczności istniały. Zbiegi okoliczności i pech. Prześladowający go pech.

Gdyby został tutaj zwabiony i stał się uczestnikiem gry urządzonej przez szaleńca, z równania zniknęła Wikтория. Znaczyłoby to, że wciąż nie zamierzała utrzymywać z nim kontaktu. Ta myśl wydała się mu znacznie gorsza od innych. Przekreślałaby wszystkie jego nadzieje i radość. W jednym momencie usunęłaby podstawę każdej z chwil, które w ostatnich dniach mógł nazwać „znośnymi”. Chwil, w których nie czuł się jak robot, w których nie czuł się pusty w środku, funkcjonujący tylko siłą rozpędu.

Nie miał wpływu na to, że los odebrał mu żonę. Za utratę córki odpowiadał sam. I argument, że zrobił wszystko dla jej dobra, wydawał mu się coraz bardziej naciągany. Mógł zrobić to ze względu na własne obsesje i lęki. Wbrew zaleceniom inspektora oraz radom kumpli nie zamierzał tracić czasu na koczowniczy psycholog. Był na to zbyt dumny. A teraz za tę dumę płacił najwyższą cenę. I co gorsza, nie płacił jej sam.

Nabrał głęboko powietrza i zacisnął pięści. Skupił się na utrzymaniu równowagi. Przełknął ślinę starał się zachować niezmienny wyraz twarzy. Jak na nagraniu w zwolnionym tempie rejestrował mimikę siedzących naprzeciw niego gości.

– Chyba musimy się do czegoś przyznać. Obstawiam, że nie jestem wyjątkiem.

Słowa Szewskiego momentalnie przywołały go do rzeczywistości.

– Za przyjazd dostałem całkiem niezłe pieniądze. – Szewski spuścił wzrok i zaczął skubać skórę przy paznokciu. – Nie miałem pojęcia, dlaczego ktoś miałby mi płacić. Nie dość, że parudniowy pobyt miał być całkowicie za darmo, to jeszcze dostałem gotówkę na zachętę. – Doktorant skrzywił się, gdy zdarł skórę aż do krwi. – Drugą transzę wypłaty miałem dostać po ocenieniu hotelu w internecie.

– Nie wydało się to panu dziwne? – zapytała Haler.

– Nie. Potraktowałem to jak wygraną na loterii. Zwykły fart.

– I nigdy wcześniej nie słyszał pan o tym hotelu?

Szewski zacisnął usta i pokręcił głową.

– A reszta? – Haler powiodła wzrokiem po innych gościach. – Wam też zaoferowano pieniądze?

– Oraz kontrakt na kosmetyki do hotelu. – Rewera przysłoniła dłonią oczy, jakby raziło ją światło. – Pieprzona obietnica zamówienia kilkuset małych szamponów i odżywek do włosów. Niedawno zaczęłam je produkować pod własną marką – wyjaśniła pośpiesznie. – Revera Hair Style. RHS. To taka gra słów...

Haler zerknęła porozumiewawczo na komisarza. Po chwili przeniosła wzrok na Herc.

– Pani mecenas?

Herc zdjęła okulary i wsunęła je do kieszonki na piersi. Bez nich wyglądała na dużo starszą. Zmarszczki w kącikach jej oczu stały się bardziej widoczne.

– Też dostałam przelew, formalnie za poradę adwokacką – wycedziła. – Miałam się tu stawić, bo rzekomo spółka, w posiadaniu której jest hotel, szukała obsługi prawnej. Po raz pierwszy w życiu zaufałam komuś tak po prostu. Nie zajrzałam nawet do KRS-u...

– Ja miałem rozmawiać o całościowym remoncie hotelu – odezwał się Galwer. – Jedną z moich firm świadczy usługi budowlane...

– A więc czas was wszystkich został kupiony – skwitowała Haler. – To punkt wspólny.

– I to, że wszyscy ulegli pokusie.

Deryło splótł dłonie na piersi. Poczul ulgę. Wydawało mu się, że nie pasuje do tego schematu. Nikt nie zaoferował mu pieniędzy ani obietnicy zarobku. Choć może dlatego, że nigdy się za nimi nie uganiał? Wystarczało mu to, co miał, nie starał się o nic więcej.

Porzucił tę myśl. Nie dostał ani listu, ani wiadomości w żadnej innej formie. Nie został tu zaproszony przez tajemniczego nadawcę. Zadzwoiła do niego córka. Wiktoria – poprawił się w myślach. I to była na pewno ona. Przecież nie mógł pomylić jej głosu.

– Może wszyscy jesteśmy tu właśnie dlatego? – odezwała się żałośnie Rewera.

– Dlaczego? – Herc nie pohamowała ironicznego tonu.

Właścicielka zakładów fryzjerskich nie zamierzała odpowiadać na tę zaczepkę.

– Bo daliśmy się skusić forsie? – powtórzyła po Haler. – Bo każde z nas dało się przekupić?

Herc ponownie sięgnęła po okulary, ale ich nie włożyła. Obróciła je w dłoni.

– Niech pani nie żartuje. Wszystkich można kupić. Na tym polega życie. Pani płacą za zrobienie fryzury czy za kosmetyki, jemu za wybudowanie domu, mnie za obsługę prawną. Doktorek może miał namalować parę akwarelek z kwiatkami.

– Mowa była o urządzeniu kilku pokoi – przyznał niechętnie Szewski.

Pani adwokat uśmiechnęła się tryumfująco.

– Widzi pani? To po prostu biznes.

– Przez biznes zostaniemy tu zamordowani. – Rewera podniosła się i wygładziła spódnice. – Mam to gdzieś. Jeżeli nie mogę uciec na zewnątrz, zabarykaduję się w pokoju.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – zaoponował Deryło. – Nalegam, aby...

– Mam w dupie pańskie nalegania. Wie pan, jaka jest prawda?

Komisarz spokojnie założył ręce za plecami. Wytrzymał wyzywające spojrzenie Rewery.

– Są dwie możliwości – ciągnęła kobieta. – Albo ten sukinsyn kryje się teraz gdzieś w piwnicach i czeka, aby dopaść kolejne z nas. Albo... – Zaczerpnęła powietrze i rozejrzała się po holu. – Albo jest jednym z nas.

– Kojarzy pani sztukę pod tytułem *Śmiertelnicy*? Nie wiem, czy jest pani amatorką teatru, ale to doskonała sztuka. Jeszcze lepsza niż *Narcyzy Gołusławskiego*. O nich musiała pani słyszeć. Proszę nie robić takich oczu. Podobna ignorancja autentycznie głęboko mnie rani. Nie mówię przecież o oklepanym i przereklamowanym Szekspirze.

Diana Smolar zamruwała. Jej wzrok był zamglony, a kontury przedmiotów – rozmazane. Kłuło ją światło. Kolejne słowa docierały do niej jak zza grubej ściany. Nie mogła skupić się na tyle, by zrozumieć ich sens. Mimo to w panice kręciła głową. Nie chciała tego słuchać. Nie chciała tu być ani rozumieć tego, co do niej mówiono.

– Szekspir całkowicie nie nadaje się do dzisiejszych czasów – ciągnął miękki głos. – Można mówić, że jego dzieła są wybitne, ale trzeba na to spojrzeć z innej perspektywy. Mickiewicz też był wybitny. Wybitni byli O’Neill, Shaw, czasami Dürrenmatt. Nie zapominajmy o Plutarchu i Sofoklesie. Każdy z nich był wybitny w swoich czasach. I proszę nie myśleć, że nie uważam ich dzieł za ponadczasowe. – Tajemnicza postać szeptała niemal wprost do ucha Diany. Czuła na skórze ciepło jej oddechu. – Ale czy stwierdzając, że zło jest złe, a dobro dobre, staję się wybitny? A mówię przecież coś ponadczasowego. Zemsta bywa honorowa lub haniebna. Duma – szlachetna bądź próżna. Takie frazesy zapewniają nieśmiertelność tylko wybranym. Konia, konia, królestwo za konia! Przecież to idiotyczny banał.

Postać wyprostowała się i pogłaskała Smolar po włosach. Diana starała się na nią spojrzeć, lecz zakręciło się jej w głowie. Zmrużyła oczy. Powoli przyzwyczajała je do światła. Zdała sobie sprawę, że znajduje się w chłodni. Kilka metrów od niej leżały dwa foliowe worki. Nie miała wątpliwości, co się w nich znajduje. Artur Miller bez pytania zdradził jej, gdzie trafiły ciała Pollinou oraz Werskiego. Zrobił to chyba przede wszystkim dlatego, by nie wchodziła do chłodni. Jakby wyczuł, że chcąc się podlizać, może posunąć się nawet do podjęcia próby zorganizowania obiadu. Naiwna, tępa gówniara. Jej ojciec miał rację. Za każdym razem, gdy twierdził, że swoim uporem w nic niewartych sprawach robi sobie krzywdę, miał rację. Powinna zająć się czymś poważnym. Wszystko by teraz dała, byle jej życie ułożyło się inaczej. Byle nie znalazła się tu sam na sam z szaleńcem.

– Wiem, wiem, wiem... – wysyczała postać. – Dramaturdzy w ogóle cię nie interesują. Twój świat to pieniądze. A z pewnością wiesz, że w sztuce nigdy nie było pieniędzy. Inspiracje, z całą pewnością. Ale nie forsa.

Smolar powoli rozwarła powieki. Czuła, że jej wzrok zyskał już właściwą ostrość. To, co zobaczyła, przeraziło ją jednak. Metr od swojej twarzy zobaczyła upiorną czarną maskę. Przedstawiała męską twarz zastygłą w grymasie rozpacz. Po jej policzkach ściekały woskowe łyzy. Skóra była napięta, a brwi – zmarszczone. Osadzone głęboko oczy wydawały się skrzyć jak oświetlana w nocy smoła. Uszy krył chirurgiczny czepek.

– Spójrz na to. – Postać wskazała na coś obleczoną w rękawiczkę dłonią.

Diana powoli się obróciła. Na podłodze przed nią stała metalowa miska z ruszającą się czarną masą. Były to setki lub tysiące kłębiących się insektów. Mrówki, kleszcze, pchły, karaluchy... Wszystkie je Smolar widziała oczami wyobraźni.

– Musisz to zjeść – obwieściła spokojnie postać w masce. – Z pewnością jesteś głodna. Właśnie tego ci teraz potrzeba. Uwierz mi. – Zamaskowana sylwetka wyprostowała się i przesunęła butem metalową miskę. Znacząco zamachnęła się kuchennym tasakiem. – Zjesz to, prawda?

Smolar przeraźliwie pokręciła głową. Krzyk zamarł jej w gardle.

– Nie, nie, proszę, dlaczego mi to robisz? Ja prze...

– Zła odpowiedź! Zjesz?

– Proszę. Błagam...

– Zła odpowiedź!

Zamaskowany z niezwykłą zręcznością uderzył tasakiem w końcówkę małego palca kobiety. Opuszka została odcięta wraz z paznokciem, splotami nerwowymi oraz chrząstką. Z rany bryznęła krew.

Ból ogarnął całe ciało Diany. Zakręciło się jej w głowie, a światła gwałtownie rozbłysły. Omal nie zemdląca. Na kilka sekund zastygła w nieruchomej udręce. Gdy nabrała powietrza, by krzyknąć, postać dopadła do niej i zatkała jej usta. Pochyliła się, tym razem niemal dotykając wargami jej karku.

– Zjesz to, prawda, kochanie? I nie będziesz krzyczała? Rozwrzeszczane dziewczynki zawsze kończą najgorzej.

Ciałem Smolar wstrząsały dreszcze. Piekielny ból pulsował wzdłuż jej nadgarstka aż do łokcia. Widok palca i jego obciętej, leżącej na ziemi części przyprawił ją o mdłości. Treść żołądkowa podeszła jej do gardła. Zamaskowany jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jej ustach. Odchylił jej głowę i wymierzył lekki cios w gardło. Odruchowo przełknęła wymiociny.

– Prędeż się udławisz, niż pozwolę ci wstać od stołu. Zostało ci jeszcze dziewięć palców u rąk. I cały komplet u stóp. Gdy odrąbię pierwszy paliczek, zajmę się drugim. Zabawę będziemy mogli ciągnąć do jutra.

Smolar pokręciła głową. Próbowwała zaczerpnąć powietrza. Starła się uspokoić i zebrać siły. Miała spętane nogi, ale wolne ręce. Mogła się przecież bronić. Ta myśl po chwili wydała się jej żałosna. W jaki sposób miałyby się bronić przed czystym złem? Przed upiorem w masce? Do tego mając jedną dłoń niemal doszczętnie sparaliżowaną przez ból?

– No, zaczniesz jeść? – Postać delikatnie rozluźniła uścisk na jej ustach. – To bardzo pożywne danie. Ryby dałyby się za nie wyłowić. Autentycznie. – Zamaskowany parsknął krótkim, sardonycznym śmiechem. Wyprostował się i odsunął od Diany. Po raz kolejny kopnął miskę w jej stronę.

Smolar starała się zebrać myśli. Z obrzydzeniem spojrzała na kotłującą się czarną masę robaków. Chlipiąc, pochyliła się w stronę miski. Jednocześnie upewniła się, że ma niczym nieskrępowane ręce oraz tułów. Oplatający jej kostki sznur zawiązano na prosty węzeł. Przed laty jedną z nielicznych zabaw, jakie wymyślał jej ojciec, było splatanie i rozwiązywanie liny żeglarskiej. Dariusz Smolar był większym fanem żeglarstwa niż ojcostwa.

Postać w masce znacząco obróciła tasak. Diana przełknęła ślinę i wsunęła dłoń do miski z robakami. Poczuła, jak ich lepkie ciała pełzają między jej palcami. Poczuła chitynowe panczerzyki, niemrawo rozprostowujące się skrzydełka i tysiące przebierających w miejscu odnóży. Wydawało się jej, że coś ją ugryzło. Czuła, jakby robaki przegryzały jej skórę i pod nią wpełzały. Jakby drążyły w jej dłoni korytarze i ocierały się o kości.

Jeszcze mocniej nachyliła się nad misą, zasłaniając drugą dłoń. Ukradkiem dotknęła węzła. Poruszyła zranionym palcem. Przeszył ją bolesny skurcz.

– No, kochanie. Jedz śmiało.

Ciągnięte po terakocie ostrze tasaka zapiszczało.

Diana wzięła kilka robaków i z obrzydzeniem skierowała je do ust. Nie spuszczała wzroku z zamaskowanej postaci. Wiedziała, że tylko w ten sposób może odwrócić jej uwagę od tego, co robiła drugą ręką. Ostatnie ruchy wymagały pełnej synchronizacji.

Włożyła robaki do ust i zagryzła zęby. Poczuła mdły posmak na języku. Poczuła szorstkie panczerzyki między dziąsłami a dolną wargą. Zaczęła je ostentacyjnie przeżuwać. Adrenalina zabiła w niej obrzydzenie. Zabiła smak i strach.

Adrenalina zmuszała ją do działania.

Nagle szarpnęła sznur, który gładko się rozwiązał. Jednocześnie chwyciła metalową miskę i zerwała się na równe nogi. Miała zdrętwiałe mięśnie i w pierwszej chwili się zatoczyła. Mimo to udało się jej nie upaść. Z całej siły wymierzyła misą cios w bok głowy oprawcy. Dokładnie tam, gdzie nie było maski. Usłyszała stłumiony jęk.

Następnie rzuciła się do ucieczki.

WCZEŚNIEJ

– Na zawsze będziesz mój. – Kobieta objęła chłopca ramieniem. – Nie jesteś krwią z mojej krwi, nie jesteś mną, ale jesteś mój. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową. Nauczył się już nie protestować. Posłusznie zgadzał się ze wszystkim, co mówiła kobieta. Zawsze.

– Wiesz, co to seks? Nie, nie wiesz. Przecież nigdy ci o tym nie opowiadałam.

– Nie. Nigdy, mamó.

Kobieta kazała chłopcu zwracać się do siebie jak do matki. Również w tym był jej posłuszny. Odpowiadając, zazwyczaj tępo patrzył w pustą ścianę.

– Opowiem ci teraz o pewnych robakach. *Dirofilaria rapens*. Łacińskie nazwy brzmią dużo lepiej niż polskie. Nicień podskórny – to takie banalne, prawda?

– Tak. Banalne, mamó.

– Cieszę się, że się zgadzamy. Jestem naprawdę kurewsko szczęśliwa. A teraz pomyśl sobie, że te cholerne pasożyty potrafią rozmnożyć się człowiekowi pod skórą i wędrować po całym jego ciele.

– Po całym? – Chłopiec nagle się zainteresował. – Naprawdę?

– Tak. Po całutkim. Pełzają jak grube nitki poruszane przez niewidzialną siłę. Pod powiekami albo po policzku, ku skroniom lub ku wardze. Budzisz się rano, przeglądasz w lustrze i nagle widzisz, że pod skórą coś ci się porusza. Że coś się wije.

– Fúj.

– Prawda? To takie ohydne.

Kobieta odgarnęła włosy i popatrzyła na swoje odbicie w ekranie wyłączonego telewizora. Wydawała się w nim chudsza i drobniejsza niż w rzeczywistości. Właśnie taka, jaka chciałaby być. Właśnie taka, jaka by była, gdyby niczym wąż mogła zrzucić skórę i przybrać nową postać. Gdyby udało się jej odegrać najlepszą rolę swojego życia.

– Ale wiesz dlaczego one pełzają?

Chłopiec pokręcił głową. W jego oczach pojawiło się rzadko spotykane ożywienie. Na chwilę jego twarz przestała przypominać maskę.

– Pełzają, bo chcą uprawiać seks. – Kobieta się uśmiechnęła. – Chcą znaleźć partnerów, żeby mieć dzieci. Szukają ich po całym ciele swojego żywiciela. Karmią się nim i poddają najbardziej pierwotnemu z instynktów. Chcą potomstwa. Rozumiesz?

– Chyba tak, mamó.

– Każdy chce coś po sobie pozostawić. To zupełnie normalne.

– Mhm.

Chłopiec ponownie zaczął tracić zainteresowanie rozmową. Jego oczy z sekundy na sekundę matowiały, a twarz na powrót zaczęła przypominać maskę z papier maché.

– Nie mogę mieć dzieci – odezwała się kobieta. – Jesteś wszystkim, co mam i co będę miała. I wiesz co? Bardzo długo się zastanawiałam, jak mogę nas ze sobą zespolic. Jak zawsze odpowiedź już istniała. Pamiętasz sztukę *Żebracy*? Oglądaliśmy ją jakiś tydzień temu.

– Pamiętam. Prawie wszystko.

– A pamiętasz, jak tamci ludzie jedli części własnego ciała i jak zawierali braterstwo krwi? O właśnie, braterstwo krwi, wszyscy chłopcy lubią o tym czytać.

– Tak, to pamiętam, mamó.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Podwinęła rękaw bluzki i poruszyła dłonią, napinając mięsień.

– Widzisz? – Wskazała na niewielkie wybrzuszenie pod skórą, w połowie drogi między

zgięciem ręki a nadgarstkiem. Dotknęła go, a nitkowaty kształt się poruszył.

Chłopiec przytaknął. Jego oczy na powrót się ożywiły.

Kobieta wyciągnęła z kieszeni żyłkę i nacięła miejsce obok wybrzuszenia. Skrzywiła się. Nabrała głęboko powietrza, po czym otarła krew. Pogłębiła nacięcie. Chłopiec bał się choćby drgnąć. Odwrócił wzrok, ale wystarczyło, by kobieta odchrząknęła, i znów wbił w nią przerażone spojrzenie.

– Tylko tyle mogę ci dać.

Kobieta przeciągnęła żyłką po ścięgnię i podważyła skórę. Zbladła, lecz nie przestawała. Kilkoma ruchami wyskrobała dwie niespełna centymetrowe, ociekające krwią larwy. Odłożyła żyłkę i delikatnie chwyciła je w dwa palce.

– Otwórz buzię, skarbie – powiedziała czule. – Mamusia wyhodowała je specjalnie dla ciebie.

– Pieprzę to. – Rewera powtórzyła się chyba po raz setny. – Wolę być sama niż obok psychopaty. Wy sobie róbcie, co chcecie. I radźcie sobie, jak chcecie, ale ja tu nie wytrzymam.

Ruszyła w stronę klatki schodowej. Obcasy jej butów wybijały na posadzceę nerwowe staccato. Szewski poderwał się z kanapy i pobiegł za nią.

– Mogę pani towarzyszyć! Niech wszyscy widzą, że poszliśmy we dwójkę, wtedy...

Rewera nagle się zatrzymała. Wymierzyła w niego palec zakończony pomalowanym na różowo paznokciem.

– Odczep się ode mnie, człowieku.

– Chciałem tylko pomóc.

– Pilnuj swojego nosa.

Haler wymieniła z Deryłą porozumiewawcze spojrzenia. Nie mogli nic zrobić. Nie mogli powstrzymać wzajemnych oskarżeń i kłótni. Przebywający w zamknięciu ludzie, zgodnie ze statystykami, zaczynają mieć siebie dość po dwóch dobach. Dobrze zgrane zespoły bez pomocy psychologa wytrzymują do tygodnia. Przeszkolone grupy – maksymalnie miesiąc. W Tatra Elegance nie dość, że brakowało wsparcia psychologicznego, to jeszcze goście byli sobie zupełnie obcy, a do tego wśród nich mógł być seryjny zabójca.

Rewera pchnęła drzwi na klatkę schodową i nagle się zatrzymała. Zmarszczyła czoło, po czym pochyliła głowę. Przez moment nasłuchiwała.

– Słyszeliście?

Haler skinęła głową. Też się jej wydawało, że skądś dobiegł stłumiony hałas. Nie była tylko pewna skąd.

– Któryś z kubłów na śmieci pewnie uderzył o ścianę hotelu – zasugerował Galwer. – Albo wiatr walnął czymś w jedno z okien.

– Nie. – Podkomisarz poruszyła się, cały czas wytyżając słuch. – Ten odgłos dobiegał z hotelu.

– Może...

– Cicho!

Haler przytknęła palec do ust. Zdawało jej się, że słyszy odległy wrzask. Zlewał się z zawodzeniem wiatru, ale potrafiła je od siebie odróżnić. Nie umiała jednak ocenić, z której strony go słyszy. Huragan niósł pogłos i rozwiewał go na strzępy.

– Ktoś krzyczy! – Herc poderwała się z kanapy. – Też to słyszę.

– Ale skąd?

Szewski zrobił kilka kroków w stronę okna. Zatrzymał się i pochylił głowę, nasłuchując.

– To głos tej dziewczyny z recepcji.

– Znalazł się znawca dźwięków – parsknęła nerwowo Rewera. – Lepiej powiedzcie mi, gdzie jest właściciel tej rudery? Powinien tu warować jak pies.

Deryło również starał się ustalić, skąd dobiegały dźwięki. Usłyszał stłumiony huk, ale nie był przekonany, czy wśród odgłosów nawałnicy rozległ się czyjś krzyk. W tym momencie rozum mógł płatać im figle. Wyczulony na wyszukiwanie niebezpieczeństwa, mógł mamicić fałszywymi bodźcami albo przynajmniej fałszywie interpretować odgłosy wichury. To było całkowicie normalne zjawisko.

– Tam!

Zobaczył, że podkomisarz biegnie w stronę przejścia do jadalni. Bez namysłu ruszył za nią. Po chwili również usłyszał regularny stukot. Miarowy, mieszający się z niesionymi echem krokami.

Gdy wypadł zza ściany, niemal zderzył się z Arturem Millerem. Hotelarz zachwiał się i mocniej oparł na kuli. Pytająco spojrzął na Halera oraz komisarza.

– Też to słyszeliście? – zapytał, odrywając palce od uchwytu. – Zdawało mi się, że słyszę krzyk. Nie wiem tylko skąd. – Rozejrzał się po holu i przygryzł wargę. – Gdzie jest panna Smolar?

Kazałem jej być tu ze wszystkimi.

Haler utkwiała w hotelarzu czujne spojrzenie. W mowie jego ciała coś jej nie pasowało.

Diana Smolar miała wrażenie, że mięśnie jej nóg są z ponabijanej szpilkami gumy. Były zdrętwiałe i przy każdym kroku przeszywał ją głęboki ból. Aby nie upaść, co chwilę musiała się podtrzymywać brzegów szafek lub stołu. Zataczała się.

Dwa razy dotykała czegoś krwawiącą końcówką pozbawionego opuszki palca. Mimo przytępienia adrenaliną ból był tak silny, że nieomal upadła. Przed oczami zamigotały jej mroczki. Nogi się pod nią uginały. Zaciskała jednak zęby i uparcie brnęła dalej.

Wysuszone gardło nie było zdolne do krzyku. Chciała wrzeszczeć, lecz potrafiła wydobyć z siebie jedynie stłumiony charkot. Paliło ją w płucach.

Nie słyszała, by ktoś ją gonił. Miała nadzieję, że rozwaliła zamaskowanej postaci łeb. Marzyła o tym, by jej uderzenie dosłownie rozkawałkowało jej czaszkę i zmasakrowało mózg. Zdawała sobie jednak sprawę, że najprawdopodobniej cios nie był tak silny. Mogła na chwilę zamroczyć napastnika, ale na pewno nie zabić. Metalowa miska nie była dość ciężka, a ona nie miała wystarczająco dużo siły. Powinna zaczekać i uderzyć kolejny raz. I jeszcze jeden. Aż do skutku.

Ale instynkt kazał jej natychmiast uciekać. Nie odwracać się, nie sprawdzać, tylko biec.

Byle dalej.

Z każdym krokiem odzyskiwała czucie w nogach. To dodawało jej otuchy. Nie zważając na piekielny ból palca, oparła się o ladę chłodniczą. Kilka metrów od niej leżały zawinięte w worki ciała. Od drzwi dzieliło ją już tylko kilkanaście kroków. Rozejrzała się, panicznie poszukując czegoś, czym mogłaby się bronić.

Odchrząknęła, zdzierając sobie gardło.

Jeszcze raz spróbowała krzyknąć i tym razem z jej ust dobyło się zniekształcone wezwanie pomocy. Spróbowała przełknąć ślinę. Wyczuła w niej resztki nadgryzionych robaków. Zrobiło się jej niedobrze i natychmiast splunęła. Żółć podeszła jej do gardła i rozniosła kwaśny posmak po ustach.

Smolar usłyszała za sobą tępe brzęknięcie. Odgłos wbił się w jej umysł jak cierń. Tchnął w jej mięśnie nowe pokłady sił i pobudził ją do biegu. Rzuciła się w stronę drzwi. Dzieliło ją od nich zaledwie kilka kroków.

Cztery.

Trzy...

Odwróciła się i kątem oka dostrzegła podążającą za nią postać, która w dłoni ścisnęła lśniący tasak. Przechylona maska potęgowała jej upiorny wygląd.

– Boże...

Smolar dopadła wreszcie do drzwi.

– Boże, błagam... – jęknęła, naciskając klamkę.

Zapadki szczęknęły, ale zamek nie puścił. Mimo że z całej siły szarpnęła za klamkę, drzwi ani drgnęły. Musiały się zatrzasnąć. Albo elektroniczny mechanizm wymagał za każdym razem wstukania kodu. Nigdy wcześniej sama nie wychodziła z tego pomieszczenia. Pierwszego dnia pobytu w hotelu Miller zaprezentował jej chłodnie, ale osobiście otwierał wszystkie zamki.

W panice dopadła do niewielkiej elektronicznej konsoli. Wstukała kod, lecz przy ostatniej cyfrze omsknęła się jej dłoń. Urządzenie brzęknęło, a na wyświetlaczu pojawił się krótki komunikat. Error.

Smolar wrzasnęła. Tym razem głośno i przeraźliwie. Szarpała za klamkę, wzywając pomocy. Straciła jakąkolwiek nadzieję. Tuż za plecami słyszała kroki zabójcy. Nie spieszył się. Wiedział, że jego ofiara już nie zdoła uciec. Delektował się swoim zwycięstwem. Rzucił na podłogę tasak i cicho się zaśmiał. Chichotał jak dziecko.

Smolar zaczęła histerycznie walić pięściami w drzwi. Dławiła się własnymi łzami i spływającym do nosa śluzem.

Zabójca dopadł do niej. Jedną dłonią chwycił ją za kark, a drugą zasłonił jej usta.
– To koniec – wycedził. – Przedstawienie skończone.

Wszyscy się zatrzymali, nasłuchując. Poza odgłosami wichury i bębniącego o szyby deszczu już nic nie było słychać. Bez ruchu odczekali kilkadziesiąt sekund. Cisza.

Haler westchnęła. Podeszła do jednego z wywietrzników i stanęła na palcach. To z niego zawodzenie wiatru niosło się po pobliskich pomieszczeniach.

– Pierwsza usłyszała to Rewera – szepnęła do siebie. – Później ja i reszta. A ty? – zwróciła się do Deryły. – Słyszałeś cokolwiek?

– Sprawdzasz, czy nie ogłuchłem? – Komisarz wzruszył ramionami. – Okej, przyznaję. Nic a nic. Tylko ten huragan...

Ta odpowiedź wyraźnie usatysfakcjonowała Halera. Szybkim krokiem przeszła do kolejnego wywietrznika. Ponownie zerknęła na Deryłę.

– Dlatego że tam, gdzie stałeś, dźwięki z tego szybu zagłuszały wszystko inne. Tak samo tym, którzy siedzieli najbliżej okna. A pan? – Haler wbiła wzrok w Szewskiego. – Słyszał pan ten krzyk?

– Prawdę powiedziawszy, nie bardzo...

– Właśnie!

Haler jak zahipnotyzowana obeszła pomieszczenie. Stanęła przy drzwiach prowadzących na klatkę schodową, a potem z powrotem podeszła do szybu.

– Ja słyszałem go z części biurowej... – odezwał się Miller.

Policjantka nawet na niego nie zerknęła. Szybko przeszła do wywietrznika po drugiej stronie holu. Przytknęła ucho do ściany i zamknęła oczy. Nasłuchiwała.

Po kilku sekundach poruszyła się, po czym zaczęła ostukiwać tynk. Deryło patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Co ty, do cholery, robisz?

W zadumie pokręciła głową.

– Te dwa szyby nie są ze sobą połączone – odparła po chwili. – Tu ściana jest całkowicie zabudowana. Skoro odgłos dobiegał od strony klatki schodowej, w rzeczywistości niósł się z pomieszczeń służbowych. Z magazynów lub chłodni...

– Przecież dobiegał od holu.

– Echo. Tak właśnie działa echo.

Haler obeszła recepcję i pchnęła dwuskrzydłowe drzwiczki. Bez zastanowienia weszła do kolejnego pomieszczenia. Wciąż lustrowała przebieg szybów wentylacyjnych. Co chwilę stukała w ścianę, upewniając się, że nie zostały ponownie rozdzielone.

Deryło dogonił ją w niewielkim przechodnim pomieszczeniu za magazynem. Można było do niego dojść z dwóch kierunków, z głównego holu od strony wejścia lub z korytarza prowadzącego do zachodniego skrzydła budynku. Drzwi wiodące do dalszej części pomieszczeń były zamknięte. Komisarz zbliżył się do nich, minął Halera i nagle przystanął.

– Co to jest, do cholery?

Pochylił się i zmrużył oczy. Na podłodze przed nim wiły się dziesiątki larw. Małych czarnych larw. Rozłaziły się na wszystkie strony. Niektóre z nich miały niewielkie skrzydełka i nieudolnie próbowały poderwać się do lotu. Inne poruszały tłustymi tułowiami niemal w miejscu.

Komisarz wzdrygnął się i zaczął je nerwowo deptać. Czuł, jak robaki rozbryzgują się pod jego butami. Chwycił za klamkę i energicznie otworzył drzwi. Znaleźli się w przejściu do chłodni oraz pomieszczeń gospodarczych. Światło było zgaszone. W półmroku Deryło z trudem rozpoznał zarys dwóch regałów oraz wysokiej szafki. Trzeci, nieregularny kształt po jego lewej stronie był mu obcy.

Po omacku odszukał kontakt. Jarzeniówki rozżarzyły się pomarańczowym światłem. W tym samym momencie przedmiot u jego boku się osunął. Owinięte folią ciało recepcjonistki plasnęło o podłogę. Wyglądała jak robak w kokonie.

Deryło błyskawicznie znalazł się przy Dianie. Zdarł folię spożywczą, którą owinięta była jej twarz, i sprawdził puls.

– Niech to szlag.

Poza zakrwawioną dłonią nie dostrzegł żadnych wyraźnych obrażeń. Twarz kobiety była jednak nabrzmiała i czerwona, a półprzymknięte oczy – wytrzeszczone. Wokół jej nosa zebrał się gęsty śluz.

– Pomóż mi.

Komisarz obrócił kobietę na plecy i delikatnie rozwarł jej usta. Wtedy dostrzegł pierwszą z larw. Wypełzła na wargę, odkleiła się i spadła na posadzkę. Gdy Deryło obrócił twarz Diany Smolar do światła, dostrzegł setki kolejnych robaków. Recepcjonistka miała nimi wypchane całe usta. Następnie owiązано jej twarz folią spożywczą, a ręce skrupowano.

Deryło uniósł głowę kobiety i starał się wygrzebać z jej ust larwy. Choćby tyle, by udrozić przewód oddechowy. By mogła zaczerpnąć choć krztynę powietrza. Z całej siły otwartą dłonią klepnął ją w kark. Nic. Żadnej reakcji. Żadnego odkaslnięcia.

Usta Smolar były jeszcze ciepłe, podobnie ślina i policzki. Pot na jej skroniach jeszcze nie obsechł.

Deryło obrócił jej głowę na bok i starał się wygarnąć kolejne robaki. Dotknął palcami ścianki jej gardła. W tym samym czasie Haler przystąpiła do reanimacji. Z całej siły naparła na klatkę piersiową kobiety.

Raz, drugi, trzeci.

Poprawiła pozycję i wysunęła do przodu barki. Trzymała wyprostowane łokcie, by jak najcelniej kierować siłę nacisku. Raz po raz nasadą dłoni nadduszała pierś Smolar. Policzyła do trzydziestu. Zrobiła przerwę, by nabrać tchu.

– Nic?!

– Nic.

Kolejne trzydzieści ugnieceń nie przyniosło rezultatu. Przy jednym z nich Haler poczuła, że żebra kobiety się łamią, ale też jej pierś jakby drgnęła. Przez kolejne dwie minuty nie przerywała masażu serca recepcjonistki. Nie słyszała, co mówi do niej komisarz, ani nie reagowała na komentarze tłoczących się z tyłu gości. Z dziką wściekłością raz za razem napierała na pierś kobiety.

Trzydzieści.

Dwie sekundy przerwy na oddech.

Trzydzieści.

Odepchnęła Deryłę i zatkała dłonią nozdrza Smolar. Nie zważając na resztki rozgrzebanych larw, przytknęła wargi do jej warg. Poczowała odór wymiocin, lecz nie zwróciła na niego uwagi. Z całej siły wypuściła powietrze do jej ust.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

– Tamara!

Zarejestrowała krzyk komisarza, ale jak w amoku z powrotem przystąpiła do masażu serca. Przy każdym uderzeniu złamane żebro trzeszczało. Haler napierała tak mocno, że miała wrażenie, że uderza o podłogę. Nie mogła teraz zrezygnować. Nie mogła się poddać. Gdyby znaleźli ją dosłownie dwie minuty wcześniej, ta młoda kobieta nadal by żyła. Uratowaliby ją.

– Tama...

Krzyk uwiązał Deryle w gardle. Zagłuszyło go ciche rżenie. Dobywało się z ust Diany Smolar. Kobieta zakaszłała, a po jej wardze spłynęła żółć zmieszana ze śliną oraz z resztkami robaków.

– Mamy ją!

Komisarz natychmiast pomógł recepcjonistce podnieść głowę. Była niemal bezwładna, ale w tej pozycji udało się jej nabrać oddechu. A przede wszystkim po raz kolejny wymiotowała, udrażniając przewód oddechowy. Lepka papka żółci zbryzgała posadzkę obok Rewery. Kobieta cofnęła się z obrzydzeniem.

– W samą porę...

Haler otarła pot z czoła i podniosła się z kolan. Była ledwo żywa. Sama z trudem łapała oddech. Nadgarstki bolały ją jak łamane kołem, a na jej dłoniach widać było krwawe otarcia.

Mimo to uśmiechała się. W jej oczach zamigotały łzy szczęścia i bezgranicznej ulgi. Nigdy nie czuła podobnej euforii. Właśnie dała komuś życie.

Ułamek sekundy później coś sobie uświadomiła.

Euforia zamieniła się w wściekłość.

Diana Smolar nie odzyskała przytomności. Leżała na kanapie w hotelowym holu. Okryto ją kocem, a pod jej głowę wsunięto poduszkę. Nie było wiadomo, jak długo jej mózg pozostawał odcięty od tlenu. Zmiany w jej organizmie mogły być nieodwracalne. Mogła już nigdy się nie obudzić. Zostać na zawsze uwięzioną we własnym ciele lub już nie istnieć. Jej ciało mogło funkcjonować bez obecności duszy, świadomości i wszystkiego tego, co tworzyło Dianę Smolar.

W pierwszym przypadku uwięziony we własnym ciele przeżywa niewyobrażalne katusze. Naukowcy szacują, że blisko sto procent z tych nieszczęśników po pewnym czasie popada w obłąd. Niektórzy po kilku dniach, niektórzy po wielotygodniowej walce. To obłąd, a nie fizyczne uszkodzenia, może odpowiadać za zmiany osobowości znacznej części ludzi, którym udało się przywrócić choćby częściową władzę nad ciałem. Tak zwanych wybudzonych.

Myślenie o tym przerażało Deryłę. Zawsze przywodziło mu na myśl brata. I tym razem nagle odżyły wyrzuty sumienia, na co dzień zakopane w podświadomości. Udręczanie się było jednak ostatnim, na co mógł sobie teraz pozwolić, dlatego całkowicie skupił się na słowach Halera.

– On to wszystko zaplanował – powtórzyła to zdanie kilkukrotnie, gdy przenosili Dianę Smolar do holu. – Sukinsyn. Tańczymy dokładnie, jak nam zagra. Krok po kroku...

Pięć minut później Haler opowiedziała Deryle o kolejnej sztuce Aleksego Michałkina. Nie mogła sobie przypomnieć jej tytułu, ale zapamiętała, że w pierwszym akcie główna bohaterka budzi się w grobie, ma usta pełne robaków i przeświadczenie, że jest rozkładającym się trupem. Rozgrzebuje paznokciami ziemię, próbuje uciec, aż nagle dostrzega smugę światła. Nie zważając na ból, na łamiące się paznokcie i rozdieraną skórę, kopie dalej.

– Ucieka? – dopytał Deryło.

Haler pokręciła głową.

– Nie. Okazuje się, że to tylko jej złudzenie. W rzeczywistości smuga światła to blask lampy nad stołem operacyjnym. Razi ją przez ledwie rozwarte powieki. Reszta to wytwór fantazji.

– To wszystko? Kurtyna w dół?

– Niestety, nie. – Zniżyła głos, jakby nie chciała, by Smolar usłyszała jej słowa. – Dziewczyna zostaje sparaliżowana, ale świadoma. Rozumiesz? Ten, kto to zrobił, zaplanował nawet to. Wiedział, że zaczniemy reanimację, i wiedział, że są duże szanse, że to się powiedzie.

Deryło pochylił głowę i podrapał skórę między brwiami.

– Myślisz, że miał dość czasu...

Nie musiał kończyć. Haler troskliwie poprawiła okrywający recepcjonistkę koc. Ukradkiem obejrzała jej nadgarstki, ale nie znalazła na nich żadnych śladów. Na chwilę zamarła w bezruchu, gdyż chciała się upewnić, że kobieta oddycha. Z ulgą zauważyła, że jej klatka piersiowa się porusza, a z ust dobiega cichy świst oddechu. Delikatnie poprawiła włosy Diany. Zerknęła na jej kark i wtedy dostrzegła dwie nakreślone markerem litery.

– RD – wyszeptała do komisarza.

– RD?

Potwierdziła skinieniem głowy. Deryło nerwowo przygładził włosy. Odwrócił się do stłoczonych w przeciwległym narożniku gości i obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem. Po chwili ruszył w ich stronę. Nie wiedział, od czego zacząć. Nie miał żadnego pomysłu, ale czuł, że bez ich pomocy nadal będą tkwili w miejscu.

Obrócił w kieszeni srebrny sesterce.

– No dobra – odezwał się szorstko. – Zagrajmy w otwarte karty. Czy komuś z was cokolwiek mówią litery KT, WG albo RD? No, śmiało. To ostatnie chwile, żeby przed sądem móc dowodzić okoliczności łagodzących.

Kobieta zastopowała nagranie. Siedzący obok niej chłopiec natychmiast się skulił i schował twarz między kolanami. Tym razem jednak przerwanie seansu *Jesieni ludzkości* nie było jego winą.

Tym razem winne były wspomnienia, wyświetlające się w umyśle kobiety. Wspomnienie matki, która pocałowała ją w czoło i odeszła. Raz na zawsze. Wspomnienie ojca, który od tamtego dnia zmienił się i stał dla niej kimś obcym. Kimś, kto wkrótce po jej jedenastych urodzinach wślizgnął się do jej łóżka i powiedział, że musi pokazać jej, co będą chcieli robić z nią chłopcy. Dla jej dobra.

Jeden z najbardziej wyraźnych kadrów pokazywał, jak jej ojciec gładzi ją po włosach. Jak powtarza, że to musi zostać ich tajemnicą. Że dzięki niemu będzie miała teraz przewagę nad każdym chłopcem. Obiecał ją nauczyć, jak tę przewagę wykorzystać, a potem jeszcze ją zwiększyć.

Kolejny kadr przedstawiał ćwiczenie zyskiwania przewagi nad chłopcami. Ojciec pokazywał jej to bardzo wyraźnie i bardzo boleśnie. Pytał, czy rozumie. Upewniał się, czy kiedy dorośnie, będzie potrafiła ją wykorzystać. Miała tylko obiecać, że zrobi to dopiero wtedy, gdy dorośnie.

W szkolnym przedstawieniu grała baletnicę. Ubraną od stóp do głów w obcisły biały strój. W trakcie jej występu nagle rozległy się szmery i śmiechy. Jedna z nauczycielek odwołała ją ze sceny. Słyszała, jak mówi do innej, że „mała aktoreczka właśnie dostała okres”. Wiedziała, że jest małą aktoreczką, lecz nie miała pojęcia, czym miałyby być „okres”.

Później rozpościerała się biała plama wspomnień wypełnionych zawstydzeniem i poczuciem, że zdradziła ojca. W tle przewijały się dźwięki. „Ona jest tam cała uszkodzona. Rozumie pani? Musimy wezwać policję i zawieźć ją do lekarza”. Następnie pojawiły się pytania, setki pytań, na które nie chciała odpowiedzieć. Wszyscy chcieli poznać jej sekret zyskiwania przewagi nad chłopcami. Chcieli wykraść to, co najcenniejszego ofiarował jej tata. Nigdy by go nie zdradziła.

„A więc to sekret twój i taty?” – zapytał gładko ogolony mężczyzna w okrągłych okularach. Miał krzywy nos i nieświeży oddech.

Pamiętała, że skinęła głową i od tamtego czasu nie odezwała się prawie przez tydzień. Płakała, ale nie powiedziała ani słowa. Postanowiła, że nie będzie rozmawiała już z nikim poza tatą. Nie przekonała jej uroczą blondynka z workiem cukierków, nie przekonał cuchnący papierosami staruszek ani elegancka dama w sukni z kwietnym wzorem. Wszyscy byli oszustami. Z daleka wyczuwała, że chcą ją oszukać. Zależało im tylko na jej skrzętnie skrywanym sekrecie.

Spędziła kilka dni w szpitalu. Jej sala potwornie śmierdziała środkami czyszczącymi i moczem. Następnie trafiła do ośrodka, w którym inne dzieciaki zaczepiały ją i naśmiewały się z niej. Nazywały ją „mimem”. Zasłyszały to słowo od jednej z wychowawczyń.

Mim. Dla nich brzmiało to śmiesznie, a dla niej stało się najgorszym wyzwiskiem.

Wreszcie trafiła pod opiekę ciotki, siostry mamy, której nie widziała od wielu miesięcy. Tam było jej całkiem dobrze. Z czasem zaczęła się odzywać, a nawet pomagać przy dwójce bobasów, Adasiu i Madzi. Nadal pamiętała ich imiona, choć nie widziała ich od prawie ćwierć wieku.

Miała przed oczami wspomnienie awantury toczącej się za ścianą pokoju, w którym spała. Usłyszała głos ojca. Była pewna, że to właśnie on. Oskarżał siostrę żony o to, że ukradła mu dziecko. Ta obrzucała go słowami, których żadna mała dziewczynka nie miała prawa znać.

Zawyły syreny. Kadry się wyostrzyły i wypełniony mrokiem pokój rozjaśniły czerwone i niebieskie światła. Nagle drzwi do jej pokoju z impetem uderzyły o ścianę, a włożony do zamka klucz wypadł na podłogę. W progu zobaczyła sylwetkę ojca. Pochylonego, głośno sapiącego, ale tak jej bliskiego.

„Oni cię złapią, pójdziesz siedzieć, a wiesz, co w pierdlu robią z takimi jak ty”.

Te słowa ciotki zapamiętała na zawsze. Chwilę później jej ojciec zapalił światło i na nią spojrział. Uśmiechnął się tak, jak robił to zawsze, gdy dzielił się z nią kolejnym sekretem. Sekundę potem strzelił sobie w twarz. Pokrywa jego czaszki wraz ze skórą i z puklami włosów uderzyła o sufit.

Mózg bryzgnął na ścianę. Ciało stało jeszcze przez moment, jakby kpiąc z dudniących na schodach kroków. Wreszcie zważyło się na podłogę.

Kobieta zamrugała. Zeszła z łóżka i wyciągnęła dłoń do chłopca.

– Chodź, poćwiczmy.

Przez następny kwadrans tłumaczyła mu różne akrobatyczne sztuczki i zachęcała do gimnastyki. Chłopiec był zaskakująco giętki. Dokładnie taki, jakiego potrzebowała. Ćwiczył z prawdziwą ochotą. Podlizywał się jej. Ulga, że tym razem nie został ukarany, dodawała jego mięśniom siłę, a ścięgnom – giętkości. Był doskonale wygimnastykowany.

Ciągle ćwiczyli, gdy kobieta uruchomiła kasetę.

– Mnie nie możesz zastąpić – wyszeptał brunet. – A wiesz dlaczego? Nie możesz mnie zastąpić, bo jestem tobą. Jestem twoim wyobrażeniem idealnego mężczyzny. Takim, który powie ci, co masz robić.

– Ale ja sama...

– Nie, niczego nie wiesz.

– Właśnie, że wiem. – Blondynka zacisnęła usta. Do oczu nabiegły jej łzy. Otarła je i odezwała się gniewnie: – Mężczyźni są mi potrzebni do jednego. Chcę mieć dziecko. Rozumiesz?

Brunet wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Jego echo niesło się po scenie. Głośniki starego telewizora trzeszczały i szumiały. Mogła to być również wina coraz bardziej zużytej kasety magnetofonowej.

– Jeżeli chcesz mieć dziecko – mężczyzna wreszcie się uspokoił i stanął obok blondynki – to je sobie po prostu weź. Byle nie było takie jak ty. Weź takie, które nada się do twoich planów. Popatrz, jaki masz wybór.

W tym momencie opadła elektronicznie sterowana kurtyna. Na jej powierzchni wyświetlił się hologram przedstawiający miasto nocą. Kilkanaście wieżowców oraz bloków na tle świateł miasta. W każdym budynku paliły się pojedyncze lampy. W dole poruszały się samochody, a z tyłu przesuwały się cumulonimbussy, które wreszcie zasłoniły będący w pełni księżyc. Światła w kolejnych mieszkaniach zapalały się i gasły. Niebo przeciął samolot. Cała scena migotała.

– Widzisz, jaki masz wybór? – odezwał się upiorny głos. – Natura zawsze cię ogranicza. Odrzucając jej zgniłe zasady, możesz stać się doskonalsza. Pamiętaj. W tym momencie ewolucja polega na odrzuceniu zasad natury. – Mówiący westchnął. – Twój cel właśnie teraz śpi w domu, takim jak twój czy mój. Jak dom każdego z nas. Śpi. I czeka na ciebie. Ten, kto nie jest łowcą, staje się ofiarą.

Światła w holu zamrugały. Na kilka sekund jeszcze lekko rozbłysły, po czym zgasły na dobre. Deryło zwrócił uwagę, że wciąż świeciły się czerwone diodki systemów antypożarowych.

– Zasilanie przeszło w stan awaryjny – oznajmił Miller. – Za kilka minut wszystko powinno wrócić do normy, ale nie mam zielonego pojęcia, na jak długo. Zdaje się, że generator dogorywa. Lada moment może go trafić szlag.

Komisarz zerknął na zegarek. Minęła czternasta. Do zachodu słońca zostało około pięciu godzin. Mimo to przy zgaszonych światłach w holu panował półmrok. Deryło podszedł do okna i odciągnął grubą, zakurzoną firanę. Potem dwie kolejne.

Zrobiło się nieco jaśniej. Można też było ocenić skalę zniszczeń wokół hotelu: nasiąknięty wodą, błotnisty trawnik, zalany parking i ścieżka przypominająca lawinę błotną. Wszędzie poniewierały się połamane gałęzie, śmieci i kawałki metalowych wzmocnień elewacji. Oberwana rynna leżała przy samym wejściu. Kilka metrów dalej stał przewrócony do góry nogami kontener do segregacji odpadów. Ściana lasu przesunęła się o kilkadziesiąt metrów. Drzewa, rosnące dotąd na szczycie wzniesienia naprzeciw Tatra Elegance, zostały wyrwane z korzeniami i powalone. Przypominały wysypane z opakowania ogromne zapałki.

– Boże...

Herc podeszła do okna i przyłożyła dłonie do skroni. Rewera stanęła kilka kroków za nią.

– Wydaje mi się, że ten cholerny huragan nieco odpuścił.

– Raczej zostały już tylko te drzewa, których nie może zgiąć do ziemi.

– Nie. Naprawdę. Popatrzcie na ten kontener.

– Co z nim?

– Wichura przetoczyła go aż spod wejścia do kolejki. Teraz nawet nim nie porusza.

– Może dlatego, że do połowy ugrzązł w błocie.

Rewera nie odpowiedziała. Z nadzieją wpatrywała się w niebo. Wśród czarnobrunatnych chmur nie było widać żadnych przejaśnień. Pchane przez wiatr, przemieszczały się zwartą, skłębioną masą.

Haler po raz kolejny odruchowo poprawiła koc na Dianie Smolar. Podciągnęła go prawie pod brodę i dotknęła jej czoła. Było chłodne i suche. Przez ostatnie kilka minut starała się dokończyć analizę tego, o czym mówili goście. Sprzedania przez nich własnego czasu za pieniądze. Skuszenia się. Poddania się złudnej nadziei łatwego zarobku. Uwierzenia w to, że szczęście może się do nich uśmiechnąć i nie chceć niczego w zamian.

Coś jej nie pasowało. Jakiś element we wszystkich historiach nie współgrał z innymi. A może... brak elementu?

– Brak elementu?

Haler otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że tuż przed nią stoi komisarz. Musiała nieświadomie szeptać, porządkując informacje. Deryło wiele razy widział ją w tym stanie.

– Nie, nic, nic... – Uśmiechnęła się blado. – Po prostu myślę.

– Ale o jaki brak elementu ci chodzi?

Policjant nie ustępował. Wziął ją za rękę i odciągnął na bok. Haler zauważyła, że również na jego twarzy maluje się skupienie. Jakby nie mógł uchwycić tej samej myśli.

– Nie wiem. – Podkomisarz wzruszyła ramionami. – Myślałam o tym, z jaką łatwością ktoś sprowadził tu tych wszystkich ludzi. Wystarczyło zmamić ich obietnicą kariery...

– To raczej nie jest brakujący element.

Haler przygryzła usta. Sięgnęła do kieszeni i włożyła do ust dropsa. Rozgryzła go.

– Ano nie – szepnęła w zadumie. Rozejrzała się, upewniając się, że nikt ich nie podsłuchuje. – Skoro wszyscy mieli powód, aby tu przyjechać, można spróbować wykluczyć ich z listy podejrzanych.

– Powód eliminuje motyw?

– Raczej motyw elimi...

Podkomisarz przerwała w pół słowa. Pstryknęła palcami i ruszyła w stronę Millera. Właściciel hotelu stał obok Herc. Widok za oknem musiał go znudzić, bo w zamyśleniu gładził storę. Słyszając rytmiczne kroki Tamary, odwrócił się w jej stronę. Jego twarz tonęła w mroku.

– Poza tym, co w listach nakazano robić panu wprost... – Haler wycelowała w niego palec. – ...kazano panu szyć? Prawda?

Miller wsparł się na kuli i wyprostował.

– Tak. To mnie akurat nie zdziwiło...

– I nie zapyta pan, co znaczy „szyć”? Nie zdziwiło pana, że użyłam tego słowa?

Miller wzruszył ramionami.

– Nie. Dlaczego miałoby mnie zdziwić?

– Czy ktokolwiek z was rozumie, co znaczy „szyć” w kontekście innym niż robótek ręcznych?

– Haler zwróciła się do gości. – Czy ktokolwiek szeptanie nazywa „mówieniem na szepcie”?

Nikt się nie odezwał. Deryło odchrząknął i podszedł do niej. Szedł czujnym krokiem, jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo.

– Kim pan jest, Arturze Millerze? – zapytała Haler.

Policjantka chciała wyciągnąć komórkę i uruchomić latarkę. W półmroku z trudem widziała sylwetkę Millera: tylko jej zarys, ale już nie rysy twarzy. To wyprowadzało ją z równowagi. Mężczyzna umyślnie cofnął się i stanął w zacienionej wnęce między kątem wypoczynkowym a przejściem na klatkę schodową.

Haler zdała sobie sprawę, że nieładowana od doby komórka ma jedynie kilka procent baterii. Ta mogła się jeszcze przydać. Przezornie zatrzymała się kilka kroków od hotelarza.

– Wszystko pięknie do siebie pasuje. Pani mecenas przyjeżdża rozmawiać o obsłudze prawnej hoteli, ktoś inny o remontach, ktoś o wyposażeniu... Ale gdy już to wiemy, pojawia się brakujący element.

– Pani oszalała! – Hotelarz zaśmiał się kpiąco. – O czym pani mówi?

– Raczej o kim. O kimś, kogo nie można dopasować do tej historii...

– Bzdura. Nie zamierza chyba pani powiedzieć, że...

Miller zamilkł, gdy Haler zrobiła krok w jego stronę. Obróciła się, by nie stać tyłem do światła. Zmrużyła oczy. W półmroku nadal nie mogła rozpoznać wyrazu twarzy właściciela hotelu. Z mimiki zazwyczaj potrafiła wyczytać emocje ludzi i przewidzieć ich zachowanie. Bez tego czuła się niepewnie, jakby w każdej chwili spodziewała się, że hotelarz wyciągnie pistolet i do niej strzeli. Modliła się, żeby generator znowu zadziałał.

– Jest jeden niepasujący element – stwierdziła, siląc się na pewny ton. – Po co zjawiała się tu Kamila Pollinou? Oczywiście, coś musiało ją skusić. Kiedy to przeanalizowałam, doszłam do wniosku, że aktorkę mogą skusić tylko dwie rzeczy. Rola albo namowa kogoś z branży. Obstawiam, że nie chciał pan tu organizować burleski, a ona była na to i tak zbyt droga. Musiał więc pan mieć z nią jakieś kontakty wcześniej. Znalście się?

– Nie. Nigdy w życiu jej nie spotkałem.

– Może to i prawda. Teraz pozostają mi już tylko domysły. Zwróciłam jednak uwagę na kilka zwrotów, które zapożyczył pan wprost z gwary aktorskiej. Mówienie na szepcie? Niezająknięcie się, gdy ktoś wspomina o szyciu?

– Pracowałem z różnymi ludźmi.

– On miał teatr – wtrąciła się Herc. Przezornie się cofnęła, ale nadal znajdowała się niekomfortowo blisko hotelarza. – Mówiłam, że nie zweryfikowałam KRS-ów, ale przed przyjazdem sprawdziłam, z kim będę miała przyjemność rozmawiać. Wiem, że Miller był współwłaścicielem teatru.

– Gównianego, niedochodowego interesu – skwitował mężczyzna. – Zawracanie głowy i wieczne użeranie się z bandą nadętych idiotów, którzy myślą, że są artystami.

– Pollinou była jedną z tych artystek?

– Powiedziałem już, że nigdy z nią nie pracowałem.

– Ale znał ją pan? Skusił ją pan obietnicą rozkręcenia czegoś nowego? Może zamierzał pan zainwestować w film?

– W Polsce w branży filmowej nie da się zarobić. Chyba że ma się cholerny fart.

– Pan nie zarabia – mruknęła Haler. – Pan zajmuje się robieniem długów i zaniżaniem cen sprzedażowych. Dopiero teraz sobie przypomniałam, że czytałam akta sprawy, w której badano pańskie interesy. Postępowanie skarbowe umorzono, ale...

Zrobiła kolejny krok do przodu. Stała już niespełna trzy metry od Millera. Reszta gości w absolutnej ciszy przysłuchiwała się jej słowom. Deryło minął ją, lecz chwyciła go za rękę.

– Nie, czekaj – zatrzymała komisarza. – On zapewne jest uzbrojony. Panie Miller, ma pan przy sobie broń? Proszę nie pogarszać swojej sytuacji.

– Popiełniacie błąd – wycedził hotelarz. – I nie ważcie się do mnie zbliżyć.

Deryło stanął nieco przed Haler. Miał odruch osłaniania jej własnym ciałem.

– Niech się pan podda. Padnie na kolana i założy ręce za głowę.

– Nigdy w życiu. Poza tym...

Hotelarz wymownie obrócił kulą. Podkomisarz lekceważąco pokręciła głową i poruszyła się nieco w bok, starając się złapać więcej światła.

– Okej. To prawda. Udało się wam co nieco o mnie dowiedzieć. – Miller nerwowo zachichotał.

– To pana bawi?

– Te insynuacje? Jak najbardziej. Większych idiotyzmów nie słyszałem. – Westchnął, a po chwili mówił dalej: – Miałem teatr. Nie chciałem o tym wspominać, gdy się okazało, że wszystko ma związek z jakimiś cholernymi sztukami. Od razu zaczęto by mnie oskarżać.

– Kiedy zamordowano Werskiego, nie było pana razem z resztą. Z tego, co wiem, zmył się pan też wcześniej z kolacji przed śmiercią Pollinou. Czy to zbieg okoliczności?

– Niby jaki miałbym mieć motyw? To również pani wywróżyła z rozbryzgów krwi?

Hotelarz przesunął się w cień. Za jego plecami było przejście do pomieszczeń magazynowych, a z boku – wyjście na klatkę schodową. Nagle błyskawicznie wychylił się do przodu i wymierzył Deryle cios kulą. Stalowa laska uderzyła komisarza prosto w piszczel.

Nim Haler zdążyła zareagować, Miller rzucił się do ucieczki. Całkowicie sprawny, biegł niemal jak sprinter. Pchnął dwuskrzydłowe drzwi i zablokował je z drugiej strony kulą. Przez moment na jego twarz padło światło. Pozostała obojętna jak maska. Podkomisarz nie potrafiła z niej nic wyczytać.

– Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam...

Haler starała się otworzyć drzwi na klatkę schodową. Kula, która je blokowała, poruszyła się, ale nie upadła.

– Nikt, kto nie jest pewny własnych kończyn, nie przeniesie całego ciężaru ciała na laskę. On robił to odruchowo. Kula była dla niego zwykłą zabawką.

Lekko kuśtykający Deryło nie zamierzał czekać, aż za entym razem uda się odblokować drzwi. Natarł na nie barkiem. Konstrukcja zabrzęczała, a kula pękła na dwie części. Ukruszyła skraj szyby.

– Uważaj, żeby nie zleciała na ciebie cała tafla.

– Odsuń się!

Komisarz z impetem pchnął skrzydło i wypadł na klatkę schodową. Usłyszał kroki piętro wyżej. Wściekły, że dał się zaskoczyć, ruszył po schodach. Przeskakiwał po kilka stopni naraz, co chwilę nasłuchując.

– Biegnie na samą górę... – wyziptał do Haler.

Policjantka jedynie skinęła głową. Jak zawodowa lekkoatletka wyprzedziła Deryłę i obiegła półpiętro. Kilkanaście sekund później była już na górze. Komisarz słyszał jej lekkie, zwinne kroki. Usłyszał też brzęknięcie i szum, którego pochodzenia nie mógł rozpoznać.

Mimo bólu piszczeli pokonywał kolejne stopnie. Co kilka z nich podciągał się o metalową barierkę, co nieco łagodziło nacisk na stłuczoną nogę. Wreszcie dostrzegł stojącą na szczycie schodów Tamarę. Miała uniesione dłonie i najwyraźniej nie zamierzała iść dalej. Przed chwilą uznał, że Miller nie mógł być uzbrojony. Gdyby miał broń, zastrzeliliby ich jeszcze w holu. Najwyraźniej się mylił. Po raz kolejny.

– To się nie musi tak skończyć – usłyszał głos Haler. – Proszę się zastanowić.

– Ma pani jakieś inne propozycje?

– Jeżeli traktował to pan jako grę, niech po prostu uzna, że przegrał. Jedynie tchórze nie potrafią przyznać się do porażki.

– Niczego nie rozumiecie.

– W takim razie możemy o tym pogadać. Czemu nie?

Deryło cicho wszedł na górę. Dostrzegł, że Haler zrobiła krok w głąb pomieszczenia. Miller stał obok konstrukcji zabezpieczającej dźwig windy. Jedno z okien w przeszklonej kopule zostało otwarte. Do środka wpadały przez nie wiatr i deszcz. Tuż obok stał hotelarz. Nie miał broni. Co chwilę zerkał za siebie, jakby szykował się do skoku. To dlatego Haler zatrzymała się u szczytu schodów.

– Dlaczego ich pan zabił? – Zadając pytanie, Deryło miał nadzieję, że przyciągnie uwagę Millera. – Po co to wszystko?

Mężczyzna pokręcił głową. Nagle światło zamrugało i ponownie się zapaliło. Generator znowu się uruchomił.

– Niczego nie rozumiecie.

Miller podciągnął się o metalową klamkę i błyskawicznie przełożył nogi na drugą stronę okna. Zachwiał się pod naciskiem wiatru, ale jakimś cudem zdołał utrzymać równowagę.

– Ja pieprzę!

Haler rzuciła się za nim. Poślizgnęła się na kałuży, ale udało się jej chwycić za skraj jego marynarki. Miller jakby tylko na to czekał. Obiema dłońmi złapał ją za rękę. Pociągnął ją i bez namysłu skoczył w ciemność. Tamara zachwiała się, usiłowała chwycić skraj balustrady, ale nie dała rady.

Wypadła z okna za Millerem.

– Tamara!

Deryło jednym susem doskoczył do okna. Wiatr wpadał do środka z niszczycielską siłą. Kolejne porywy nieomal wyrwały okiennicę.

Komisarz wychylił się za niewielką, przeszkloną barierkę. Ziemia była co najmniej dwanaście metrów niżej. Przeżycie upadku z tej wysokości było możliwe, ale równoznaczne z ciężkim złamaniem albo kalectwem.

– Tu!

Dopiero po chwili Deryło zauważył, że Haler znajduje się na niewielkim, wąskim zadaszaniu kilka metrów od okna. Miller wciąż trzymał ją za rękę. Nawet wyćwiczona drobna kobieta nie miała szans w zmaganiach z kimś o dwukrotnie większej masie. Do tego po odrzuceniu kuli mężczyzna poruszał się nadzwyczaj sprawnie.

– Niech się pan nie rusza! – wrzasnął, przekrzykując wiatr. – Jeden ruch, a ją zrzucę.

Deryło udał, że nie słyszy. Przełożył nogi przez barierkę i stanął na śliskim gzymsie. Zrobił krok w stronę Haler. Dzieliły ich niespełna trzy metry.

– Stój, mówię! – Hotelarz szarpnął Tamarę tak, że ta straciła równowagę. Zachwiała się i w ostatniej chwili przywarła do chropowatej ściany. – Powiedziałem: ani kroku.

Deryło posłusznie się zatrzymał, trzymając się skraju barierki.

– Puść ją – wycedził. – Nie jest częścią twojego planu. Nie musisz jej krzywdzić.

– Niech pan wreszcie wbije sobie do łba, że nie było żadnego planu. Miałem szyć, to szyję! Rozumiemy się? Chyba że dalej pan żyje w świecie swoich urojeń.

Miller z całej siły przyciągnął do siebie Haler i puścił jej rękę. Podkomisarz straciła oparcie, po czym na moment oderwała się od ściany. Zdawało się, że runie na ziemię. Hotelarz błyskawicznie z powrotem chwycił ją za dłoń.

– O nie, nie. Nie będzie tak łatwo.

– Czego chcesz?! – wrzasnął Deryło.

Miller nie musiał odpowiadać. Gdy komisarz się wychylił, dostrzegł, że niedaleko gzyms się kończy, a zadaszanie – rozgałęzia. Z jednej strony okalało balkony nad zachodnim skrzydłem hotelu, a z drugiej opadało ku środkowi budynku.

Deryło wychylił się jeszcze mocniej. Zrozumiał, dokąd zmierzał Miller. Na zadaszaniu centralnej części hotelu znajdowały się klimatyzatory starego typu. Być może służyły do chłodzenia generatora prądu, z pewnością zaś pracowały pełną parą. Wirowały z mocą łopat helikoptera. Od góry zakrywała je jedynie cienka siatka. Nie było wątpliwości, że nie utrzymałaby ciężaru większego niż parę kilogramów.

– Nie rób tego... – ostrzegł komisarz.

Starał się nie patrzeć w dół. Zrobił krok po mokrym gzymsie. Trzymał się niewielkiej wypukłości spoiny między szybami.

– Powiedziałem, żeby pan...

Miller minimalnie się cofnął i nagle stracił równowagę. Deryło dostrzegł na jego twarzy śmiertelne przerażenie. Natychmiast przeniósł wzrok na Haler, która starała się uchwycić załomu muru, ale jej palce się po nim ześlizgnęły.

– Jezu...

Jak w zwolnionym tempie Deryło obserwował następne wydarzenia. Niemogącego złapać oparcia Millera, jego dłoń chwytającą koszulę Haler, jej przeprasające spojrzenie, a wszystko to wśród wiatru i deszczu.

Hotelarz przez kilka sekund przebierał nogami w miejscu. Jego tułów wygiął się nienaturalnie, a wolna dłoń przeczesła powietrze. Udało mu się przechylić nie w stronę przepaści nad parkingiem,

lecz wewnętrznego zadaszienia. Najwyraźniej dotąd nie zauważył wirujących łopat klimatyzatorów.

Deryło trzymał się gzymsu tylko jedną dłonią. Stawiał krok za krokiem, lecz od Haler dzieliły go jeszcze prawie dwa metry. Zdał sobie sprawę, że kałuża pod nimi to tylko cienka warstwa wody nad betonem. W tym miejscu nie było nawet trawnika. Właśnie tu sięgały wsparte o skałę betonowe fundamenty hotelu.

Komisarz dostrzegł rękę Haler, wyciągającą się w jego stronę. Jej długie, cienkie palce żałośnie zacisnęły się w powietrzu.

Miller pociągnął ją za sobą, wprost między krojące powietrze wirniki.

WCZEŚNIEJ

– Pieniądze to przepustka do realizacji największych projektów. Jeżeli chcesz być kimś, potrzebujesz forsy. Jeśli marzysz o karierze aktora, potrzebujesz forsy. Najpierw przyjdzie sława, a potem chleb. Jeżeli chcesz być tancerzem, potrzebujesz forsy. Jeśli chcesz spełnić marzenia, kup je.

Kobieta pogładziła chłopca po policzku. Spojrzała mu głęboko w oczy i uklękła przy nim. Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu, oświetlanym jedynie przez światło trzymanej przez nią latarki. Na betonowej posadzce leżał gruz. Rozbite cegły mieszały się z pyłem i cementowymi odłamkami. Trzy wypełnione nimi wiadra stały w rogu. Na wysokości dwóch metrów znajdował się prostokątny otwór. Miał maksymalnie trzydzieści pięć na czterdzieści pięć centymetrów. Zionął z niego zapach zgnilizny.

– Wiesz, co masz zrobić? – Kobieta uśmiechnęła się pokrępiąco. – Ćwiczyliśmy to tak wiele razy.

– Tak, mam.

– Gdy wrócisz, już nigdy nie będziesz musiał oglądać telewizji. Już ani razu, jeżeli nie będziesz miał ochoty, nie włączę Jesieni ludzkości. Dobrze?

– Obiecujesz?

– Wiesz, że jeżeli coś mówię, to potem zawsze tak jest.

– Mhm.

– Powiedz, że wiesz.

– Tak, mam. Wiem.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Serce dudniło jej w piersi, a po skroni ściekał pot. Łaskotał ją, ale go nie otarła. Odgrywała rolę życia i nie mogły jej rozpraszać zbędne ruchy.

– Każdy twój mięsień i każde ścięgno są tak wygimnastykowane, żebyś dał radę – mówiła. Na jej twarzy malował się wyraz troski o chłopca, a zarazem stuprocentowej wiary we własne słowa. – Nie może ci się nie udać. Nawet o tym nie myśl.

– Nie lubię fragmentu, w którym muszę się podciągać.

– Zobaczysz, że będzie łatwiej niż w trakcie ćwiczeń.

Musiało być łatwiej. Do każdego metra na planach podczas przygotowań dodawała dwadzieścia centymetrów. Rurę o średnicy prawie pół metra zamieniła w szczelinę o średnicy o dwadzieścia centymetrów mniejszej. A mimo to chłopiec dawał radę. Przez ostatnie dwa miesiące udawało mu się za każdym razem. Musieli się jednak spieszyć. Karmała go niskoenergetycznym żarciem, a i tak rósł coraz szybciej. Miał pozostać wygimnastykowany, ale – niestety – nie tak mały. Opracowywany latami plan należało wreszcie zrealizować.

– Idź, pokaż, co potrafisz. – Kobieta cicho klasnęła i podsadziła chłopca do wyloty szybu. – I pamiętaj – dodała, podając mu latarkę oraz diamentową tarczę. – Masz mniej czasu niż wtedy, gdy ćwiczyliśmy.

W rzeczywistości zamiast pięćdziesięciu pięciu sekund powinien mieć nawet około trzech minut, ale to było nieistotne. Ważne, aby zdołał zabrać wszystko, co mu pokazała poprzedniego dnia. Wszystko, co miało największą wartość.

Wciągnęła powietrze i złożyła dłonie jak do modlitwy. Nie modliła się od lat. Może od czasów, kiedy ojciec przychodził do niej, by przygotować ją do spotkań z mężczyznami. Mimo to ten gest ją uspokajał.

Przymknęła oczy i nasłuchiwała. Kolana malca dudniły o metalowy szyb wentylacyjny. Poruszał się szybko, niemal bez przerw na zastanowienie. Musiał minąć tylko dwa rozgałęzienia. Potem droga była już prosta.

Nagle z szybu przestał dobiegać jakikolwiek odgłos. Kobieta zaniepokoiła się. Stała na palcach i wyciągnęła się, przysuwając głowę do wylotu. Przestała oddychać.

– Uciekł? – zapytała sama siebie. – Pierdolony mały gnojek dał dyla i podziękował za dalszą współpracę?

Nic.

Cisza.

Po kolejnych kilku sekundach nic się nie wydarzyło.

Nie dopuszczała takiego scenariusza. Przez prawie cztery lata robiła wszystko, by wytresować gówniarza jak psa. Budowała mu labirynty, modele przewodów wentylacyjnych i gablot... Całymi godzinami kazała mu się rozciągać i ćwiczyć sprawność. Mógłby występować w cyrku lub na turniejach dla akrobatów. Stworzyła najbardziej giętkiego człowieka świata. A teraz mógł się on zbuntować. Mógł skorzystać z pierwszej w życiu szansy i spróbować ucieczki.

Wypuściła powietrze i uderzyła dłonią o ścianę.

– Kurwa! – syknęła.

Już dawno powinien dotrzeć na miejsce. Powinna słyszeć, jak wyrwa kratkę i zeskakuje na ziemię. A on zaszył się w jakimś kącie. Przypomniał sobie matkę? A może tego nieudacznika ojca na wózku inwalidzkim? Nie, nie, to niemożliwe. To nie mogło się skończyć w tak głupi sposób.

Wierzchem dłoni otarła pot z czoła. Już nie musiała grać. Paraliżowała ją myśl, że ostatnie lata życia straciła na bezproduktywną zabawę. Była wściekła. Miała ochotę rąbnąć głową o ścianę i wszystko zakończyć. Miała ochotę krzyczeć z rozpacz.

Mężczyźni zawsze są do dupy.

Nigdy ich nie potrzebujemy.

Nigdy...

Nagle dobiegł ją stłumiony ryk alarmu. Kobieta zacisnęła dłonie i podskoczyła z radości.

A jednak jej nie zostawił. Doszedł do salonu jubilerskiego i zaczął działać. W piwnicy codziennie puszczała mu na cały regulator odgłos przypominający alarm. Musiał się z nim oswoić. Czasem nie pozwalała mu spać, torturując go tym wyciem w wysokiej tonacji. Zauważyła, że nigdy się do niego nie przyzwyczał, ale nauczył się nie zwracać na niego uwagi. Jej metody wychowawcze zasługiwały na nagrodę. A pycha właścicieli salonu, którzy, zdając się na potężne rolety antywłamaniowe, nie pakowali asortymentu do sejfów – na najwyższe potępienie.

Ponownie złożyła dłonie jak do modlitwy i zaczęła odliczać. Zgodnie z planem chłopiec powinien zjawić się za równe sto sekund.

Wyjrzał z szybu dokładnie po dziewięćdziesięciu ośmiu. Ciężko dyszał, lecz uśmiechał się od ucha do ucha. Rzucił na ziemię rozkosznie brzęczący worek.

Jej mały wspólnik.

Jej mały bohater.

– Tamara!

Deryło przeciągnął paznokciami po szorstkiej ścianie. Poczuł, że beton rani mu opuszki palców, ale przytrzymał się tylko jedną ręką. W tej pozycji nie mógł wytrzymać dłużej niż przez kilka sekund.

W ostatnim momencie rzucił w stronę Haler wyciągnięty ze spodni pasek. Podkomisarz udało się go chwycić. Przywarła podeszwami butów do ściany. Miller wciąż zaciskał dłoń na jej przedramieniu. Deryło wiedział, że Haler robi wszystko, by uratować nie tylko siebie, lecz także hotelarza.

– Albo on, albo ty! – wrzasnął. – Długo was nie utrzymam!

Haler spojrzała w dół. Łopaty klimatyzatorów pracowały na pełnych obrotach. Przeniosła wzrok na Millera. Mężczyzna szarpał się, uczepony jej ramienia. Jego włosy były całkowicie mokre, a równie mokra marynarka zsunęła mu się z ramion.

– Tamara, do cholery!

Haler uchwyciła mocniej pasek i się podciągnęła.

– Trzymaj się – szepnęła do Millera. – Trzymaj się, to jakoś cię wyciągniemy.

– Nie chcę umierać...

– Nikt nie chce umierać.

Jedną dłonią puściła pasek, wychyliła się i spróbowała uchwycić gzysu. Zabrakło jej kilkudziesięciu centymetrów.

– Co ty robisz?!

Deryło nie czuł palców. Z trudem pilnował, by były zaciśnięte, ale wiedział, że za chwilę mimowolnie się rozewrą. Zdezorientowany obserwował akrobacje Haler. Nie słyszał, co mówi do Millera, lecz się tego domyślał. Inteligencja nie zawsze szła w parze z rozumem.

Zaklął i zacisnął zęby. Z oczu zaczęły mu ciec łzy zmęczenia, które na twarzy mieszały się z deszczem i potem. Pasek wżynał się w dłoń i rozcinał skórę.

Komisarz wrzasnął z wysiłku. Nigdy nie rozumiał krzyku ciężarowców podnoszących sztangi, ale w tym momencie krzyk wydał mu się najbardziej naturalnym, co mógł zrobić. Zebrał ostatnie siły i napiął mięśnie. Kark zaczął go palić żywym ogniem.

Jak przez mgłę dostrzegł rozwierające się palce Millera. Koszula Haler porwała się, a hotelarz z jej strzępem runął w dół. Zahaczył o nogę policjantki, lecz nie zdołał się jej ucześcić. Bezradnie machając rękoma, uderzył o zadaszenie i zaczął się staczać po jego pochyłej powierzchni. Rozpaczliwie starał się czegokolwiek uchwycić. Jego ciało nabierało prędkości, po czym wpadło na cienką, w wielu miejscach naderwaną już metalową siateczkę. Konstrukcja, która miała ochraniać klimatyzatory przed ptakami, nie utrzymała ciężaru mężczyzny. Kilka zaczepów puściło jeden po drugim.

Deryło z całej siły szarpnął za pasek i przyciągnął do siebie Haler. Kobieta chwyciła gzysu u jego stóp dokładnie w momencie, gdy Miller wpadł między łopaty klimatyzatorów. Było słychać, jak kilka razy uderzają o jego ciało. Wreszcie posiekały je i rozerwały na kawałki. Odrzuciły na bok jak części szmacianej lalki.

Deryło pomógł Haler wstać.

– Nie patrz w dół – mruknął. – Wracajmy do środka. Jemu już nikt nie pomoże.

– Tamara!

– Nie żyje?

Rewera zrobiła wielkie oczy i złapała się poręczy. Jej włosy wyglądały na jeszcze bardziej nastroszone niż dotąd.

– Jesteście pewni?

– O ile nie regeneruje się jak gąsienica, to tak – odparł ironicznie Deryło. – A gąsienicy mi nie przypominał.

– Dżdżownicy – poprawiła go Haler. – Chociaż to i tak nie jest do końca tak, jak się uważa...

– Słucham?

– Nieważne. – Policjantka odwróciła się do Deryły i złapała go za rękę. W jej oczach skrzyły się łzy. Wciąż ciężko oddychała. Spuściła oczy i wydukała na jednym oddechu: – Po raz drugi ratujesz mi skórę, a ja mogę ci tylko podziękować. Jezu, naprawdę mogłam zginąć tam razem z nim. Mogłam wlecieć między te klimatyzatory i teraz byłabym...

Deryło nie odpowiedział. Przez chwilę ścisnął jej rękę, jakby ten dotyk był najwspanialszym podziękowaniem. Wreszcie poruszył palcami i rozprostował dłoń. Porozcinana skóra piekła go, a napięte mięśnie karku bolały jak szarpane obcęgi. Podszedł do okrytej kocem recepcjonistki. Sięgnął po butelkę wody, którą Herc obmywała jej usta. Chyłkiem wypił niemal całą jej zawartość. Odkasznął, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

Przez cały ten czas w głowie miał tylko jedno pytanie. Elementy układanki do siebie pasowały, ale obraz wciąż miał wiele dziur.

– Dlaczego on to zrobił? – zapytał Haler, gdy znaleźli się poza centrum zainteresowania. Reszta gości zajęła się domysłami i komentowaniem przebijającego zza chmur wieczornego słońca. Wszyscy poczuli ulgę. Zrozumieli, że policjanci nie powiedzą im nic ponad krótki komunikat, że Miller nie żyje. – Nie rozumiem, co ci ludzie mu zawinili? Co oznaczały te wszystkie cholerne litery?

Zdjął marynarkę i podwinął mankiety koszuli. Obrócił srebrny sester. Haler wciąż milczała. Przymknęła oczy, ale przez jej twarz nie przebiegł tak dobrze znany Deryle grymas olśnienia. Komisarz patrzył na jej kształtny nos, długie, rzucające cienie rzęsy i przyklejone do czoła mokre włosy. Naszła go ogromna ochota ją przytulić. Mimo to wbił dłoń w kieszenie i rozejrzał się po holu. Herc wciąż czuwała przy Dianie Smolar. Od czasu do czasu wtrącała się w rozmowę stojących przy oknie Rewery oraz Szewskiego. Jedyne Galwer siedział samotnie w głębokim fotelu nieopodal głównego wejścia.

Deryło pomyślał, że dopiero tu przyjechał. Dopiero wszedł do środka i po raz pierwszy w życiu spotkał każdego z tych ludzi. Teraz wydawało się, jakby od chwili, w której faktycznie się tu zjawił, minęły wieki.

– Nie wiemy, czy znaleźliśmy wszystkie jego ofiary – szepnęła Haler. – Nie wiemy, czy nie mordował już wcześniej.

– Możesz mówić jaśniej?

– W jakiś sposób dostał się do pokoju Pollinou oraz lekarza. Wyszedł, zostawiając ich zamkniętych od środka.

– Pewnie miał dorobiony klucz. Co z tego?

– Myślisz, że wszyscy dotychczasowi goście opuścili ten hotel bezpiecznie?

Deryło wzruszył ramionami.

– To już chyba nie nasza sprawa. Śledczy będą musieli się dogrzebać do samego dna tego szamba. Ale tym razem to nie moje zmartwienie.

– Serio cię to nie interesuje?

– Zagadki to twoja specjalność. Ja tak naprawdę mam w dupie te psychologiczne rozważania,

dlaczego, po co i czy to wina molestowania, matki alkoholiczki czy ojca dyrektora. Zresztą...

Komisarz urwał. Czyjaś komórka zabrzęczała. Jeden po drugim rozległy się sygnały nadchodzących esemesów. Nagle sam poczuł wibrację. Wyszarpnął stary aparat i spojrzał na wyświetlacz. Ikonka w górnym rogu ekranu wskazywała kreskę zasięgu.

Miał jedną nieodebraną wiadomość. Natychmiast ją otworzył. Przebiegł wzrokiem tych kilka linijek i całkowicie sposepniał. Wydało się, że jego twarz w jednym momencie postarzała się o kilka lat. Zmarszczki się pogłębiły, a oczy zaszyły mgłą.

– Tamara!

– Co się stało?

Haler zmarszczyła czoło i przytknęła palec do nosa. Uważnie obserwowała komisarza. Ciężko oddychał. Zaciskał dłoń na telefonie, aż pobielaly mu kłykcie. Obudowa aparatu niebezpiecznie trzeszczała, jakby zaraz miała pęknąć.

– Eryk?

Haler doskonale wiedziała, że Deryło nie znosi, gdy mówi się do niego po imieniu. Zauważyła jednak, że czasem to najlepsza metoda zwrócenia jego uwagi. Powstrzymała się, by nie korzystać z niej częściej.

Tym razem nie zareagował. Wciąż wpatrywał się w ekran telefonu, jakby oczekiwał, że po chwili nadejdą kolejne wiadomości. Przygryzł wargę tak mocno, że spłynęła z niej krew. Bezwiednie oblizał rozcięcie.

– Eryk? Co się stało?

Zrobiła krok w jego stronę. Dotknęła jego dłoni, ale wciąż patrzyła mu w twarz. Nagle Deryło mocno pociągnął nosem i sapnął. Obrócił telefon ekranem do niej.

– To od...

– Tak.

Wiadomość była krótka. Została nadana z numeru, do którego Deryło nie miał przypisanego kontaktu. Do tego trzycyfrowy prefiks wskazywał na Słowację. Haler przeczytała ją dwukrotnie.

Nie przyjeżdżaj. Nie będzie mnie w TE. Niepotrzebnie się odezwałam. Myślałam, że chcę, ale ciągle nie potrafię. Może jeszcze przyjdzie na to czas. Nie teraz.

Haler delikatnie wysunęła telefon z dłoni komisarza. Wyłączyła wiadomość i zablokowała ekran.

– Przejdzie jej – odezwała się, oddając mu aparat. – Nie czytaj tego przez kolejne kilka godzin, tylko potraktuj jako dobry znak. Odezwała się. Dopiero perspektywa spotkania wydała się jej dyskomfortowa. A psychologicznie to nic nadzwyczajnego. Musi sobie wszystko poukładać. Mogła po prostu nie przyjechać. Nie pisząc ani się nie tłumacząc.

Deryło skinął głową.

– Pewnie masz rację.

– Nie pewnie, tylko po prostu mam. Odezwie się szybciej, niż myślisz. Zobaczysz.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nie traktuj mnie jak pieprzonego idioty, któremu wmówisz, że jutro też wstaje dzień. Nie mów do mnie jak do... – Deryło nabrał tchu. Schował telefon do kieszeni i zrobił krzywą minę. – Przepraszam. Chyba właśnie przekraczam limit wrażeń przepadających na dwadzieścia minut.

Nim Haler zdążyła się odezwać, usłyszeli podekscytowany głos Rewery. Stała z telefonem w ręce i przewijała coś na ekranie.

– Czytam, kim był ten facet – odezwała się na tyle głośno, by było ją słychać w całym holu. – Teatr, który prowadził, to mało znana buda w Poznaniu. Moja matka mogła mieć tam angaż, ale uznała, że się tak nie zbłąźni. Wystąpić w tym syfie to była potworna ujma.

– Pani matka jest aktorką? – Herc odezwała się szeptem, jakby nie chciała zbudzić Diany Smolar.

– Lalkarką – dodała z dumą Rewera.

– Moja siostra przez lata grała na deskach Narodowego. Swego czasu miała kontrakt w Nowym Jorku.

– Moja żona również grywała... – odezwał się Szewski.

Uwaga gości skupiła się na Galwerze. Ten przez moment bębnił palcami o boki fotela, wreszcie się podniósł i założył ręce za plecy. Tego, co zamierzał powiedzieć, najwyraźniej nie traktował jako powodu do dumy.

– Mój syn... – odezwał się i popatrzył przez okno. – Mój syn grał z Pollinou w jakimś tasiemcu, a teraz wykłada w szkole aktorskiej. Zajmuje się emisją głosu.

Haler uważnie przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Zmrużyła oczy i przygryzła wargę. Jej policzki gwałtownie się zaróżowiły. Deryło patrzył na te przemiany, zapominając na moment o esemesie od córki. Nagle podkomisarz zadrżała. Odrzuciła mokre włosy i pokręciła głową.

– Cholerne coming outy – fuknęła. – Nie mogliście przyznać się do tego wcześniej? Nikomu nie przyszło do głowy, że to może być ważne?

– Jakie to ma znaczenie?

Haler zbyła pytanie Szewskiego milczeniem. Sięgnęła do kieszeni po drażę, ale opakowanie było puste. Z zaciśniętymi ustami podeszła do śmietnika i je wyrzuciła. Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Zerknęła w stronę Deryły, a kąciki jej ust powędrowały w górę.

– Mam! – Klasnęła zadowolona. Energicznym krokiem podeszła do skulonej na kanapie recepcjonistki i odgarnęła koc z jej karku. – RD – odczytała, jakby się upewniając. – Poza tym KT i WG. Któreś z was byłoby AS, któreś BM i tak dalej... No tak, to jasne. Powinam się domyślić wcześniej!

– Konstanty Truszew, Wiktor Gozdowski, Roksana Dybicz – wyrecytowała na jednym wydechu Haler. – To bohaterowie jednej ze sztuk Michałkina. *Jesień ludzkości*. Dziewięćdziesiąty drugi albo trzeci rok. Dziewięćdziesiąty drugi, okolice *The Freddie Mercury Tribute Concert*... Okej, okej. – Policjantka uniosła dłonie. – Zdaje się, że również siostra Pollinou jest aktorką i grała w tym przedstawieniu.

– *Jesień ludzkości*? – Herc odruchowo poprawiła okulary. – To chyba ta popieprzona sztuka, którą zdjęto z afiszy. Zrealizowano też nagranie dla Teatru Telewizji, ale w ostatniej chwili wycofano się z emisji. Uznano ją za zbyt obrazoburczą lub brutalną, już nie pamiętam. Moja siostra grała jedną z głównych ról...

Haler pokręciła głową.

– Zdjęto ją, bo promowała przemoc wobec dzieci. Głównym motywem było wyzwolenie kobiet i wychowywanie przez nie potomstwa tak, by służyło matkom. Dzieci, wytresowane jak psy, miały je utrzymywać, dostarczać im rozrywki, a gdy dojrzeją, stawać się ich partnerami lub partnerkami zaspokajającymi seksualne fantazje.

– Feminizm w wydaniu *hard* – parsknął Szewski.

– Podejrzewam, że pańska żona mogła brać udział w nagraniach – stwierdziła Haler. – Tak samo jak bliscy każdego z was.

– Miała wtedy jakieś siedem lat.

– A myśli pan, że dziecięce role odgrywali dorośli? Podejrzewam, że nie zaczęła interesować się aktorstwem dopiero po poznaniu pana.

– Tak, grała od dziecka, ale... – Szewski głośno wypuścił powietrze. – Tylko co Miller miał do tych aktorów? Odbiło mu po obejrzeniu tego przedstawienia czy jak?

Haler wzruszyła ramionami. Widziała, że Deryło przysłuchuje się rozmowie, lecz co rusz zerka na telefon. Nagle wsunął go do kieszeni i zerknął na Szewskiego.

– Pewnie możemy się tylko domyślać – odezwał się zirytowany. – Być może splajtował właśnie przez tę ekipę? Albo wręcz przeciwnie, przeszkodziła mu w kontrolowanym zadłużeniu teatru. Może go czymś szantażowała?

– Wtedy powinien zaprosić tu właśnie ich – zauważyła Rewera.

– Niekoniecznie.

Spojrzenia Deryły i Haler się spotkały. Oboje wiedzieli, że doszli do tego samego wniosku.

– Zemsta – odezwała się Tamara. – Najlepsza jest zemsta wymierzona w bliskich. Nic nie boli bardziej od ich utraty. Miller nie postrzegał aktorów jako osobistych wrogów. Raczej chciał przenieść na nich swoje cierpienie. To mechanizm notowany przy wielu seryjnych zabójstwach.

– Co za psychologiczne bzdury. – Rewera lekceważąco machnęła dłonią. – On musiał mieć po prostu nierówno pod sufitem. Koniec, kropka. Nie potrzebuję wiedzieć nic więcej. Swoją drogą, skoro mamy zasięg, czy ktoś zadzwonił pod sto dwanaście?

– Właśnie to robię.

Deryło obrócił telefon w dłoni i nacisnął zieloną słuchawkę. Jeszcze raz się upewnił, że skrzynka odbiorcza jest pusta.

Anna Herc pomyślała o siostrze. Natalia była o ponad cztery lata starsza od niej i zawsze wobec niej nadopiekuńcza. W podstawówce broniła jej przed natrętnymi chłopakami, w ogólniaku przestrzegła przed miłosnymi rozczarowaniami, a na studiach – pocieszała po bolesnych rozstaniach. Były sobie wyjątkowo bliskie. Znacznie bliższe niż większość sióstr, które poznała. Nigdy nie istniała między nimi choćby ukryta rywalizacja. Być może była to zasługa różnicy wieku, a może kwestia tego, że rodzice traktowali je naprawdę na równi.

Myśl o siostrze poprawiła Herc humor. Na moment przeniosła ją z chłodnego, targanego przeciągami hotelowego holu nad Bałtyk. Swego czasu spędzały nad nim wspólnie niemal każde wakacje. Teraz udawało im się to powtórzyć raz na kilka lat. Było to tym łatwiejsze, że żadna z nich jak dotąd nie założyła rodziny. Natalia, co prawda, od prawie dekady pozostawała w związku z przystojnym operatorem filmowym, ale nic nie zapowiadało, by ich relacja miała się zacieśnić. Mieszkali oddzielnie i niejednokrotnie osobno spędzali wakacje. Tworzyli jeden z tych związków, które na zachodzie określa się skrótowo LAT. *Living apart together*.

I dobrze. W końcu siostry były nierozłączne, a Anna przez moment była nawet zazdrosna o czas, który Natalia spędzała z partnerem. Nigdy wcześniej nikt tak wyraźnie między nimi nie stanął. Nikt nie zaabsorbował tyle uwagi jednej z sióstr, by druga mogła to odczuć. Nie zrobili tego ani faceci, ani plany życiowe, ani odległości.

Natalia ubiegała się o angaż w Teatrze Narodowym tylko dlatego, że Anna zaczęła studia na UW. Wcześniej wystarczały jej gra w mniejszych teatrach oraz wynagrodzenie nauczycielki tańca klasycznego w znanej szkole. Warszawa okazała się trampoliną. Po kilku miesiącach Natalia otrzymała propozycję udziału w cyklu występów na Broadwayu. Reżyser polskiego pochodzenia dostrzegł jej talent i zaoferował wyjątkowo korzystną stawkę. Nadzwyczaj korzystną, nawet jak na tamte czasy. A polski akcent miał stać się jednym z jej największych atutów.

To właśnie wtedy wystąpiła też w nagraniu *Jesieni ludzkości* dla Teatru Telewizji. Anna wyjątkowo dobrze pamiętała, jak ciężko siostra zniosła przygotowania do roli. Przyjęła ją tylko dlatego, że występ w sztuce reżyserowanej przez znanego białoruskiego twórcę w połączeniu z rychłym nowojorskim debiutem miał stać się jej finalną przepustką do wielkiego świata. Mimo to starsza z sióstr Herc uważała przedstawienie za obrzydliwe. Grała w nim jedną z głównych bohaterek. Ze wstrętem wspominała Annie o metodach wychowawczych, które miała stosować wobec swego scenicznego dziecka. „Piłowanie mleczaków? Kto to w ogóle wymyślił? Jak bardzo trzeba mieć popieprzone w głowie, żeby wpaść na taki pomysł?” Herc pamiętała ciarki, które przebiegły ją na samo wyobrażenie tarcia stolarskim pilnikiem po zębach.

Wspomnienie powróciło po wielu latach. Pani adwokat starała się sobie przypomnieć, czy jej siostra kiedykolwiek mówiła o Arturze Millerze. Niestety, jego imię i nazwisko wydawały się jej całkowicie obce. Chyba nigdy o nim nie słyszała.

Herc troskliwie pogłaskała po włosach Dianę Smolar, która leżała na boku i ciężko dyszała. Na szczęście opuchlizna nieco znikła z jej twarzy. Recepcjonistka na policzkach wciąż jednak miała czerwone, niemal bordowe rumieńce. Od czasu do czasu charkotliwie pokasływała.

Ratownicy oraz ekipa śledcza mieli w ciągu najbliższych godzin podjąć próbę dotarcia do hotelu. Wiatr zelżał, ale jeszcze nie na tyle, by mogli wystartować natychmiast. Ryzyko było zbyt duże. Wskazania synoptyków przewidywały jednak, że wkrótce wichura wyraźnie osłabnie. Ulewa również z minuty na minutę traciła na sile. Krople deszczu waliły o szyby, ale coraz regularniej, coraz spokojniej... Pozostało liczyć na rychłą pomoc.

Herc poczuła nacisk na pęcherz. Zdała sobie sprawę, że nie była w toalecie od rana. Podniosła się z kanapy i ruszyła w stronę korytarza. Łazienki znajdowały się przed wejściem na klatkę schodową.

– Idę w ustronne miejsce – mruknęła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Halera. – Zaraz

wracam.

Wyszła z holu i skręciła w prawo. Przeszła przez drzwi z mosiężną tabliczką przedstawiającą siedzącego na nocniku aniołka. Zawsze dziwiły ją te oznaczenia damskich toalet. Przecież wszyscy aniołowie byli mężczyznami.

Podeszła do umywalki i odkręciła wodę. Opłukała twarz, strzepnęła ręce, po czym urwała listek papieru. Odwracając się, niemal na kogoś wpadła. Nim zdążyła krzyknąć, czyjaś dłoń zakryła jej usta.

– Myślałaś, że to koniec? – odezwał się szorstki głos.

Deryło kilkakrotnie zaczynał pisać esemes, a następnie kasował całą jego treść. Zastanawiał się nad pierwszym zdaniem, akceptował je i po chwili wydawało mu się głupie. Nie chciał być pretensjonalny. Nie chciał zostać odczytany jako opryskliwy, złośliwy lub choćby rozczarowany. Nie zamierzał wzbudzać w córce wątpliwości. Szanował jej decyzję i całą sytuację traktował jako rodzaj odkupienia swoich win. Halera miała rację. Sam fakt, że zdecydowała się do niego napisać, znaczył, że przełamała pierwszą granicę niechęci.

Poza tym Deryło uważał, że ma rację. Nie działał samolubnie ani zaborczo. Martwił się o Wiktoria tak, jak każdy ojciec powinien się martwić o własne dziecko. To jej bezpieczeństwo nie dawało mu spokoju. To przez wzgląd na nią patrzył na tablicę z jej imieniem i nazwiskiem wbijaną w ziemię przy nagrobku. Choć wiedział, że jest fałszywa, nigdy nie czuł się gorzej. Również dlatego, że w momencie, gdy trumna z ciałem Ewy brzęknęła o betonową wylewkę, nie miał żadnej dłoni, którą mógłby uchwycić.

Podczas pogrzebu rodzice Deryły stali kilka metrów od niego. Wspierali się o siebie nawzajem i co chwilę ocierali łzy. Komisarz wyczuł, że choć nie chcieli tego okazać, skrywają do niego urazę. Nie wiedział tylko za co. Za to, co stało się z jego bratem? Za to, że nie zginął razem ze swoją żoną?

A może domyślali się, że część tego pogrzebu to zwykła blaga. Fałszywka. Inscenizacja, która miała pomóc Deryle pokonać własne demony. Już nieraz się przekonał, że jego rodzice mają jakiś szósty lub siódmy zmysł. Ten sam, który przypisuje się bliźniakom jednojajowym. Nie chodziło o pokrewieństwo genotypu. Chodziło o krew z krwi.

W momencie, gdy obie trumny znalazły się w ziemi, Deryło odszedł. Nie czekał na ostatnią modlitwę, na to, aż grób zostanie zacementowany ani na morze kwiatów. Wkrótce miał to wszystko zobaczyć na zdjęciach.

Może to przez tę ucieczkę z pogrzebu, a może z całkiem innej przyczyny, ale przez ostatnie tygodnie rodzice odezwali się do niego tylko raz. Matka zadzwoniła z pytaniem, jak się trzyma. Zapewne chciała oczyścić sumienie. Gnębiło ją poczucie obowiązku wobec dziecka. Po trwającej maksymalnie trzy minuty rozmowie z wyraźną ulgą rzuciła kilka słów pożegnania i dotąd nie zadzwoniła ponownie. Komisarz również. Choć myślał o rodzicach każdego dnia, powstrzymywał się przed wybraniem ich numeru.

„Tak jak Wiktoria mojego” – pomyślał. Była dokładnie taka sama. Krew z krwi. Doskonale wiedział, co córka czuje i jaki ma teraz do niego stosunek. Wiedział też, że w końcu wszystko zrozumie. Czuł to. I tylko to przeczucie powstrzymywało go przed zadzwonieniem pod numer, z którego wysłano esemes. Musiał dać jej czas. Naciskając lub pospieszając, osiągnąłby efekt przeciwny do zamierzonego. Poza tym był przekonany, że Wiki sobie poradzi. Nieważne, czy będzie studiować, czy zrobi sobie krótką przerwę. Wierzył w jej rozsądek. Dla lepszego samopoczucia wsparł go przed tygodniem sporym przelewem. Miał nadzieję, że nie zlikwidowała konta, które przed laty założyli jej razem z Ewą.

– To się nazywa próba przekupstwa.

Pamiętał, jak wypowiedział te słowa do monitora. Wpisał kwotę i roześmiał się sam do siebie. A zaraz potem śmiech zamienił się w płacz. Po raz pierwszy poczuł, że zniszczył w życiu wszystko, czego dotknął. Zakazał cały świat swoim przeklętym pechem. Tym, którego nie mogły odczarować tysiące kompulsywnie składanych z papieru żurawi.

Będę czekał. Kocham Cię.

Przez chwilę chciał wykasować te zdania. Wydawały mu się głupie. Nie znosił cikliwości przez telefon. Ale w tej cikliwości wszystko było całkowicie prawdziwe. Pospiesznie nacisnął przycisk

wysyłania wiadomości. Kilka sekund później mocny powiew wiatru uderzył o szyby, a on znów stracił zasięg.

– Pójdę sprawdzić, czy u pani mecenas wszystko w porządku...

Deryło podniósł wzrok i zobaczył, że Rewera zmierza w stronę korytarza. Rzeczywiście, Herc poszła do łazienki już jakiś czas temu. Pięć, może dziesięć minut. Tworząc esemes, stracił rachubę.

– Może to po prostu grubsza sprawa? – Szewski wyraźnie liczył, że Rewera podłapie jego żart, ale ona nie zwróciła na niego uwagi. Mimo to i tak poszedł za nią.

– Zaczekajcie.

Haler ich dogoniła i pierwsza wyszła na klatkę schodową. Gdy chwilę później pchnęła drzwi do łazienki, po jej plecach spłynął lodowaty dreszcz.

– Niech to szlag!

Wszystkie kabiny były puste. Na lustrze nad umywalką Haler dostrzegła nakreślone markerem litery. AG.

– Aleksa Girkin – syknęła. – Kolejna postać z tego cholernego dramatu. Porwana, zgwałcona i zamordowana. Ja pieprzę...

Deryło rozglądał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek tropu. Nigdzie nie dostrzegł śladów krwi ani niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Anna Herc została zraniona. Istniała szansa, że wciąż żyła. Nie mieli wiele czasu, ale przynajmniej nie odnaleźli jej zwłok.

– Mówiliście, że on nie żyje! – Rewera rzuciła się na komisarza z pięściami. Płacząc, uderzyła go w ramię.

Deryło chwycił ją za nadgarstki i przycisnął do ściany. Kobieta splunęła mu w twarz.

– Banda nieudolnych idiotów! Ile osób ma jeszcze zginąć, aż zrobicie coś porządnie? Powinniście go zastrzelić! Jak cholernego psa!

Komisarz słuchał spokojnie. Otarł twarz ramieniem i spojrzał jej prosto w oczy. Nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Przez chwilę szukał właściwych słów, wreszcie zmieszany spuścił wzrok.

– Nie wiem, jakim cudem... – zaczął, ale zaraz urwał. Uznał, że nie powinien się tłumaczyć.

Rewera wciąż wierzgała. Przypominała przerażoną kilkulatkę, którą rodzice zostawili bez opieki. Dławiła się ze strachu i Deryło poczuł, że ją rozumie. Była tak różna od jego córki, a jednak rozumiał jej wściekłość.

– Proszę, niech się pani uspokoi. – Poluzował uścisk i się cofnął. – Niech wszyscy wrócą do holu. Zostawiliście tam nieprzytomną kobietę, a tu nikt nie może w niczym pomóc. Zajmiemy się tym.

– Zajmiecie? – Rewera zakaszła. Wyszarpnęła się z rąk komisarza i jeszcze raz uderzyła go w ramię. – Tak jak wszystkim do tej pory?

– Na nic więcej bym nie liczył – zawtórował jej Szewski. – Nie powinniśmy pozwolić pójść jej samej.

– A ten staruch? – Rewera nagle wypadła na korytarz. – Gdzie jest Galwer?

– Został przy recepcjonistce...

– Przecież... Mój Boże.

Deryło razem z Haler rzucili się w stronę holu. Przebiegli krótki korytarz i niemal jednocześnie wypadli za załom muru.

– To nie on – wycedziła policjantka. – To nie on.

Galwer stał oparty o blat recepcji. Z zainteresowaniem wpatrywał się w kolejne wracające do holu osoby. Zrozumiał, że znów chciano go oskarżyć. Uśmiechnął się nerwowo i przytknął palec do brody.

– O jedną mniej... – odezwał się w zamyśleniu. Zwrócił się w stronę Haler. – A skoro właściciel hotelu nie żyje, to albo był niewinny, albo dostał kolejne życie. Cud?

– Zamknij się, stary gnoju! – Rewera nie zamierzała nikomu odpuścić. Drżąc na całym ciele, rzuciła się na kanapę i zwinęła w jej rogu. Nakryła głowę dłońmi. Szewski usiadł niedaleko niej.

– Nic z tego nie rozumiem. – Deryło westchnął. – Przecież on nie mógł przeżyć. Nie ma takiej opcji...

Haler pokręciła głową. Nerwowo chodziła po korytarzu. Rozglądała się, jakby licząc na to, że morderca schował się w którymś zaułku.

– Nie przeżył. Widziałam, jak łopata klimatyzatora urywa mu głowę, a nie wierzę w zombie. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Musieliśmy coś schrzanić albo przegapić. Albo miał współnika.

– Nie ma go tu. Uspokój się!

– Był niewinny – szeptała pobudzona Haler. Nagle przygryzła wargę i sapnęła. – Miller został do tego gówna zwabiony forszą, ale zginął przeze mnie.

- Nie mów tak.
- Zaszczuliśmy go, Eryk. A on nie wyszedł ze swojej roli. Do końca wykonywał polecenia tego, kto mu zapłacił.
- Nie nadążam. O kim mówisz?
- Nie wiem. – Haler ukradkiem otarła łzę. Z trudem opanowała drżenie szczęki. – Ale chyba mam pomysł. Chyba wiem, w którym momencie to schrzaniliśmy.

Haler jak burza wtargnęła do pokoju Pollinou. Miała nadzieję, że Rewera nie wpadnie na pomysł wyżycia się na Galwerze. Zostawiła ich na dole, ale przez cały czas się obawiała, że źle zrobiła. Wolałaby mieć na wszystkich oko. Ktoś musiał jednak zostać z Dianą Smolar. I nie mogła to być tylko jedna osoba. Trzy wydawały się rozsądną liczbą.

– Co chcesz zrobić? – Deryło stanął w progu. Powiódł wzrokiem po zaschniętych plamach krwi. Wychylił się i zajrzał do łazienki. Przy zgaszonym świetle nie było nic widać. Przezornie, wciąż z poszanowaniem dla miejsca zbrodni dotknął włącznika przez mankiet.

– Przeszukaliśmy pokój Werskiego centymetr po centymetrze.

– Tak. I gówno tam znaleźliśmy.

– To fakt, nie znaleźliśmy niczego wartego uwagi. Ale przez całe to zamieszanie ten pokój obejrzelśmy tylko pobieżnie.

– Nie spodziewasz się chyba znaleźć dowodu osobistego tego, kto ich zamordował.

– Nie. – Haler jak opętana zaczęła opukiwać ścianę przy szafce nocnej. – Nie chodzi o dowód osobisty, a o to, jak się stąd wydostał.

Deryło był pełen wątpliwości. Oderwał spojrzenie od krwawych rozbryzgów na podłodze łazienki i spojrzał na Haler.

– Wiem, że bajka z drugim kluczem jest naciągana, ale mniej niż to, że znajdziesz ukryte przejście. Naprawdę w to wierzysz?

– To stary budynek. Poza tym Miller wspominał coś o tym, że interesowali się nim hitlerowcy.

– Jako potencjalnym magazynem, a nie pokojem zagadek!

Haler odsunęła szafkę i zbadła zakurzony kawałek ściany za nią. Następnie ostukała podłogę. Wciąż nakręcona, zaczęła przesuwac łóżko. Było ciężkie i przy każdym ruchu niebezpiecznie trzeszczało. Deryło bez przekonania pchnął je z drugiej strony. Oprócz kurzu i połamanego długopisu nic nie znaleźli. Wszystkie klepki były całe i z pewnością leżały na betonowej wylewce.

– To naprawdę bez sensu. – Komisarz od niechcenia odsunął szafkę nocną. Wybiegł z za niej niewielki pajak. Deryło natychmiast rozgniół go wierzchem dłoni. – Oglądając każdy zakamarek, nie pomagamy Herc. Lepiej, żebyśmy zaczęli jej szukać.

– Daj mi chwilę. Zaufaj mi.

– Ten kutas po prostu musi mieć jakiś sposób. Przeszukaliśmy cały pokój Werskiego i nie znaleźliśmy żadnego schowka ani przejścia.

– No właśnie.

– Znowu zaczynasz nadawać cholernym kodem.

Haler nie odpowiedziała. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju i przeszła do łazienki. Ostukała płytki, na których zaschła krew. Nieco rozczarowana, podniosła się, po czym zerknęła za lustro. Dokładnie obejrzała ramę, odciągnęła ją od ściany i westchnęła.

Nagle jej uwaga skupiła się na wywietrzniku. Zamontowana nad sedesem archaiczna konstrukcja składała się z plastikowej kratki oraz wiatraczka napędzanego siłą ciągu. Kołnierzyk wywietrznika był kwadratem o boku czterdziestu kilku centymetrów.

– Podsadź mnie. – Haler wyciągnęła dłonie, ale ledwie dosięgnęła jego krawędzi. – Musieliśmy coś przegapić. Nie ma innej możliwości.

– Starasz się zaczarować rzeczywistość.

– Nie. Dopasowuję rzeczywistość do faktów. Podsadź mnie, proszę.

– Chcesz obejrzeć zardzewiałą rurę?

Deryło sapnął, ale posłusznie chwycił Haler w pasie. Bez większego wysiłku uniósł ją tak, że mogła sięgnąć do wywietrznika. Podkomisarz szarpnęła go i z łatwością wyjęła ze ściany.

– Mamy to! Popatrz.

Metalowa rura miała średnicę wystarczającą do tego, by wczłgał się do niej sprawny mężczyzna. Może nie Deryło, ale ktoś lżejszy i w o parę numerów mniejszym rozmiarze koszuli nie powinien mieć z tym problemu. Kurz i brud były rozarte. W świetle latarki Haler wyraźnie widziała ślady dłoni. Okrytych rękawiczką, ale to się teraz nie liczyło. Było widać, że właśnie tą drogą zabójca wyszedł z pokoju Pollinou, a prawdopodobnie również się do niego dostał.

Haler podciągnęła się i zaparła łokciami o krawędź wypustu. Z lekką pomocą Deryły wczłgała się do szybu wentylacyjnego. Jej twarz natychmiast owiało zimne, wilgotne powietrze.

Komisarz niecierpliwie zabębnił palcami w ścianę. Wreszcie stanął na palcach i chwycił skraj rury.

– Czekaaj, pójdę z tobą.

– Nie przecisniesz się.

Deryło zaklął. Wiedział, że Tamara ma rację. Mimo to podskoczył i podciągnął się, by zerknąć w głąb wywietrznika. Haler była już kilka metrów dalej.

Szyb wentylacyjny ciągnął się na tym odcinku w poziomie. Nieco dalej zaginał się pod kątem prostym i zapewne ostro opadał w dół. Albo biegł dokoła łazienki, a następnie łączył się z rurą w kolejnej z nich. W ten sposób można by się przemieszczać między pokojami gości bez otwierania drzwi. Zapewne nikomu z projektantów nie przyszło to do głowy. Deryło wątpił też, by zakład ubezpieczeń ze względu na to rozwiązanie podniósł wysokość składki. Nikt o zdrowych zmysłach nie pakowałby się do tak wąskiej rury. Haler stanowiła oczywisty wyjątek. Ale sam, gdyby nawet jakimś cudem wcisnął się do szybu, zapewne spanikowałby przez panującą w nim ciasnotę.

– O fuj! – Głos policjantki poniósł się echem. Ona sama zniknęła za rogiem, Deryło widział już tylko poświatę latarki na odcinku przed sobą.

– Co się stało?

– Są tu padnięte ptaki. Jedne zmumifikowane, a inne jeszcze się rozkładają. Pełzają po nich obrzydliwe larwy.

– Nie dotykaj ich.

– O to się nie martw.

Deryło usiadł na podłodze pod wywietrznikiem.

– Skoro są tam ptaki, to szyb musi prowadzić na dwór i mieć spory wlot – odezwał się, choć nie sądził, by to przekonało Haler. – To labirynt. Bez sensu będziesz traciła czas, a jeszcze, nie daj Boże...

W tym momencie nad głową komisarza rozległ się huk. Deryło zerwał się na równe nogi i po chwili zobaczył wysuwające się z rury stopy. Trampki Haler były całe oblepione tłustym brudem. Nogawki jej spodni pokrywały kurz i plamy.

Komisarz pomógł jej wydostać się z szybu i zejść do łazienki. Tamara otarła pot z czoła. Jej oczy skrzyły się z podekscytowania.

– Cieszę się, że się mnie posłuchałaś i zawróciłaś.

– Właściwie to nie ty mnie przekonałaś.

– To zasługa zdechłych ptaków?

Haler postukała się palcem w skroń.

– Logiki – powiedziała, marszcząc brwi. – To tylko kwestia logiki i tego, że szyb wentylacyjny w pokoju Werskiego był znacznie węższy. Pamiętam tamtą kratkę.

Deryło wzruszył ramionami.

– I co z tego? Ważne, że mamy potwierdzenie, że sukinsyn nie przenika przez ściany.

– Nie, nie. – Podkomisarz pobieżnie otrzepała spodnie i ruszyła do wyjścia. – Nie w tym rzecz. Skoro z tego pokoju była możliwość wyjścia inaczej niż przez drzwi, a w drugim takiej możliwości nie było, rozwiązanie jest tylko jedno.

Komisarz plasnął się dłonią w czoło. Wywód Halera był pokrętny, ale bezwzględnie logiczny.

– Brak wspólnego elementu, he? – zagaił, wypadając za nią na korytarz.

– Właśnie. Brak wspólnego elementu. Chodź.

Deryło zacisnął pięści i wyprzedził ją. Jego ciężkie kroki dudniły na posadzce.

– Już rozumiem, o co ci chodzi. Chyba przyzwyczałem się do tego cholernego kodu.

WCZEŚNIEJ

Chłopiec dorósł, ale nie zapomniał. Spieniężenie wszystkich wyniesionych przez niego z salonu jubilerskiego przedmiotów zajęło jej prawie pięć lat. Była ostrożna. Jeździła po Polsce, udawała się do lombardów w różnych miastach. Część biżuterii oddała do skupu złota. Część sprzedała za pośrednictwem znajomych i znajomych znajomych. Tyle, ile mogła, przewiozła na sobie podczas wyjazdów do Maroka, Tunezji i Egiptu. Tam pozbyła się najbardziej charakterystycznych rzeczy. Arabscy handlarze o nic nie pytali, ale targowali się tak długo, że miała dość. Zawsze się jej wydawało, że sprzedając im coś za pół ceny, popełnia błąd. W końcu aby zdobyć każde z tych cholernych świecidełek, poświęciła całe lata życia. O chłopcu w ogóle nie myślała w kategoriach poświęceń.

Raz w bardzo ostrzych słowach przerwała wywód egipskiego kupca o tym, że oferuje jej najlepszą cenę ze wszystkich na kairskim targowisku. Jego łamany angielski doprowadzał ją do furii. Jego natręctwo, lizusostwo i cwane oczka dosłownie wyprowadzały ją z równowagi.

Mężczyźni nie byli jej do niczego potrzebni.

Dziecko, które chciała, po prostu sobie wzięła.

Urządzała świat pod siebie i zgodnie ze swoimi regułami.

Gdy Arab podniósł na nią głos, bez zastanowienia dała mu w twarz. Z całej siły i dokładnie w kość jarzmową. Skończyło się szarpaniną, kilkoma siniakami oraz trzema godzinami, które spędziła na komisariacie policji. Jej noga już nigdy nie powstała w Egipcie. Ostatnie siedem pierścionków z brylantami oraz kilka par platynowych kolczyków sprzedała lwowskiemu jubilerowi. Ten też o nic nie pytał, zapłacił jej od ręki w dolarach i dorzucił garść ukraińskich cukierków oraz wódkę. Od początku powinna zająć się interesami na Wschodzie. Nawet na Dalekim Wschodzie. W Tajlandii bez problemu sprzedała dwa zegarki za prawie trzydzieści tysięcy dolarów. Gotówkę ukryła i latała po nią cztery razy. Tak było bezpiecznie. Nikt o nic jej nie podejrzewał.

Wreszcie nadszedł dzień przeliczenia chowanej w dwóch polskich schowkach forsy. Pięć walut, kilka tysięcy banknotów i parę uncjowych sztabek złota, które kiedyś otrzymała w zamian za pierścionki zaręczynowe. Wszystko upchnięte do walizki na kółkach oraz sportowej skórzanej torby, którą nosiła przerzuconą przez ramię. Właśnie tyle miejsca zajęła równowartość prawie półtora miliona złotych.

– Jesteśmy urzędzeni! – krzyknęła do chłopca i mocno go do siebie przytuliła. Po raz pierwszy i ostatni zarazem.

Dotrzymała słowa. Już nigdy nie zmusiła go do oglądania swojego ulubionego dramatu. Dramatu, który stworzył ją, życie jej i życie chłopca. Zamiast tego przynosiła mu książki, gry komputerowe i płyty z muzyką. Pieniądze pozwoliły załatwić formalności. Przynosiła go, zmieniając całkowicie historię jego życia. Został niemowlakiem oddanym kilka dni po narodzeniu do jednego z „okien życia”. Stracił historię, rodziców, nazwisko i imię.

Ale chłopiec pamiętał.

Wydatek związany z przysposobieniem i uregulowaniem ich sytuacji prawnej był jednym z większych, na które kobieta pozwoliła sobie przez wiele lat po przeliczeniu gotówki. Była bardzo ostrożna i bardzo cierpliwa. Realizowany przez tyle lat plan nie mógł zostać zniszczony przez pośpiech. Co kilka miesięcy wpłacała na któreś z trzech kont niewielkie kwoty. Odkładała je na oprocentowane rachunki, zakładała lokaty, kupowała bezpieczne akcje. Żyła i utrzymywała chłopca z pensji nauczycielki baletu. Może nie była dobrą aktorką, może była świrnięta i nie nadawała się do szkoły teatralnej, ale balet był jej pasją. Prawie tak potężną, jak dramaty Aleksiego Michalkina.

Czasem żałowała, że nie zamordowała chłopca. Patrząc na niego, bała się, że kiedyś ją zdradzi. Że odżyją w nim wspomnienia i chęć buntu. Mimo to coś ją powstrzymywało przed działaniem. Dwa

razy dodała truciznę do jego posiłku i dwa razy, nim zaczął jeść, dania trafiały do kosza. Chciała go udusić we śnie, zadźgać albo utopić, ale nie potrafiła. Zastanawiała się, czy przypadkiem lata życia z nim nie rozbudziły w niej uczuć macierzyńskich. Wstydziała się ich. Przyłapała się na tym, że któregoś dnia przez kilka godzin przez kamerę obserwowała, jak chłopiec bawi się żołnierzami. Patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność. Jeszcze rok czy dwa wcześniej bez mrugnienia okiem poderznęłaby mu gardło, a nagle stał się dla niej kimś bliskim. Kimś, z kim łączyła ją wielka tajemnica.

I braterstwo krwi.

Chłopiec okazał się zaskakująco zdolny. Dzięki niej był niesamowicie wygimnastykowany, ale także zdumiewająco łatwo chłonął każdą wiedzę. Kobieta wiele razy się zastanawiała, kim byli jego rodzice. Gdy planowała jego porwanie, liczyła się dla niej tylko ich postura. Reszta była nieistotna, a to, że ich zamordowała, stanowiło przypadek. Plan zakładał jedynie uprowadzenie chłopca, ale w trakcie realizacji pomyślała o kolejnych scenach *Jesieni ludzkości*. O urządzaniu świata pod siebie i wyrwaniu się z kontroli społecznych reguł. Zrobiła to tylko raz, ale uczucie panowania nad światem, władzy i potęgi, jakie temu towarzyszyło, było warte każdego ryzyka. To zadowolenie wystarczyło jej na całe życie.

W dniu symbolicznych, czterdziestych czwartych urodzin kobieta kupiła sobie elegancką wsuwkę do włosów. Przez ostatnie lata pozbyła się niemal całej biżuterii i ta drobna rzecz sprawiła jej mnóstwo przyjemności. Wsuwka była emaliowaną w złote i czarne pasy osą, z której odwłoku wystawało blisko trzycentymetrowe srebrne żądło.

– Podoba ci się? – zapytała chłopca, który nie był już chłopcem.

Stał się nastolatkiem, a potem młodym mężczyzną. Teraz spojrział na nią pozbawionymi blasku ciemnymi oczami i potarł zarosnięty podbródek. Przez moment na jego twarzy pojawił się grymas wściekłości. Czasem wystarczy jeden bodziec, by zmobilizować do podjęcia najtrudniejszej decyzji.

Przez głowę mężczyzny przeleciało bardzo odległe i zamazane wspomnienie. Przed oczami zamajaczyła mu szczołka w kształcie owada, którą uderzał o puszysty dywan. A potem zobaczył siedzącego na wózk inwalidzkim, podobnego do siebie mężczyznę z poderzniętym gardłem. Twarz matki stanowiła białą plamę. Mimo że tak starannie pielęgnował w sobie jej obraz, z biegiem lat zacierał się on, a wreszcie stał się pozbawioną indywidualnych rysów maską. Maską przerażonej, walczącej o życie syna kobiety.

Obezwładnienie przyszywanej matki nie było dla niego żadnym problemem. Wieloletnia cierpliwość się opłaciła. Całkowicie pozbawił ją czujności i dzięki temu od razu zyskał przewagę. Resztę miał przygotowaną od dawna. Liny, plastikowe zapinki, knebel zakupiony w sex shopie.

– Mamy urządzać świat pod siebie, prawda? – zapytał, gdy skrzepowana kobieta wiała się na podłodze. – Mamy działać tylko dla swojego dobra? Odpowiadaj!

Kopnął ją w brzuch i wściekle parsknął.

– Zła odpowiedź! Tak czy nie?

Leżąca pokiwała głową. Jej oczy nabiegły krwią, a żyły na jej skroniach się uwypukliły.

– T... Tak.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Mężczyzna wziął ją na ręce i zaniósł tam, gdzie trzymała go przez całe tygodnie. A może były to miesiące? Rok? Lata? To było tak dawno, a pamiętał każdy milimetr piwnicy. Stary telewizor stał ciągle w tym samym miejscu. W rogu leżały jego nocnik i metalowe miski, z których jadł. Zielony dywan obrósł kurzem.

Położył kobietę na kanapie i zdarł z niej bluzkę. Popatrzył na białą koronkowy stanik kryjący niezbyt obfite piersi. Wyciągnął z kieszeni zdobioną wsuwkę do włosów.

– Wiesz, zawsze chciałem zobaczyć, jak człowiek wygląda od środka. Pamiętasz tę scenę tego gównianego dramatu? – Mężczyzna odchrząknął i zmienił głos. – „Zewnętrznie możemy być zdeformowani i brzydzy. Liczy się to, byśmy w środku podobali się samym sobie”. Co za bzdury.

Wbił wsuwkę wprost w pępek kobiety. Żądło go przebiło i wbiło się w trzewia. Jego przybrana matka zadrżała, wierzgnęła nogami, ale krępujące ją liny były zawiązane zbyt mocno, by mogła się

bardziej poruszyć. Zza knebla dobył się stłumiony jęk.

Mężczyzna wcisnął całą wsuwkę w jej pępek. Aby to zrobić, musiał się zaprzeć obiema rękoma. Zdobiony przedmiot z plaśnięciem zniknął w czeluściach trzewi. Z rozcięcia zaczęła wypływać krew. Mężczyzna pochylił się i włożył w nie palec. Naprężył mięśnie tak, jak wiele razy kazano mu podczas ćwiczeń. Poprawił sylwetkę. Wydał pierś. Zaczerpnął tchu i z całej siły naparł na przebity pępek. Dziura powiększyła się, skóra kobiety naderwała, a ciśnienie wypływającej krwi – gwałtownie się zwiększyło.

Z rany trysnęła karmazynowa fontanna. Obryzgała twarz mężczyzny, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi. Gołymi rękoma rozrywał krawędzie rozcięcia. Nagle zanurzył w jej brzuchu całą dłoń. Czuł pulsowanie organów, ciepło omywających je płynów i być może po raz pierwszy zrozumiał, co w swojej sztuce chciał przekazać Michałkin.

– Czynić dla własnego dobra – odezwał się, kryjąc uśmiech. – Krew z krwi. Krew z krwi.

Chwycił wsuwkę do włosów i wyjął ją spomiędzy trzewi. Wytarł ją o nogawkę spodni, po czym schował do kieszeni. Spojrzał na twarz leżącej. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Dostrzegł w nich całkowite zdumienie.

Pomyślał o kolejnych bohaterach sztuki. Pamiętał każdą jej sekundę. Przez wiele lat obmyślał zemstę. Ale był cierpliwy. Tego nauczyła go ta kobieta. Był bardzo cierpliwy. I postanowił tym, którzy zgodzili się pojawić w makabrycznym świecie Michałkina, odebrać bliskich.

Tak jak odebrano najbliższych jemu.

Deryło włożył klucz do zamka. Napiął mięśnie, szykując się na odparcie ewentualnego ataku. Skinął do Haler, by wpisała kod. Przy niej nawet nie zawracał sobie głowy próbą zapamiętania ciągu cyfr.

Po chwili zamek odskoczył i komisarz pchnął ciężkie drzwi chłodni. Światła zapaliły się automatycznie. Deryło odczekał jeszcze kilka sekund, po czym, przygotowany na najgorsze, wszedł do środka. Uważnie powiódł spojrzeniem po okrytych workami ciałach, lodówkach, półkach na owoce i warzywa, wreszcie rozluźnił mięśnie i zrobił krok do przodu.

– Nikogo.

Dał znać, że Haler może wejść za nim. W tym momencie jego uwagę zwróciła zaparowana pokrywa jednej z komór chłodniczych. O ile generator znów działał i nic się nie roztapiało...

Deryło nie dokończył tej myśli. Jednym susem znalazł się przy chłodni. Przejechał dłonią po szklanej tafli, ta była zaparowana od środka. Przez chwilę szukał uchwyty. Wreszcie silnym pchnięciem przesunął szybę i zajrzał do wnętrza komory.

– Ja pieprzę...

Anna Herc leżała na boku. Miała spętane nogi i ręce, a jej twarz pokrył szron. Jej włosy wyglądały jak różgi wręczone dzieciom na święta. Jej kształtne usta przybrały fioletowy kolor.

Deryło nachylił się i ostrożnie chwycił kobietę pod pachy oraz kolana. Uniósł ją delikatnie, odrywając ubranie od paczek z mrożonkami. Kilka z nich odbiło się od szklanej tafli i spadło na podłogę.

Komisarz położył Herc obok komory chłodzącej. Pospieszenie, niemal ją rozrywając, zdjął z siebie marynarkę. Rozprostował ją i okrył poszkodowaną. Haler klękła przy niej, sprawdzając puls.

– Żyje. Serce pracuje wolno, ale jeszcze działa. Walczy...

Prawniczka delikatnie otworzyła oczy i poruszyła ustami. Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Deryło położył dłoń na jej skostniałej z zimna ręce.

– Spokojnie, niech teraz nic pani nie mówi. Jesteśmy tu. Już wszystko w porządku.

Herc przymknęła oczy, a z jej ust znów dobiegł niezrozumiały szept. Bardzo się starała im coś powiedzieć.

– Nie rozumiem. – Haler bezradnie rozłożyła dłonie. – Niestety, nie rozumiem.

Deryło zmienił pozycję i zaczął energicznie rozmasowywać ręce Herc. Nie wiedział, czy robi to prawidłowo, ale z jakiegoś szkolenia pamiętał, że w takich sytuacjach najważniejsze jest przywrócenie prawidłowego krążenia. Haler delikatnie rozmasowywała kobiecie mięśnie nóg.

Prawniczka znów otworzyła oczy. Koniuszkiem języka przeciągnęła po ustach. Zaczęła niezrozumiale bełkotać. Deryło zerknął na Haler i ciężko sapnął. Mimo wysiłku włożonego w masaż zrobiło mu się piekielnie zimno. Miał wrażenie, że z sekundy na sekundę temperatura w pomieszczeniu drastycznie spada.

– Musimy ją stąd wynieść – odezwał się do Tamary. – Biegnij po koce, a ja pójdę z nią za tobą.

Haler bez słowa się podniosła i pospiesznie ruszyła do drzwi. Herc nieznacznie pokręciła głową.

– Aee shsą...

– Nie ma gadania. Na to będzie czas później. – Komisarz wziął ją na ręce i ruszył za Tamarą w stronę wyjścia. – Musimy panią jak najszybciej czymś okryć. W holu na kanapach były koce. Zaraz się tam...

Jego słowa zagłuszyło trzaśnięcie drzwi chłodni. Po chwili rozległ się dźwięk wybieranego kodu i przekręcanego klucza. Ktoś ich zamknął.

Deryło, wciąż trzymając Herc, dopadł do niewielkiego okienka w drzwiach chłodni. W tym samym momencie ktoś zasłonił je czarną folią.

– Co, do...

– Proszę się uspokoić, komisarzu – odezwał się umyślnie zniekształcony głos. Ktoś modulował go z wprawą aktora teatralnego. – Komisarz Haler jest tu ze mną. Dzieli nas tylko ta foliowa kurtyna, prawda?

Deryło nie odpowiedział. Ułożył Herc przy ścianie i chwycił za mechanizm awaryjnego otwierania drzwi od środka. Szarpnął, ale ten nie zadziałał. Szarpnął raz jeszcze. Tym razem metalowa zasuwka oderwała się i została mu w dłoni.

– Pozwoliłem sobie nieco pomajstrować. – Głos dobiegał tuż zza drzwi. – Zależało mi na tym, aby już nikt nie wyszedł ze środka. Przynajmniej o własnych siłach.

Komisarz usłyszał jęk Haler. Odgłosy krótkiej szarpaniny zakończyło głuche uderzenie.

– Nawet to nie przekona pani, żeby się uspokoić?

Tamara wściekle fuknęła.

– On ma cezetkę – uprzedziła Deryło. – Bez dwóch zdań naładowaną.

– Pani podkomisarz ma pełną rację. Szesnaście naboju czeka w pogotowiu.

Deryło walnął pięścią w metalowe drzwi. Nie miał szans, aby je wyważyć. Popatrzył na solidne zawiasy i zrezygnowany zwiesił głowę.

– Czego chcesz?

– Właściwie mam już wszystko. Zabawa zbliża się do końca. Ale chcę te ostatnie minuty wykorzystać naprawdę dobrze. – Mężczyzna odchrząknął. – Na początek może łatwa gra?

– Pozwól stąd wynieść tę kobietę. Ona zaraz umrze.

– Właśnie po to ją włożyłem do zamrażarki, komisarzu. I właśnie dlatego skrzyłem temperaturę chłodni do najniższego możliwego poziomu. Minus dwadzieścia jeden stopni. Czuje to pan? Jeszcze niedawno było tam ponad dwadzieścia stopni więcej.

Deryło uświadomił sobie, że szczęka zębami z zimna. Rzeczywiście, temperatura w pomieszczeniu wciąż się obniżała. Zatarł dłonie i kucnął przy Herc. Podniósł jej głowę, po czym zaczął rozcierać policzki. Kobieta oddychała, ale zaczynała tracić przytomność. Deryło dałby teraz wszystko, żeby generator prądu trafił szlag.

– Jeżeli pan zgadnie, kim jestem, to wstrzymam się z zastrzeleniem podkomisarz. Przynajmniej na chwilę. Ale ma pan tylko jedną szansę. Kurtyna zaraz opadnie. A pani niech nie podpowiada!

Mężczyzna zachichotał.

– Liczę do trzech. Trzy sekundy zabawy to naprawdę mnóstwo frajdy.

– Nie waż się...

– Trzy.

Deryło podniósł się i, trzęsąc się z zimna, podszedł do zawiniętych w worki zwłok. Właściwie Haler już w drodze do chłodni rozwiąta jego wątpliwości. Mimo to chciał się upewnić.

– Dwa.

Komisarz szarpnął worek, którym okryli ciało Werskiego.

– Jeden.

Zimna logika Halera była skuteczna do bólu. Rozumowanie zero-jedynkowe w tym przypadku nie zostawiało marginesu błędu. Odkryli możliwość wyjścia z pokoju Pollinou przez szyb wentylacyjny, co sprawiło, że wszystko stało się jasne. Zawsze należało brać pod uwagę najprostsze rozwiązania. Wyeliminować najmniej prawdopodobne teorie tak, by została tylko jedna opcja. Te wpajane na szkoleniach zasady w zderzeniu z rzeczywistością trafiał szlag. Haler miała jednak zaskakującą umiejętność dobrania się do sedna sprawy jak do mięszu owocu. Tym razem zajęło jej to naprawdę dużo czasu, może nawet zbyt dużo, ale finalnie i tak się jej udało. A potem z rytmu wybiło ją odnalezienie ledwo żywej Anny Herc.

Komisarz rozchylił worek i spojrział na zawinięte w niego bale worków foliowych i opakowań z produktami spożywczymi. W miejscu, gdzie powinna być głowa Werskiego, znajdowała się upiorna czarna maska. Dziury zamiast oczu zdawały się z niego kpić.

– Jest pan w ogóle lekarzem? – zapytał Deryło. – Czy to kolejna rola?

Po drugiej stronie drzwi rozległ się stłumiony śmiech. Okrywająca szybę czarna folia opadła. Komisarz podniósł się i naprzeciwko siebie zobaczył twarz Tymona Werskiego.

– Zastanawiałem się, czy nie wystąpić w masce – odezwał się mężczyzna. – Ale, do licha, zapomniałem, że zostawiłem ją przy własnym trupie.

Stał kilka kroków od Halera i mierzył w nią pistoletem o kalibrze dziewięciu milimetrów. Wszystko było absolutnie jasne. Już dawno mogli powiązać szczegóły, które nie pasowały do reszty. Tymczasem łudzili się, że to sprawca popełnił błąd. Omamiła ich własna pycha.

Smolar nie zginęła tylko dlatego, że zabójca nie chciał, aby po raz kolejny zajrzeli do chłodni. Wolał nie ryzykować. Już wcześniej Haler zauważyła, że ciało Werskiego zmieniło pozycję. Starła się ułożyć dokładnie tak, jak wcześniej, a mimo to uznała, że ktoś przesunął zwłoki.

– Studiowałem medycynę. Krótko, bo krótko, ale pracowałem na żywych organizmach. – Werski wzruszył ramionami i wolną dłonią pogroził Halera. – Niech paniusia nic nie kombinuje, bo skończy z dziurą w głowie. Mówię śmiertelnie poważnie.

Policjantka obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Ci wszyscy ludzie... – odezwała się zimno. – Chciałeś ich zabić, żeby cierpieli ich bliscy? Aktorzy, przez których ktoś cię skrzywdził?

– Ktoś odebrał mi życie. Bo ci idioci zgodzili się wystąpić w kontrowersyjnym, idiotycznym show. Rozumie pani, że nikt nie chciał go wyemitować? Ale trafił się jakiś pieprzony idiota, który uznał, że kontrowersyjne znaczy dobre. Że przyciągnie publikę, a publika – pieniądze.

– Stąd te lusterka. Chciałeś, żeby przed śmiercią jeszcze raz się w nich przejeździ. Żeby stali się widzami własnej śmierci, jakby byli po drugiej stronie ekranu.

Werski się wzdygnął. Żyła na jego czole się uwypukliła, a po skroni ściekła kropla potu.

– To ja byłem po drugiej stronie ekranu – wycodził. – Rozumiesz? Przez te wszystkie lata byłem tylko aktorem, który w prawdziwym życiu musiał odgrywać rolę. A potem ta pinda chciała ze mną pogrywać w jakieś psychologiczne gierki i kupiła wsuwkę do włosów identyczną jak szczotka mojej matki.

– Ta pinda? – dopytał Deryło. – Twojej matki? Chyba brakuje nam części historii...

– To nie jest talk-show z wyznaniem, panie komisarzu.

Haler doskonale wiedziała, że Deryło stara się grać na czas. Ułożyła we właściwym miejscu już większość puzzli, mogła więc improwizować.

– Zostałeś porwany? – zagadnęła. – Wiele lat temu zabrano cię od matki i ktoś chciał cię wychować jak własne dziecko? Podejrzewam, że wzorując się na schematach z Michałkina. Mam rację?

Werski wściekle poruszył szczęką. Jego nozdrza rozszerzyły się jak u gotującego się do ataku

byka.

– Nie mam żadnego zdjęcia rodziców. Przez wszystkie lata starałem się zapamiętać ich twarze, ale teraz są tylko złudzeniem. Nawet jeżeli widzę ich rysy, nie wiem, czy po prostu któregoś dnia mi się tacy nie przyśnili.

– Pomożemy ci ich odnaleźć. Zrobimy wszystko, aby...

– Są martwi. – Werski pokręcił żałośnie głową. – Martwi ludzie nie mają rysów ani wspomnień.

Ale można ich pomścić.

– Tyle że żadne z tych ludzi nic ci nie zrobiło! Zabiłeś całkowicie niewinne osoby!

– Oni mnie nie interesują. To ich bliscy będą cierpieć tak, jak ja cierpiałem. A ci tutaj jedynie pozwolili przekupić się forszą, którą się brzydzą. Nawet recepcjonistka, której ojciec sponsorował tamto cholerne przedstawienie.

Werski zamilkł. Pochylił głowę, nasłuchując. Ktoś musiał się zbliżyć, ale przez drzwi Deryło nie słyszał kroków. Czuł lodowate zimno. Zaczął tracić czucie w dłoniach, a policzki paliły go, jakby przykładano do nich rozżarzone węgle. Mimo to zdjął koszulę i ostrożnie owinał nią głowę Herc. Pozostawił jedynie niewielki otwór na nos oraz usta.

Zerknął na okienko. Werski cofnął się o krok i odwrócił w stronę korytarza prowadzącego do pomieszczenia, w którym przed kilkoma godzinami znaleźli Dianę. Uśmiechnął się. Uniósł pistolet i wycelował. Haler poruszyła się, na ułamek sekundy przyciągając jego uwagę.

– Niech pani ucieka! – wrzasnęła. – On ma broń!

– Za późno! – Werski wystrzelił w powietrze. Huk strzału poniósł się echem po zakamarkach hotelu. – Nie próbuj być szybsza od kuli, skarbie. I chodź tutaj. – Mężczyzna zgiął palec lewej ręki. – Chodź, chodź. Miałaś być następna w kolejce.

Po chwili Deryło zobaczył przerażoną Magdalenę Rewerę.

– Myślisz, że twoja matka będzie płakała? Aktorki potrafią płakać na zawołanie, ale ona naprawdę bardzo cię kocha. Może na twój pogrzeb przyniesie jedną z tych swoich kretyńskich lalek? Lubiłaś się nimi bawić. Pamiętasz?

Werski stanął obok Rewery i położył jej dłoń na ramieniu. Drugą mierzył z pistoletu w Haler. Właścicielka salonów fryzjerskich zaczęła dygotać na całym ciele, a po chwili Deryło spostrzegł, że jej zwieracze nie wytrzymały. Strużka moczu spłynęła po wewnętrznej stronie nogawki jej spodni.

Komisarz wściekle uderzył w drzwi.

– Puść ją, gnoju! Nie wstyd ci?! – krzyczał, gdyż nie mógł zrobić nic więcej. – Tylko największe zero może się pastwić nad bezbronną kobietą. Rozumiesz? Jesteś śmieciem!

– Jesteś śmieciem! Rozumiesz? – przedrzeźnił go Werski. Niemal idealnie naśladował głos komisarza. – Jesteś śmieciem!

Deryło ciężko oparł się o ścianę i zerknął na okienko. Włożył dłonie pod pachy, ale przy każdym ruchu miał wrażenie, że w jego mięśnie wbito stalowe pręty, i to pełne haków. Z coraz większym trudem utrzymywał koncentrację.

– To ty naśladowałeś krzyk Pollinou – wycedził.

– Wszyscy sobie wmówili, że to jej krzyk. Raczej nie zrobiłem tego zbyt dobrze.

– Sukinsyn. A ja uwierzyłem, że jesteś martwy.

Werski przestał się uśmiechać. Nagle jego twarz przybrała całkiem poważny wyraz. Poruszył się, mierząc na zmianę w Haler i Rewerę.

– Proszę się nie obwiniać – szepnął. – W tych sprawach mylą się nawet lekarze. A żeby nie było zbyt łatwo, nie użyłem sztucznej krwi. Pożyczyłem tę najprawdziwszą, od Pollinou. To właśnie dlatego musiałem uszkodzić jej tętnicę. – Werski rozejrzał się, obserwując ich reakcje. Po chwili mówił dalej: – Rozcięcie brzucha to łatwa sztuczka, lecz doprowadzenie się do stanu krótkotrwałej śmierci było ryzykowne. Ale czego się nie robi, aby wczuć się w rolę, prawda?

– Nie wyczułem pieprzonego pulsu.

– Środki, które w odpowiedniej dawce spowalniają pracę serca do stanu wykrywalnego tylko przez aparaturę, można dostać w każdej aptece. Sztuczka polegała na tym, aby nie przesadzić. – Werski powiódł wzrokiem od Haler do Rewery. Najwyraźniej szukał uznania w ich oczach, ale w końcu niedbale machnął ręką. – Dobra. Czas kończyć.

– Czekaj!

– Nie mam na co czekać, komisarzu. Właśnie wziąłem sprawy w swoje ręce.

Deryło ledwie się trzymał z zimna. Z chęcią usiadłby teraz na podłodze, zamknął oczy i pozwolił umysłowi odpłynąć. Mimo to wykrzesał z siebie resztkę sił. Wiedział, że jedyna szansa tkwi w grze na czas. Każda sekunda zwiększała prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Wtedy Haler mogłaby... Myśl mu umknęła.

– Mówiłeś, że gdy zgadnę, kim jesteś, nikogo nie zabijesz – wydyszał, szcękając zębami.

Werski pokręcił głową. Zrobił krok do tyłu i wymierzył w Rewerę. Kobieta skuliła się nad plamą własnego moczu.

– Powiedziałem, że jeśli zgadnie pan, kim jestem, zyska pan trochę czasu. Skoro przyjechaliście do tego hotelu, to wasz pech zdecydował za was. Pozostaje mi znaleźć starego Galwera. Ale ten pierdoła i tak nie ma dokąd uciec. No i ten gnojek, malarzyna...

– Nie rób tego! Myślisz, że zabijając ich, poczujesz ulgę?

– Ich bliscy będą cierpieć tak, jak ja cierpiałem. Naprawdę muszę się powtarzać?

– To nie ma...

– Już czas, komisarzu.

Werski zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Uśmiechając się, nacisnął spust dokładnie w momencie, gdy Haler rzuciła się, by osłonić Rewerę. Dwukrotnie wystrzelili prosto w jej pierś.

– Ty skurwysynu! Ty gnoju!

Deryło nie kontrolował swojego zachowania. Wszystko rozgrywało się jakby poza nim. Był tylko obserwatorem własnego przerażenia, furii i bezradności. Miał świadomość, że bezsensownie, opętańczo wali w stalowe drzwi, że uszkadza o nie kości dłoni, rozcina skórę i kruszy kłykcie, ale nie potrafił się powstrzymać. Jego ciało działało poza kontrolą umysłu.

W zwolnionym tempie widział Halera upadającą niczym szmaciana lalka na podłogę. Rejestrował, jak podkomisarz obraca się na bok, podkula nogi i drży spazmatycznie. Jej dłoń powędrowała ku piersi, ale zaraz opadła. Chciała odwrócić głowę. Udało się jej tylko nieznacznie drgnąć. Być może ostatecznie spojrzenie pragnęła skierować właśnie na Deryłę, ale zabrakło jej sił. Zadrżała raz jeszcze, a następnie zastygła w bezruchu. Rozrzucone w nieładzie włosy zasłoniły jej twarz.

– Ty śmieciu!

Komisarz raz po raz walił pięścią we wzmacnianą szybę. Nie miał szans, aby ją przebić. Po szklanej tafli spływały strużki jego krwi. Mimo to nie czuł bólu.

Znalazł się w stanie zawieszenia pomiędzy świadomością a brakiem przytomności. Czas zwolnił i wszystkie bodźce straciły moc. Nie czuł już zimna. Nie czuł skostniałych mięśni ani blokujących się stawów.

Z impetem rzucił się barkiem na drzwi. Te zadrżały, lecz nie ustąpiły.

– Ty sukinsynu! Zabiję cię!

Ponowił bezsensowny atak jeszcze kilka razy. Wreszcie bezwładnie osunął się na podłogę i zwinął w kłębek. Z oczu płynęły mu łzy. Jego ciało drżało, lecz nie był tego świadom. Osuwał się w niemą apatię. Kątem oka dostrzegł poruszającą się coraz wolniej pierś Herc. Jego marynarka nie była w stanie jej rozgrzać. Oddałby za nią życie, zgodnie ze słowami policyjnej przysięgi, lecz nie mógł zrobić nawet tego. Jego życie nie miało żadnego znaczenia. Było całkowicie bezwartościowe.

Przegrał.

Po raz kolejny poniósł porażkę. Przed oczami przesunął mu się ciąg żurawi origami, które układał niemal przez całe życie. Nie żeby wierzył w przesady. Figurki stanowiły sposób na uporządkowanie emocji. Na ucieczkę od niepotrzebnych myśli. Czasem, choć nigdy się do tego nie przyznał, dodawały mu złudnej nadziei.

Żurawie origami odezwały się klangorem. Wzbiły się w powietrze, trącając Deryłę skrzydłami. Biły go po twarzy, jakby chciały go ocucić. Ich wrzask wrył się w jego umysł i pobudził do ostatecznego wysiłku.

Nie wiedząc po co, komisarz podniósł się na kolana. Zatoczył się, ale udało mu się stanąć. Chwytał się framugi i zerknął przez okienko. Werski wciąż stał w tym samym miejscu. Powoli opuścił broń i popatrzył na komisarza. Jego spojrzenie było całkowicie puste.

Minął skuloną z przerażenia Rewerę i podszedł do Halera. Wyciągnął dłoń, by sprawdzić jej puls.

– Zdaje się, że lepiej się znam na stwierdzaniu zgonów niż wy. – Uśmiechnął się i dotknął jej szyi.

W tym samym momencie Halera przetoczyła się na bok i kopniakiem wytrąciła mu z dłoni pistolet. Zaskoczony mężczyzna stracił równowagę. Natychmiast jednak się opanował i zgrabnym susem skoczył w stronę broni, ale tym razem Halera była szybsza. Uprzedziła go o ułamek sekundy i zacisnęła palce na pistolecie.

Werski upadł na nią z impetem. Wbił kolano w jej brzuch, lecz jednocześnie rozległ się strzał. Mężczyzna przez chwilę zastygł nieruchomo na klęczkach. Nagle jakby stracił równowagę i runął prosto na twarz.

Deryło uśmiechnął się, zacisnął kciuki i bezsilnie osunął się na podłogę.

Haler nie powiedziała komisarzowi, że poprzedniego wieczoru, po tym, jak wyszli z pokoju Pollinou, jeszcze raz zeszła na dół. Walcząc z huraganowym wiatrem i ślizgając się w błocie, dojrnęła do kolejki linowej. Była zapewne ostatnią osobą, która z niej skorzystała. Jakimś cudem wagonik ruszył i dostała się do motocykla. Przetawiła ważący przeszło ćwierć tony pojazd na bok parkingu. U podnóża załomu skalnego był nieco osłonięty od wichru. Poza tym twarde podłoże zapewniało mu większą stabilność.

Przed urlopem zdała broń służbową, ale przezornie wozila w kufrze kamizelkę kuloodporną. Wzięła ją ze sobą i kolejnego dnia włożyła pod koszulę. Nie przyznała się do tego komisarzowi, gdyż wolała uniknąć suszenia głowy, że wybrała się sama na parking. Później całkowicie o tym zapomniała, a on nie zwrócił na nią uwagi.

Gdy Werski wymierzył w Rewerę, nie miała czasu się zastanawiać. Mimo że nigdy nie ufała do końca właściwościom kewlarowej płyty, zadziałała instynktownie. I, z czego była dumna, instynkt policjantki zwyciężył z instynktem samozachowawczym.

Dziewięćmilimetrowe naboje cezetki ugrzęzły wśród specjalnie prasowanych włókien. Polietylenowy wkład się złuszczył i oblepiając pocisk, zatrzymał go prawie centymetr od ciała podkomisarza. Oba strzały odczuła jak dość mocne uderzenia, ale nic więcej. Powinny po nich pozostać co najwyżej niewielkie siniaki.

Najbardziej dumna Haler była jednak z roli, którą odegrała. Gdy osunęła się na ziemię, modliła się, by Werski nie dobił jej strzałem w głowę. By nie zamknął sprawy jednym pociskiem. Spodziewała się, że będzie gotów to zrobić. Gdy usłyszała, że się do niej zbliża, chciała się poderwać do ucieczki. Adrenalina wręcz rozsadała jej mięśnie. Z trudem opanowała drżenie ciała i wstrzymała oddech.

Nie wiedziała, dlaczego Werski postanowił sprawdzić jej puls. Z pełnym magazynkiem mógł załatwić sprawę pewniej i szybciej. Tym razem jednak dopisało jej szczęście. Po paśmie pomyłek, za które była wściekła, wreszcie los jej sprzyjał.

Kilka sekund później, gdy dopadła do pistoletu, wcale nie zamierzała wystrzelić. To siła nacisku Werskiego pchnęła jej palec. Los po raz kolejny zdecydował za nią. Gdy mężczyzna osuwał się, uciskając przestrzeloną na wylot jamę brzuszną, Haler odwróciła wzrok. Jej spojrzenie na moment uchwyciło wyraz ulgi na bladosej twarzy komisarza. Po chwili Deryło zniknął po drugiej stronie drzwi.

Wszelkie próby ich sforsowania lub otwarcia zamka okazały się daremne. Werski musiał dokonać zmian w mechanizmie elektronicznym i zablokował drzwi na amen. Na nic zdały się próby ich wyłamania drewnianą ławą oraz kamienną donicą. Szewski i Galwer, którzy zjawili się chwilę po tym, jak podkomisarz zastrzeliła Werskiego, również byli bezradni. Haler nie zdecydowała się na próbę przestrzelenia zamka. Obawiała się, że zrykoszetowany pocisk mógłby trafić Deryłę lub Herc. Poza tym zamek wydawał się zbyt solidny.

Służby ratunkowe przybyły na pokładzie dwóch helikopterów czterdzieści pięć minut później. Wciąż zaczął deszcz, ale wiatr uspokoił się na tyle, że maszyny zdołały wylądować na zalanym wodą placu widokowym przed hotelem.

Na pokładzie śmigłowca wykorzystywanego przez CBŚP znajdował się taran szturmowy. Za jego pomocą wreszcie udało się wyważyć drzwi chłodni. Deryło został przeniesiony na pokład helikoptera ratowników. Znajdował się w głębokiej hipotermii i nie reagował na żadne bodźce. Stan Herc był nieco lepszy. Opatulona niemal wszystkimi ubraniami komisarza, w trakcie przenoszenia do maszyny odzyskała przytomność. Wciąż starała się coś powiedzieć, ale nikt nie mógł jej zrozumieć. Bełkotała bez sensu przez cały lot do szpitala.

Haler bez przerwy czuwała przy Deryle. Obserwowała wysiłki lekarzy, którzy robili wszystko, aby ogrzać jego ciało. Nadal obwiniała się o to, że pozwolili się zaskoczyć Werskiemu. Dali się nabrać

jak dzieci. Była wściekła, że nie przeanalizowała wszystkiego znacznie wcześniej.

Właśnie robiła tysięczny przemarsz korytarzem przed pomieszczeniami OIOM-u, gdy rozsunęły się drzwi i wyszedł z nich brodaty lekarz. Procedury nie miały znaczenia. Mogła nie być członkiem rodziny komisarza, jego bliską ani nawet przyjaciółką. Łączyło ich znacznie więcej.

– Jego stan jest bardzo ciężki – odezwał się doktor. Utkwił w niej poważne spojrzenie zmęczonych latami dyżurowania oczu. – W każdej chwili musimy być gotowi na najgorsze. Jego organizm jest bardzo silny i ciągle walczy, ale przegrywa tę walkę.

Deryło obserwował klucz żurawi na tle błękitnego nieba. Ich smukłe sylwetki poruszały się w miarowym tempie. Zakończone rozczapierzonymi lotkami skrzydła z rzadka falowały. Powietrze było czyste, a pogoda dobra, więc ptaki oszczędzały siły, wykorzystując prądy powietrzne. Komisarz wyraźnie widział ich długie szyje, solidne korpusy i czarne kończyny, wyciągnięte w tej samej linii co dzioby.

To był usypiający widok. Promienie słońca padały mu na twarz, ale go nie raziły. Nie musiał odwracać się ani mrużyć oczu. Mógł się bez końca delektować spokojnymi, dostojnymi ruchami żurawi. Oddychał w rytmie machnięć skrzydeł przewodnika. Głęboko i powoli. Rzadko.

Coraz rzadziej.

Nagle klucz żurawi zniżył lot. Zatoczył koło tuż nad głową komisarza i z przeraźliwym klangorem znowu wzbił się na wyższy pułap. Deryło zdawało się, że ptaki wpatrują się wprost w niego. Obserwują go. Starają się zachęcić go do startu i odlotu razem z nimi. Każdy z nich obracał łeb i wbijał w komisarza zaciekawione spojrzenie czujnych wyłupiastych oczu. Zachowywały się jak gawrony, których pisklę znalazło się w niebezpieczeństwie.

On był tym pisklęciem.

Albo chorym starcem, którego stado zegnało przed odlotem na południe. Dodawało mu sił i wymieniało z nim ostatnie spojrzenia. Żaden z nich się nie łudził, że męczyzna mógłby przeżyć zimę. A mimo to ich klangor układał się w najpiękniejszą pieśń, jaką komisarz kiedykolwiek słyszał.

Deryło utkwiał wzrok w żurawiu przewodniku. Jeszcze raz nabrał powietrza, synchronizując oddech z ruchem jego potężnych skrzydeł. Stawali się jednością. Z ich oczu płynęły te same łzy. Tęsknoty oraz rozpacz.

Nagle komisarz zamrugał i przeniósł się do całkiem innego świata. Jakby wszystko odwróciło się do góry nogami, a niebo go wessało.

Zamrugał raz jeszcze. W pierwszej chwili uderzyła go wszechogarniająca biel. Znajdował się w idealnie białym raj. Otaczała go zupełna pustka. Czuł się, jakby otulał go najdelikatniejszy puch.

Powoli biel zmieniała barwę i Deryło zaczął rozróżniać kontury przedmiotów. Okna, zza którego wpadały promienie słońca, metalowego stojaka z kroplówką, melodyjnie popiskującego monitora. W ekspresowym tempie zaczęły mu wirować w mózgu urywki wspomnień. Pobyt w hotelu, kolejne ofiary, strzelanina i...

Nie był pewny, co było dalej.

– Obudził się!

Od razu rozpoznał ten głos. Ciepły, miękki jak aksamit głos swojej córki. Poczł przyływ euforii. Chciał się odwrócić, ale nie był w stanie. Starł się naprężyć mięśnie, lecz żadnego nie czuł.

Wciąż tkwił w pierzynie z najdelikatniejszego puchu. Szczelnie otulała jego ciało, nie dopuszczając do niego żadnych bodźców. Strzegła go.

Deryło rozpaczliwie zamrugał. Chciał krzyknąć, ale nie potrafił otworzyć ust. W ogóle ich nie czuł. Miał wrażenie, jakby całe jego ciało zostało oderwane od mózgu, który wyrwano i przełożono do słoika.

Zamrugał raz jeszcze.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Tato, nareszcie! – Wiktoria pocałowała go w policzek. Z jej oczu ciekły łzy, które ukradkiem ocierała dłonią. – Tato, co z tobą?

Radosna twarz jego córki gwałtownie spochmurniała. Tuż obok niej pojawiła się Haler. Wyciągnęła dłoń poza pole widzenia Deryły i nią potrząsnęła.

– Eryk, stary pierdoło, halo?

Dopiero po chwili Deryło zdał sobie sprawę, że Haler ścisnęła go za rękę. Potrząsała nią, a on

w ogóle tego nie czuł. Był uwięziony we własnym ciele. Widział i poruszał gałkami ocznymi, ale poza tym nie czuł absolutnie niczego.

– Na pomoc! Niech ktoś tu natychmiast przyjdzie!

Krzyk jego córki zlał się z coraz głośniejszym pikaniem aparatury. Spłoszone żurawie, przeraźliwie wrzeszcząc, wzbiły się w powietrze. Żałobny szelest ich skrzydeł wypełnił wszechświat.

—=FADE TO BLACK=—

Posłowie

Pamiętaj Państwo myśl Diderota przyświecającą tej książce? „Słowo ból jest samo w sobie bez treści i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na pamięć wrażenie, któregośmy sami doznali”. To słowa jego Kubusia, który istotę tego spostrzeżenia starał się wytłumaczyć swemu Panu. Być może jego sedno doskonale pasuje do opisów cierpień, tortur i zabójstw. A może przeciwnie, te opisy, o ile wywołują jakiegokolwiek emocje (u mnie z pewnością!), całkowicie im przeczą.

Nie chciałem jednak w tym miejscu nawiązywać do makabry oraz okrucieństw. Prawdziwy, najgłębszy ból pojawił się dopiero w momencie, gdy żurawie po raz kolejny wzbiły się do lotu. Czytelnik żywa się z bohaterem, towarzysząc mu przez czterysta, osiemset, a nawet, jak w tym przypadku, już przeszło dwa tysiące stron. Co może powiedzieć autor, który spędza z nim przez wiele tygodni całe dni? Który stara się kierować jego losem, a któremu ten los stale się wymyka?

Nie wiem, czy Eryk Deryło poprowadzi jeszcze jakieś śledztwo. Nie wiem nawet, czy przeżyje. Rozstaliśmy się nagle, bez pożegnania, ale mamy kolejny dzień, który mija od ukończenia pierwszej wersji tekstu, a moje myśli wciąż do niego wracają. Być może wkrótce, po napisaniu jednego zdania, dowiem się, że to już koniec. Że pokłady życia komisarza całkowicie się wyczerpały. Choć przez cały czas mam poczucie, jakby naprawdę gdzieś czekał, aż go odwiedzę. Teraz jego myśli poznał każdy z Was. Niestety, podzielenie się tym ciężarem nie czyni go lżejszym.

Wiem natomiast, że Tamara Haler nie da o sobie zapomnieć. Będę trzymał kciuki, by mogła jeszcze choć raz w duecie z komisarzem zmierzyć się ze złem tego świata.

Trzymajcie je, proszę, wraz ze mną.

Ukłony

MC